

TADEUSZ OSTASZEWSKI

KANTOREK FELICJI

Wydawnictwo: Pojezierze 1983



I

Było majowe południe, ale duszność wisiała w powietrzu jak w czasie najgorętszego lata. Kury zagrzebały się w piaszczystych dołkach w cieniu rozkwitłych bzów; kot drzemał na jednym z sosnowych bali, których wysoki stos rudział pod ścianą stodoły; wielki kundel, przywiązany łańcuchem do budy, niemrawo wylizywał dawno już wyschniętą miskę; wróble jakby straciły głos, a tylko muchy natrętnie brzęczały i łaskotały weterynarza, bezczelnie atakując jego roznegliżowane i spocone ciało.

Parne powietrze zapowiadało wiosenną burzę.

„Pod wieczór jak nic zbierze się na ulewę” – pomyślał weterynarz Koral i pociągnął łyk piwa prosto z butelki. Siedział w cieniu wielobarwnego parasola, osadzonego drzewcem w otworze dużego okrągłego stołu, i rozmyślał nad treścią listu, który znalazł tego ranka w szczelinie drzwi wejściowych do lecznicy.

Lecznica znajdowała się w starym budynku na wprost domu mieszkalnego, w pobliżu, którego właśnie siedział i raczył się piwem.

Był piątek, a w piątki z dawien dawna w sąsiednim miasteczku odbywały się chłopskie targi, co gwarantowało w lecznicy spokój, a weterynarzowi dawało dzień wytchnienia.

Posłyszał otwierające się za jego plecami okno i głos żony:

– Czy długo będziesz tak siedział jak manekin na wystawie? Może byś wreszcie zatkał tę dziurę w kurniku?

– Odczep się! – warknął.

– Co mówisz?

– Mówię, żebyś mi pozwoliła chwilę odpocząć.

– Ładna mi chwila – burknęła żona weterynarza. – Przecież już ze dwie godziny tkwisz w jednym miejscu jak posąg i rozmyślasz nie wiadomo o czym.

– O życiu.

– O życiu – rzekła z przekąsem. – Dobrze sobie. Piwo żłopie i rozmyśla o życiu. Pewnie znowu coś cię napadło, co?

– Pstro!

– Inteligent, psiakrew, a do żony odezwać się nie umie! – zaklęła i z trzaskiem zamknęła okno.

Marian Koral sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów. Wyjął stamtąd złożoną we czworo kartkę papieru, pochodzącą ze szkolnego zeszytu do rachunków. Rozłożył ją i zasłaniając

pochylonym ciałem przed wzrokiem żony, przeczytał:

„Marian, musisz dziś koniecznie przyjść do tego niewykończonego domu Wróblewskiego punkt o dziesiątej wieczór. Powiem ci niespodziankę, która do twojej żony nie może się donieść, a dla ciebie jest bardzo ważna. Jak się domyślasz to dobrze, a jak nie to nie. Przyjdź żebyś nie musiał potem żalować. Sprawa jest pilna i musi być w tajemnicy. Nie mów o tym nikomu i nie próbuj się wcześniej ze mną zobaczyć. Czekam o dziesiątej, pamiętaj. Fela”.

Odczytał te słowa raz i drugi. Uważnie przyjrzał się charakterowi pisma. Jego wargi wykrzywił dziwny, tajemniczy grymas.

Obejrzał się. Okno kuchni było zamknięte, ale... nie, zdawało mu się, że wyraźnie drgnęła firanka-zazdrostka.

– Podgląda mnie – zamruczał do siebie i schował list do kieszeni. Po chwili, gdy wszedł do mieszkania, zdziwił się niepomniernie, bo żony w domu nie było. Nigdy nie miała zwyczaju wychodzić gdziekolwiek bez uprzedzenia. Poczul się nieco oszołomiony piwem, machnął pogardliwie ręką i znalazłszy się w łazience z ulgą włożył głowę pod kran z zimną wodą.

Z targu w Okruszynie powracały już pierwsze furmanki. Jak nakazywała tradycja, prawie wszystkie zatrzymywały się w centrum wsi przed okazałym budynkiem gminnej spółdzielni sąsiadującej z Urzędem Gminnym. Ogromny szyld, zawieszony na budynku spółdzielczym, głosił, że mieszczą się tu biuro oraz „sklep artykułów różnych”.

We wnętrzu sklepu uwijała się Felicja Ciernik, panna o urodzie krzepkiej – bardzo wysoka i silna. Potrafiła wziąć pięć butelek z winem w jedną dłoń, pięć w drugą i wywinąć nimi takiego młyńca, że mężczyznom obecnym w sklepie nieraz uginały się nogi w obawie, że któryś z tych szklanych pocisków może się wyrwać z dłoni Felicji i wyrznąć kogoś w czerep. Ale mimo wszystko lubili Felicję i te jej cyrkowe popisy, ponieważ nie mitrężyła czasu, załatwiała klientów, szybko i sprawnie.

Tak było i w ten piątek...

Krewkie niewiasty, oczekujące powrotu mężów z targowiska, stały przed sklepem i przysięgały sobie, że jeśli któryś znów się zatrzyma przed królestwem Felicji i krzyknie: – Prrr! Fela, podrzuć no mi ze trzy flachy tego, no, wiesz! – to ani chybi jucha popłynie i chłop

będzie musiał sobie pijawki przystawiać.

Jednakże każdy z chłopów w Sielawie był cwańszy niż wszystkie niewiasty razem. Gdy tylko któryś zoczył swą połowicę w tłumie przed sklepem, nie zatrzymywał wozu, zwalniał tylko, strzelał kilkakroć z bata i jechał dalej. Znaczyło to: – Fela, wystaw skrzynkę na zaplecze, rozliczymy się później. – A pod wieczór małżonki zachodziły w głowę: – Skąd te cholery wzięły wino, bo że z Okruszyny nie przywiozły, to pewne, a przecież spiły się jak prosięta...

Każdy piątek w Sielawie był pod tym względem podobny.

Dopiero tego dnia, gdy już większość gospodarzy powróciła z targu i kiedy przed sklepem zatrzymała się furmanka Rocha Pszczoły z pijanym jak bela właścicielem pojazdu, wynikła awantura, jakiej jeszcze nie było.

Pszczelina, bo tak nazywano żonę Pszczoły, Amelię, widząc co się święci, całą swoją baryłkowatą postacią zabarykadowała wejście do sklepu i zawołała:

– Rochu, ani mi się waż tu włązić!

Wszelako Roch wygramolił się z furmanki i zakrzyknął bojowo:

– Ej, wy tam, ilu was jest, do mnie! Dwie moje cieliczki poszły w świat, trza to oblać!

– Ja cię tu zaraz obleję! – Amelia wsparła się pod boki i nie zamierzała ustępować.

Nie stanowiło to dla Rocha żadnej przeszkody. Z biczyskiem w dłoni wszedł na stopnie schodów, jednym ruchem odsunął żonę i kiedy znalazł się we wnętrzu sklepu, powiedział całkiem opanowany:

– Feluniu, ty mi dziś daj, co masz najślodsze. Pić mi się chce, a te miejskie kwasoty gębę mi wykrzywiły.

I wtedy otrzymał od Amelii tak potężnego szturchańca w plecy, że się potknął i upadł jak długi na podłogę. Felicja Ciernik zapiszczała:

– Ludzie kochane! A to co znowu za brewerie? W spółdzielczym obiekcie będziecie się łać? Niedoczekanie...

– Zamknij się, zdiro, bo i ty oberwiesz – odparowała Amelia.

– Ja zdzira? Ja!?! – Felicja już trzymała w dłoni butelkę, ale szybko ją zmieniła na inną, oceniwszy, że ta zawiera trunek zbyt drogi. – Powtórz to, ty pokurczu wypchany grochowinami, powtórz!

– A powtórzę!

Roch wciąż leżał obmacując swoją głowę, w Amelię zaś wstępował diabeł:

– Powtórzę, zdiro cholerna. Mało ci innych chłopów? Jeszcze mojego będziesz rozpijać? Ty wywłoko, ty nieudacznico, ty... ty...

Słów jej zbrakło, a może nie starczyło już czasu na kolejny epitet, Felicja bowiem uczyniła niedostrzegalny ruch, tak jakby rzucała lotką do tarczy i butelka z tanim winem trafiła Amelię w twarz.

Kobiety, obserwujące tę scenę ze spokojem i ciekawością spoza drzwi sklepu, teraz dopiero wszczęły wrzawę. Roch już wstał i patrzył na wpół osłupiały to na żonę, to na Felicję, gdy kobiety krzyczały: – Ty rozbójnico! Ty siedlisko rozpusty! Jeszcze tego na klęczkach żałować będziesz! Jeszcze nas popamiętasz...

Roch Pszczoła bez słowa ujął pod ramiona chwiejącą się Amelię, z wyraźnym niepokojem popatrzył na jej zakrwawioną twarz i wyprowadził ze sklepu. Felicja Ciernik skamieniała za ladą i z widocznym przerażeniem oceniała dzieło, jakiego dokonała.

Skąd się wziął na miejscu zajścia starszy sierżant sztabowy Jan Tatar, komendant miejscowego posterunku milicji, nie wiadomo. Posterunek znajdował się o trzy kroki i pewnie ktoś sierżanta szybko o zdarzeniu powiadomił. Dość, że władczym krokiem wstąpił na pierwszy stopień betonowych schodów, wetknął kciuki za pas i zapytał:

– A właściwie to co się stało?

– Zelżyli mnie, panie komendancie, zelżyli! – Felicja Ciernik już biegła zza lady.

– A Pszczelinie kto gębę poharatał?

– A ona, panie komendancie, ona! – i wszystkie baby, znajdujące się na miejscu, wskazały na Felicję.

– Znaczy się tak: – powiedział starszy sierżant sztabowy Tatar – Pszczoły do ośrodka zdrowia na opatrzenie, a ty, Felka, zamykaj sklep i do kantorka. Spiszemy protokół i mam przecucie, że cię kolegium karne nie ominie. Kto chce świadczyć w tej sprawie? – rzucił w stronę gromadki kobiet. Odpowiedziały dwie. Wszedł do sklepu wycierając pot z wnętrza służbowej czapki.

O dziewiętnastej zaczął padać deszcz. Zagrzmiało raz i drugi, zahulał porywisty wiatr, lecz po krótkim czasie mogło się zdawać, iż żywioł uspokoił się. Ale to tylko wiatr zelżał nieco i pioruny nie były tak gęsto, natomiast deszcz przeszedł w jednostajną ulewę, tak rześistą, że, jak sobie później opowiadano, nie było widać wyciągniętej przed siebie dłoni.

Po tym nieznośnie parnym dniu i suszy trwającej od połowy marca deszcz był prawdziwym błogosławieństwem. Mieszkańcy Sielawy rozchylali firanki w oknach i z zadowolonymi minami poszeptywali: – Ale pada. Niech pada. Złoto pada...

Lekarz weterynarii Marian Koral leżał na kanapce i kręcąc się nerwowo przeglądał czasopisma. Co kilka minut sprawdzał czas; wsłuchiwał się w monotony szum ulewy i po wielokroć stwierdzał w myślach, że czas płynie zbyt wolno, a on, z tego co czyta, niczego nie

rozumie.

– Kręcisz się, wiercisz – rzuciła żona – jakby cię kto położył na rozżarzonych węglach.

Co ci jest?

– Gorąco mnie rozłożyło i zmiana ciśnienia. Elektryczność w atmosferze wpływa na samopoczucie człowieka, nie słyszałaś o tym?

– Mądrała! A nie słyszałaś przypadkiem, że gdy jeden człowiek ma fąfy, to i drugiemu się to udziela?

– Być może. Miej fąfy. Broni ci kto?

– Nie, z tobą dzisiaj rozmawiać nie można. Może jesteś chory?

– Nic mi nie jest. Zajmij się sobą.

Około dwudziestej rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął Józef Gruza, jeden z zamożniejszych gospodarzy w Sielawie. Był zasapany i przemoczony do ostatniej nitki.

– A czego to tak dyszycie, panie Gruza? – spytał weterynarz nie wstając z kanapki.

– Biegłem w ten deszcz co tchu. Kawałek drogi do pana, panie weterynarzu. Proszę, niech pan pójdzie do mnie, z moją najlepszą krową coś niedobrze.

– A co jej jest?

– Ba, gdybym wiedział, to przecież bym pana nie fatygował. – Gruza rozłożył ręce. – Leży, stęka, żreć nie chce, piana z pyska cieknie...

– Piana? Od jak dawna?

– A chyba od południa, panie Koral kochany. Pójdzie pan?

– Już. Marycha, daj no mi kurtkę z kapturem. Gdzie są moje gumiaki?

– W sieni.

W trzy minuty był gotów do wyjścia. Gruza uśmiechnął się i powiedział, że w przyszłości kupi parasol, żeby mógł osłonić pana weterynarza. Spiesznie opuścili mieszkanie.

Mariola Więckówna, praktykantka w dziale księgowości gminnej spółdzielni, mimo dość późnej pory siedziała jeszcze w biurze nad sklepem. Była dziewczyną pracowitą, ale po trzech miesiącach praktyki słyszała od swojej zwierzchniczki wciąż to samo:

– Ty, Mariola, dodawać i odejmować już potrafisz. Ciekawe, czy równie szybko opanujesz sztukę mnożenia?

A inna stara pracownica dodawała:

– Poczekaj, poczekaj, jeszcze nam się ona rozmnoży...

„Stare jędze” – Mariola przygryzała koniec długopisu i z wściekłością myślała o

ludzkiej niezyczliwości.

Deszcz wciąż padał z jednakowo dużym natężeniem. Mariola chętnie poszłaby już do domu, ale mieszkała na krańcu wsi i na przemoknięcie nie miała ochoty. Słyszała, jak w sklepie na parterze Felicja również się krząta, przesuwa skrzynie, postukuje jakimiś przedmiotami, od czasu do czasu niby to zanuci, niby to zachlipie. „Może jej się utarg nie zgadza? – próbowała się domyślać Mariola. – Co ona w ogóle zrobi z dzisiejszą forszą? Do filii banku w taki deszcz nie odniesie, szefowej księgowości już nie ma, więc i do podręcznej kasy spółdzielni nie wpłaci... Strach siedzieć z dużymi pieniędzmi samemu w sklepie w taki wieczór. Co prawda Felicja nie jest kobietą filigranową i byle kto jej nie zastraszy, ale zawsze... Do tego jeszcze to dzisiejsze zajście z Pszczołami. Licho ją jakieś poniosło, czy co? Gdyby jej nawet nie wiem jak naubliżali, to butelką w starszą kobietę rzucać przecież nie powinna. Nerwy nie wytrzymały. Tak jest, z pewnością nerwy w tej dużej Feli nie są proporcjonalnie mocne i widocznie puściły. Co do mnie – rozmyślała Mariola – to też nie wiem, czy kiedyś nie cisnę czymś w moją panią księgową. Geniusz od siedmiu boleści! Dwadzieścia lat robi wciąż to samo, ale kiedy przychodzi bilans, to przecież głupiej i do pomocy wzywa znajome z Okruszyny. Ważna mi pani księgowo! Ja jej jeszcze pokażę, kto więcej potrafi. Już ja się do roboty przyłożę, podręczniki kupię, a jakże, nauczyciela o naukę dodatkową poproszę. Ja jej jeszcze pokażę...” Co to? Na dole, w sklepie, ktoś z Felicją Ciernik rozmawiał. Mariola wyraźnie posłyszała męski głos, nie dość jednak donośny, żeby zrozumieć znaczenie wypowiedzianych zdań. Zaczęła się jednak wśluchiwać. Stąpając cichutko zbliżyła się do drzwi i uchyliła je.

Klatka schodowa znajdowała się na tyłach budynku. Na piętrze prowadziły z niej drzwi do pokoju, w którym pracowała Mariola Więckówna, oraz do dwóch innych, tworzących fragment biura spółdzielni. Na parterze jedyne znajdujące się tam drzwi, tylne wejście do sklepu, wzmocnione były blachą i zaopatrzone w żelazną sztabę. Tędy zwykle Felicja Ciernik przychodziła każdego ranka do pracy i tą samą drogą opuszczała sklep. Zaraz za tymi drzwiami znajdował się niewielki kantorek, a za nim podręczny magazyn towarów, z którego można było przejść do głównego pomieszczenia sklepowego.

„Jeśli drzwi do kantorka są choćby trochę uchylone – rozumowała Mariola Więckówna – to będę słyszała wszystko. Ciekawe, kto złożył Felicji tak późną wizytę? Może prezes? Może zobaczył światło w oknie i chciał ją skontrolować?

Rozmowa przycichła, lecz Mariola tkwiła na miejscu z głową wysuniętą na klatkę schodową. „Swoją drogą ona jest głupia! – pomyślała o Felicji – Po takim ciężkim dniu jeszcze jej się chce wieczorem siedzieć w sklepie. Przecież mieszka po drugiej stronie ulicy,

wszystkiego kilkadziesiąt metrów. Ot, włożyłaby pieniądze do jakiegoś worka, na głowę kawał plastyku i hajda do domu. Złękła się deszczu? Chyba nie. A może spodziewała się tych odwiedzin?”

Już miała przekroczyć próg, żeby się nieco zbliżyć do źródła dźwięków dochodzących niewyraźnie z dołu, gdy Felicja zaczęła krzyżeć:

– Nie! Nie! Nie! Nigdy, przenigdy! Mylisz się!

– Żebyś nie musiała kiedyś tego żałować! – męski głos brzmiał stanowczo i nieobco dla ucha Marioli lecz nie mogła go zidentyfikować z głosem żadnej ze znanych jej osób.

– Niczego nie żałowałam, nie żałuję i żałować nie będę! – krzyżała Felicja. – On nigdy nie wiedział o niczym. I nigdy się nie dowie.

– Zobaczmy. Jesteś tego pewna?

– Tak jestem pewna. Wynoś się stąd, bo będę krzyżała...

– Dobrze, dobrze... Powiedz mi tylko, gdzie to jest?

– Tutaj! Nie wierzysz? Tutaj! Jeśli chcesz, to poszukaj, idioto!

– Fela? Jeszcze słowo w tym tonie... Fela, ja nie żartuję.

– Ha-ha-ha! – Felicja śmiała się, lecz Mariola wyczuła, że nie był to śmiech całkiem naturalny. – Grozisz mi? Coś ty?... Oszalałeś?...

Nagle rozmowa urwała się. Mariola Więckówna pozostała jeszcze przez chwilę w drzwiach, po czym zamknęła je i powróciła do swego biurka. Spiesznie poskładała rozłożone na nim dokumenty, po czym, słysząc, że ulewa ani myśli sfolgować, postanowiła natychmiast iść do domu.

Kiedy znalazła się na parterze, ciekawość zatrzymała ją na moment w pobliżu drzwi sklepowego kantorka. Obok wycieraczki dostrzegła parę gumowych butów z długimi cholewami. Zanotowała w pamięci, że jeden z nich przy płóciennym wykończeniu nie miał skórzanego ucha. Za drzwiami panowała cisza. „Chyba się pogodzili” – z tą myślą zapięła szczelnie płaszcz i wyszła na podwórze.

Weterynarz Koral włókł się noga za nogą w stronę domu Wróblewskiego. Działka, na której od dwóch lat znajdował się ów nie ukończony dom, właściwie nagie mury, położona była na krzaczastym terenie za wsią, w znacznym oddaleniu od drogi wiodącej do Okruszyny. Właściciel domu zmarł przed ukończeniem budowy. Był człowiekiem samotnym, a dom wznosił ze spadku, który nieoczekiwanie po kimś otrzymał. Od dwóch lat sąd rejonowy poszukiwał spadkobierców, nie zamykając sprawy, ponieważ ciągle się ktoś zgłaszał,

niestety, bez rzeczywistych uprawnień do dziedziczenia. Dom stał, niszczał, a władze gminy Sielawa nie były zadowolone z takiego obrotu rzeczy. Ludzie pomstowali, że niby co to za porządk: mieszkań brakuje, a tu taka willa kruszeje.

Marian Koral zgarbiony brnął przez kałuże. Wyglądał jak zjawa. Opuścił już wiejskie zabudowania i dopiero, gdy znalazł się na drodze do Okruszyny, otoczyły go nieprzeniknione ciemności. Nie było widać ani ziemi, ani nieba.

Z prawej strony dostrzegł anemiczny błysk światła. „Ki diabeł? Do mnie tak mruga?” – zdziwił się.

Błysk nie powtórzył się więcej, lecz Koral zapamiętał kierunek, z jakiego w otaczającej ciemności pojawił się, niczym dające poczucie bezpieczeństwa światło latarni morskiej. Szedł pewniej, chociaż nogi grzęzły w rozmięklej ziemi. Potykał się o rozgałęzione pnącza krzewów, lecz zdecydowana wola szybkiego dotarcia do wyznaczonego miejsca spotkania dodawała mu sił i nie pozwalała myśleć o zmęczeniu.

Z ulgą stwierdził, że mimo czerni nocy zamajaczyła przed nim bryła domu, do którego zmierzał. Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Daleko we wsi zawył pies, a jego głos doleciał tu jakby opóźniony przez wiatr i siekące strugi deszczu szumiące jednostajnie i nieustępliwie. Nic więcej nie docierało do uszu weterynarza. Czuł i zdawało mu się, że słyszy jak bije własne serce: coraz prędzej coraz mocniej... Poczul zapach potu i elektryzujący dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Splunął, zagryzł wargi, zacisnął w pięści dłonie trzymane w kieszeni kurtki i ruszył w obchód dookoła domu.

Znał go trochę, był w jego pobliżu kilka razy, ale w tej chwili nie pamiętał, gdzie się znajdują drzwi, ani ile ich jest. Obszedł dom taplając się w gliniastej mazi, a gdy znalazł się po jego stronie przeciwległej w stosunku do oddalonej drogi, usłyszał szept:

– Tutaj! Marian, chodź tutaj. Tu nie pada... – przez ułamek sekundy błysnęło światło kieszonkowej latarki.

Zadarł głowę. W bryle domu mroczyła szeroka plama wejścia.

Marian Koral podniósł nogę, żeby pokonać wysoki mur fundamentu i wszedł w ciemność.

II

Kapitan Tomasz Rajski nie mógł określić dokładnie, w jakim punkcie trasy znajduje się w tej chwili. Od dłuższego czasu prowadził samochód w deszczu przechodzącym w coraz gwałtowniejszą nawałnicę. Światło dalekosiężnych reflektorów, jakby uwięzione w grubej matowej szybie, nie rozjaśniało drogi dalej niż na kilkanaście metrów. Woda kłębiła się na całej szerokości jezdni i na poboczach, a z płytkich przydrożnych rowów wylewała się falami niczym lawa z krateru wulkanu. Zdawało się, że pojazd toczy się nie po powierzchni ziemi, lecz pod wodą oraz, że bliska jest chwila, kiedy szyba samochodu nie wytrzyma naporu i pęknie otwierając drogę rwącej rzece.

W widmowym świetle błyskawic dostrzegł po prawej stronie drogi jasną kapliczkę. Obok niej zamajaczył jakiś nieregularny kształt podobny do pryzmy polnych kamieni. Prędkościomierz wskazywał szybkość trzydziestu kilometrów na godzinę. Kapitan Tomasz Rajski pomyślał, że posuwając się nadal w takim tempie może dojechać do domu za trzy godziny. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka: było czterdzieści minut po dwudziestej drugiej. Doszedł do wniosku, że w takich warunkach nie ma najmniejszego sensu kontynuować jazdy. Odbił lekko kierownicę w prawo i zdecydowanie nacisnął pedał hamulca.

Uczył to chyba instynktownie. Serce zabiło mu szybciej, a w całym ciele poczuł przypływ ciepła. Zbliżył twarz do szyby i z westchnieniem ulgi stwierdził, że cudem uniknął zderzenia. Przed nim w odległości dwóch, trzech metrów stał dwoma kołami na poboczu milicyjny gazik z brezentową kabiną.

Kapitan Rajski w światłach mijania przyglądał się przez chwilę stojącemu przed nim pojazdowi. Odczytał numer rejestracyjny: YMAN – 055678. Stwierdził, że samochód nie ma włączonych świateł pozycyjnych oraz, że wygląda jak porzucony wrak. Błysnął trzykrotnie reflektorami szosowymi w nadziei, że wywabi z wnętrza gazika tego, kto być może zasnął i nie reaguje na szalejącą wokół burzę. Używając klaksonu jeszcze kilka razy ponowił próbę ze światłami, lecz bez jakiegokolwiek rezultatu. Wyłączył reflektory pozostawiając tylko światła postojowe.

– Idiotów nie brakuje nawet na pustkowiu – rzekł do siebie. – Tego mu płazem nie puszcze!

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął notes; włączył światło wewnątrz samochodu i starannie wykaligrafował numer: YMAN – 055678.

„A teraz – pomyślał – niech wariat robi sobie, co chce. Ja się zdrzemnę.”

Cofnął swój samochód kilka metrów i ustawił go jeszcze bardziej na poboczu drogi. Wecisnął guzik zabezpieczający drzwi przed otwarciem z zewnątrz, przyciszył dźwięki fortepianu płynące z radia i, usadowiwszy się wygodnie, zamknął oczy. Był przekonany, że odgłos silnika uruchamianego w gaziku zbudzi go, a on wówczas porachuje się z tym durniem, wedle którego przepisy drogowe wymyślone zostały tylko dla cywilów.

Nawałnica nie słabła. Dach samochodu to bębnił jak werbel, to znów szumiał usypiająco. Karoseria, targana rzadkimi, lecz silnymi porywami wiatru, zachowywała się jak kołyska. Kapitan Tomasz Rajski, zmęczony ciężkim dniem, prawie natychmiast zasnął.

Kiedy się przebudził, stwierdził z niemałym zdziwieniem, że po gaziku nie ma nawet śladu. Najwidoczniej odjechał, mimo, że ulewa zelżała tylko nieznacznie i warunki atmosferyczne nadal odstręczały od kontynuowania jazdy. Odruchowo osunął się w fotelu i szepcąc: – Idiota, skończony idiota – znów zasnął.

Spał mocno i długo. Obudziła go jakaś skoczna melodia w radio, ból zdrętwiałych nóg i szum opon pojazdów przejeżdżających obok.

– Do diabła! – zawołał. – Już prawie siódma. Przespałem całą noc w samochodzie. Ładna historia!...

Uruchomił silnik, podgrzał go trochę i z impetem ruszył w kierunku Warszawy.

Wkrótce odczytał napis na tablicy z nazwą miejscowości, do której się zbliżał: Sielawa. Zwolniwszy nieco przejeżdżał przez wieś, która, jako jedna z niewielu na parusetkilometrowej trasie E-321, nie miała jeszcze obwodnicy i cały ruch kołowy odbywał się na pryncypialnej, chociaż wąskiej ulicy.

Była to wieś dostatnia, zabudowana po obu stronach głównej drogi wieloma nowymi domami, czysta, z kolorowymi ogrodzeniami posesji. Jadąc przez nią Rajski z sympatią pomyślał o ludziach tu mieszkających. Wprawdzie nocna burza poczyniła pewne spustoszenia – tu i ówdzie pochylił się parkan, a gałęzi odłamanych z drzew leżało na chodnikach tyle, że wyglądać by to mogło na celowe przerzedzanie koron – to jednak wrażenie ogólne było zdecydowanie dodatnie.

Zdziwiła go tylko niezwykajna pustka na ulicy. Dwaj mężczyźni na przystanku autobusowym, wałęsający się pies oraz wyrostek jadący przed nim rowerem – to było wszystko, co żyło o tej porze na głównej ulicy Sielawy. Dopiero, gdy znalazł się w centrum wsi, zobaczył po lewej stronie okazały piętrowy budynek, którego parter szczelnie zasłaniał tłum ciskających się ludzi.

„Ach, to do sklepu – Rajski uśmiechnął się. – Przywieźli albo pralki automatyczne, albo spirytus” – zawyrokował w myślach i dodał gazu.

– A, Rajski... Nareszcie pan się zjawił. Psia pogoda, co? Nie chciało się wstawać?

Major Paweł Raksa wyszedł zza biurka i przywitawszy się z kapitanem Rajskim podszedł do mapy zajmującej prawie całkowicie jedną ze ścian gabinetu.

– Czy mogę się usprawiedliwić, panie majorze?

– Później – przerwał major. – Proszę do mapy. Czy wie pan, gdzie leży miejscowość Sielawa? O, tutaj – major dotknął palcem punktu na mapie. – Dokładnie osiemdziesiąt siedem kilometrów od Warszawy, na trasie E-321. Widzi pan?

– Właśnie stamtąd wracam, panie majorze.

– Nie rozumiem... – Major odwrócił się od mapy.

– Chciałem powiedzieć, że przez Sielawę przejeżdżałem – Rajski spojrział na zegarek – jakieś półtorej godziny temu. Wracałem z Okruszyny.

– I co?

– Teraz, pozwoli pan, ja nie rozumiem pytania.

– Czy w tej Sielawie niczego pan nie widział?

– A czy musiałem, czy też powinienem zobaczyć coś specjalnego? Wieś jak wieś...

– Czy między Warszawą a Sielawą nie zetknął się pan z naszą ekipą?

– Zetknął? Nie rozumiem. Owszem, minąłem się z dwoma radiowozami pędzącymi na światłach, ale to wszystko. Nie widzę powodu, dla którego powinienem był się z nimi stykać.

– Nie widzi pan powodu. Hm, może i słusznie. Więc niechże pan sobie wyobrazi, że przed godziną prokurator, lekarz sądowy i kilku naszych ludzi, pod kierownictwem kapitana Salskiego, udało się właśnie do Sielawy.

– Czy coś się stało? – Rajski zmarszczył czoło i już w chwili zadawania tego pytania uświadomił sobie, że jest ono po prostu głupie.

– Stało się – rzekł major, jakby chciał go przedrzeźnić. – Zaraz panu powiem, co się stało – zaczął nerwowo chodzić po gabinecie. – Niczego pan w tej Sielawie nie zauważył? Nic panu, doświadczonemu oficerowi, nie rzuciło się w oczy?

– Szczerze mówiąc nic szczególnego, jeśli nie liczyć sporej kolejki do sklepu gminnej spółdzielni.

– O której pan tam był?

– Około siódmej.

– Szkoda...

– Nie rozumiem.

– Szkoda, bo w sklepie leżał trup młodej dziewczyny z dziurą w głowie i mógłby pan przynajmniej nie dopuścić do stratowania wnętrza i pozacierania śladów. Trudno, stało się –

major rozłożył ręce. – Proszę posłuchać: dziś rano otrzymaliśmy wiadomość, że w Sielawie, w lokalu miejscowego sklepu, znaleziono martwą Felicję Ciernik, pannę lat dwadzieścia trzy, pełniącą tam funkcję sklepowej. Pieniądze, pochodzące z utargu z dnia poprzedniego, zginęły. Jak zameldował sierżant Tatar, komendant miejscowego posterunku, wszystko wskazuje na mord rabunkowy. Ale to tylko jego opinia. On sam, z przeproszeniem, robi teraz w portki, ponieważ, niech pan sobie wyobrazi, tej samej nocy postradał gazik należący do posterunku. A w ogóle nagadał mi przez telefon tyle i tak chaotycznie, że trudno się było w tym wszystkim połapać. Najważniejsze: jest trup, więc wysłałem ekipę...

– Chwileczkę, panie majorze. Czy zna pan może numer tego gazika?

– Oczywiście. Już zostały wydane rozkazy wszczęcia poszukiwań. Ale dlaczego to pana interesuje?

Kapitan Rajski zaniemówił. Przez chwilę wahał się, czy powinien powiedzieć majorowi o nocnym spotkaniu z gazikiem.

– Dziwne... – rzekł powoli. – Ale właśnie tej nocy pod Sielawą o mało co nie władowałem się na stojący nieprawidłowo i zupełnie nie oświetlony gazik z numerem YMAN – 055678.

Major spiesznie podszedł do biurka i przerzucił kilka kartek.

– Jak pan powiedział? YMAN – 055678?

– Tak jest.

– No – powiedział rozluźniony major – dobrze, że chociaż to pan zauważył. Zaraz zadzwonię, gdzie trzeba i wydam polecenie ściągnięcia samochodu. Pewnie stoi zepsuty...

– On tam już nie stoi, panie majorze.

– Kapitanie Rajski! Czy pan sobie przypadkiem nie pozwala na zbyt wiele? Widział pan ten gazik, czy nie?

– Widziałem.

– Pamięta pan dokładnie to miejsce?

– Pamiętam. W pobliżu jest kapliczka. Ale to nie ma nic do rzeczy.

– Uprzedzam pana – major zastukał palcami o biurko.

– Może zechce mnie pan wysłuchać do końca, majorze. Otóż gazik widziałem, pamiętam dokładnie, w jakim miejscu, ale jazda z powodu ulewy była niemożliwa, zasnąłem w samochodzie, a kiedy się obudziłem, gazika już nie było.

– Zasnął pan – cedził przez zęby major. – I co? Przespał pan całą noc? To chce mi pan powiedzieć?

– Dokładnie to. Zasnąłem, przespałem całą noc i wskutek tego trochę spóźniłem się do

pracy.

– To jest doprawdy niesłychane! – wykrzyknął major Raksa. – Czy sprawdził pan przynajmniej, kto znajdował się wewnątrz gazika? W jakim stanie był samochód?

– Niestety, nie sprawdziłem. Lało okropnie i przyznam się panu, że nie chciało mi się opuszczać samochodu. Błysnąłem tylko światłami i użyłem klaksonu. To wszystko. Lecz mam pewność, że w gaziku nie było nikogo.

– Wie pan co? To jest bardzo kława opowieść. Zupełnie, jakbym słyszał dialog policjantów półgłówków w telewizji... Zagadkowa pewność: nie było nikogo, a odjechał, co? Niechże pan zachowa powagę. W każdym razie dziękuję za szczerą, za to „nie chciało mi się”. No, ale dość o tym. Mamy jeszcze jeden pasztet... Momencik. A która to mogła być godzina, kiedy pan spotkał ten samochód pod Sielawą?

– Dokładnie dwudziesta druga czterdzieści.

– Pan mnie zdumiewa, kapitanie. Numer pan zna, godzinę pan zna, lecz o takich drobiazgach, jak to czy był ktoś we wnętrzu, czy nie, kto odjechał tym wozem, nie wie pan literalnie nic. Zero.

– Co proszę?

– Zero na koncie gazika. Mniejsza zresztą o to. Powiedziałem przed chwilą, że mamy, niestety, w Sielawie jeszcze jeden nielichy pasztet. Proszę posłuchać. Może pańska wspaniała wyobraźnia chociaż tym razem coś panu podpowie. Z Sielawy zniknął lekarz weterynarii Marian Koral, żonaty, bezdzietny, od trzech lat kierujący miejscową stacją weterynaryjną. Co pan na to? Trup tej sklepowej, gazik milicyjny w zaświatach, weterynarz ulotnił się jak eter...

– To byłoby za proste, panie majorze.

– Co byłoby za proste?

– Hipoteza, że niby ów weterynarz panienkę zaciukał, po czym wsiadł do usłużonego podstawionego gazika komendanta posterunku i wyruszył w Polskę. Nie, tak być nie mogło.

– Czemu nie? Uważa pan, że powinniśmy z góry taką ewentualność wykluczyć?

– Nie sędzę. Ale gdyby założyć, że tak rzeczywiście było, to mamy sprawę z głowy. Przecież ten weterynarz daleko nie ujedzie. Węch mi mówi, że jest to fałszywy trop.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, co jeszcze mówi pański węch?

Kapitan Rajski spojrział na swego szefa z niemym wyrzutem. Major celowo ironizował; nie wiedzieć czemu lubił, kiedy Rajskiego zaczynało coś ponosić.

– Mój węch podszeptuje mi, panie majorze, że za chwilę usłyszycie: Rajski, pakujcie manatki i jedźcie do Sielawy.

– O, tym razem zadowolili mnie pan całkowicie. Pozdrowienia dla pańskiego nosa,

kapitanie.

– Od czego zaczniemy?

– To już pańska sprawa, kapitanie. – Kapitan Wiktor Salski był wyraźnie niezadowolony. – Ja swoje zrobiłem, a skoro szef przysłał tu pana, niech pan sam decyduje.

Kapitan Tomasz Rajski spojrział na swego kolegę, jakby chciał powiedzieć: – Ech, chłopie drogi, czy myślisz, że się tak do tej roboty bardzo palę?

– A co pan dotychczas zrobił? – zapytał rzeczowo.

– Przecież pan wie. Trup dziewczyny po oględzinach miejsca zbrodni i wykonaniu dokumentacji przewieziony został do zakładu medycyny sądowej z poleceniem dokonania sekcji. Szkice, zdjęcia, ślady... wszystko to ma pan już poza sobą. Sklep został zamknięty i opieczętowany. Mało?

– Nie mówię, że mało. Chciałbym tylko wiedzieć „co”? To znaczy: co z tego wynika? Jak pan sądzi?

– Za wcześnie na opiniowanie. Wygląda to na zbrodnię rabunkową. Ale kto wie...

– Nie przesłuchiwał pan nikogo?

– A kiedy miałem to zrobić?

– Ja tylko pytam.

– A ja odpowiadam.

– I po cóż się pan unosi?

– Nie unoszę się, tylko nie lubię, jeśli jeden robotę zaczyna, a drugi kończy.

– Ach, o to chodzi... Kapitanie Salski, skończmy wreszcie tę niemądrą rozmowę. Jest pan wolny. Szefowi proszę przekazać, że się tu instaluję i gdybym kogoś potrzebował do pomocy – zadzwonię. A po drodze proszę do mnie skierować sierżanta Tatarą.

Kapitan Salski wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Rajski uniósł ramiona w górę i przeciągnął się. Noc spędzoną w samochodzie czuł jeszcze w całym ciele. Rozejrzał się po pomieszczeniu starszego sierżanta Jana Tatarą, za którego biurkiem siedział. Za plecami miał okno wychodzące na główną ulicę Sielawy, przed sobą drewnianą balustradę oddzielającą biurko od reszty pokoju. W rogu po prawej stronie stała średnich rozmiarów bardzo stara szafa pancerna. Z lewej stolik z trzema aparatami telefonicznymi, a za nim regał, nie wiadomo do czego służący, gdyż wszystkie jego półki były puste. W drugiej części pokoju stał długi stół przykryty zielonym sukniem, a przy nim sześć krzeseł; obok drewniana szafa zamknięta na niewielką kłódkę.

„Skromnie tu urzęduje pan komendant” – pomyślał Rajski.

Odwrócił głowę. Za oknem świat jaśniał w słońcu. Zieleń młodego listowia po

nocnym deszczu nabrała świeżości i mocniejszego kolorytu; przez uchylone okno przenikały do wnętrza pokoju ożywcze zapachy pełnej wiosny; było cicho i nic nie wskazywało na to, że w Sielawie wydarzyła się okropna zbrodnia. Ludzie, przepędzeni przez milicjantów sprzed sklepu, pochowali się po domostwach. Nawet przed miejscową gospodą, do której wejście było widoczne z okna posterunku, nikt nie wystawał, a i z wnętrza nie było słyhać żadnych charakterystycznych odgłosów. Sielawa błyszczała w słońcu piękna i dostatnia.

Do pokoju wszedł komendant posterunku Jan Tatar. Wyręczony bez słowa zatrzymał się przed balustradą. Minę miał smutną, a cała jego postać znamionowała pokorę i przygnębienie.

– Proszę, sierżancie, niech pan siada za stołem, już się tam do pana przenoszę – uprzejmym gestem wskazał mu miejsce Rajski.

– Wygląda pan nietęgo – zauważył Rajski, gdy usiedli naprzeciw siebie.

– Ciekaw jestem, jak by pan wyglądał na moim miejscu. Coś podobnego! Taka bonanza w Sielawie. Łeb mi po prostu pęka od myślenia. Przez całą noc oka nie zmrużyłem, panie kapitanie. Ja tego wszystkiego po prostu nie pojmuję...

– Zaraz, zaraz. Kiedy zaczniemy po kolei rozsypywać węzłki, wszystko się rozjaśni. Może zaczniemy od sprawy dotyczącej pana, sierżancie?

– Mnie? A co ja mam wspólnego z tym mordem?

– A gazik?

– Mógłby pan o tym nie wspominać – sierżant Tatar zwiesił wstydliwie głowę. – Co ma do rzeczy gazik? – Przerwał i zastanowił się przez chwilę. – Tak, ma pan rację. To może być powiązane. Ale w jaki sposób?

– Do wszystkiego dojdziemy po kolei. Czy może mi pan opowiedzieć, jak doszło do zaginięcia gazika? Tylko proszę dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

– Tak jest. – Sierżant Tatar poprawił się na siedzeniu. – To było tak. Wczoraj był piątek. I jak Fela rąbnęła butelką w głowę Amelię Pszczelinę, to sobie pomyślałem: „Oho, dziś będzie trudniejszy piątek niż inne”. W sklepie nikt się nigdy nie pobił, a wczoraj...

– Bili się? Kto?

Sierżant Tatar dokładnie opowiedział o zajściu w sklepie.

– ...Pszczelinę nasz doktor opatrzył. Na szczęście ma baba twardy łeb i oprócz niegroźnego rozcięcia skóry nic się nie stało. Byłem u niej jeszcze wczoraj po południu w domu, żeby sprawdzić, co i jak, no i żeby w razie czego do szpitala ją wieźć albo coś takiego.

– Tak, rozumiem. Ale powiedział pan, że kobiety zwymyślały sklepową i przyobiecały jej zemstę, prawda?

– Prawda. Tylko niech pan tego nie bierze poważnie. Felicję nie raz i nie jedna kobieta zwymyślała, a nawet groziła jej śmiercią. Ale kto by tam na takie babskie gadanie zwracał uwagę. Nie, to nie jest poważne.

– W porządku. Wracajmy do gazika.

– Więc tak: przez cały wczorajszy dzień nic się więcej nie działo. Nawet żadnego pijanego nie musiałem przymykać.

– A przymyka pan czasem?

– No pewnie! Jak mi brewerie który wyczynia albo moralność publiczną obraża, to ja się nie patyczkuję. Za łby i do pudła. No, ale wczoraj nic takiego nie było. Wczesnym wieczorem pojechałem w odwiedziny do Józka Gruzy. Jego żona i moja żona są rodzonymi siostrami, więc często do siebie zaglądamy. Wtedy była godzina siódma wieczór, może ósma, dokładnie nie wiem. Ale zastałem już u Gruzy naszego weterynarza Korala. O, mówi Gruza, dobrze, że jesteś, z krową mam kłopot i jak pan weterynarz skończy, to go odwieziesz do domu. W porządku, mówię, czemu nie. Ale z krową była widocznie jakaś cięższa przypadłość, bo mu z nią trochę zeszło i zrobiła się chyba dziewiąta, a może nawet później. Kiedy Korala skończył ratowanie bydłęcia, mówię do niego: Panie Korala, odwiezę pana. Deszcz leje jak cholera, do domu ma pan kawałek drogi, pojedziemy. A on na to: Panie komendancie, muszę z panem porozmawiać na osobności. Józek spojrzał na mnie, ja na Józka... Dobra jest, mówi Józek, tam macie wolny pokój, idźcie i pogadajcie, nikt wam przeszkadzać nie będzie. W pokoju Korala do mnie tak: Panie komendancie, pan wie, ja strachliwy nie jestem. Wiem, mówię, co mam nie wiedzieć. Komendant wszystko – wie, mówię, no nie? Panie komendancie, on dalej, ja nie żartuję. Albo ktoś robi ze mnie wariata, albo chce mnie zrobić w coś brzydkiego, nie wiem, mówi, ale ktoś, mówi, wyznaczył mi dziś na dziesiątą wieczór spotkanie. Wie pan gdzie?, mówi, w tej nie dokończonyj chałupie Wróblewskiego.

– Co to za chałupa? – przerwał pytaniem Rajski.

– Niechże pan słucha, kapitanie. Ta chałupa stoi kawał drogi za wsią, jak się jedzie do Okruszyny, to od szosy przez pola na prawo. Zupełne odludzie, mówię panu. „Oho, myślę sobie, ciemna sprawa. Ki diabeł ciągnie weterynarza o tak późnej porze do murów stojących w szczerym polu?” Ale nic. Słucham, co dany weterynarz Korala powie mi dalej. A on tak: Nie chcę, żeby mnie pan tam woził, panie komendancie, nie chcę, żeby pan na to miejsce za mną szedł, ale chciałbym pana prosić, żeby pan tam w pobliżu był. Mam jakieś głupie przecucie, powiedział. Dosłownie tak powiedział. Ja do niego: Panie Korala, nic się pan nie bój, o ile ktoś coś na pana zamierzył, to już ja mu dam taką szkołę, że mu się głupich żartów odechce. Co

pan proponuje, mówię, co mam zrobić? Ja teraz pójdę, on mówi, a pan niech stąd wyjdzie później, ale tak, żeby gdzieś o pół do jedenastej był pan na szosie naprzeciwko domu Wróblewskiego, zgoda? Zgoda, mówię, ale co ma być dalej? Dalej to, o ile do za kwadrans jedenasta nie przyjdę do pana na szosę, niech pan spróbuje mnie poszukać, dobrze? Dobrze, mówię, panie Koral, ale czy pan przypadkiem nie przesadza? Co to u nas, mówię, dziki zachód albo co? Western pan jakiś ułożył? A Koral: Sprawa jest poważna, panie komendancie i nie żarty mi w głowie. Niech pan powie: przyjedzie pan, jak o to proszę? Odwdzięczę się... Poskrobałem się po głowie, widzę, że człowiek nie kpi, więc mówię: Załatwione, o pół do jedenastej stoję z gazikiem na szosie. Dziękuję, powiedział i wyszliśmy z pokoju. On w sieni wciągnął na siebie kurtkę z kapturem, taką nieprzemakalną, a że spodnie miał całkiem przemoczone i uwalane przy tej krowie, to Gruza zaproponował mu swoje, a on się w nie przebrał, pożegnał i wyszedł...

Gruza do mnie: Janek, powiedz, co, u cholery, dzieje się z naszym weterynarzem? Ma jakieś kłopoty? Nawet przy krowie ruszał się jakoś niemrawo, wszystko mu z rąk leciało. Dlaczego on taki zdenerwowany? O czym gadaliście? Tajemnica służbowa, Józek – powiedziałem. Bo co miałem powiedzieć, kiedy sam nie wiedziałem wtedy, o co szło.

– A teraz już pan wie, sierżancie?

– Domyślam się. Ale ja nie z tych, panie kapitanie, żeby się chwalić swoimi domysłami. Pan posłucha do końca, wyciągnie wnioski, a ja powiem panu wtedy, co o tym myślę.

– Zgoda. Weterynarz wyszedł z domu Gruzy, pan tam został. Co dalej?

– Dałem słowo, musiałem pojechać. Na szosie do Okruszyny zawróciłem i zatrzymałem się na poboczu na wprost chałupy Wróblewskiego. Była punkt dwudziesta druga trzydzieści.

– Dlaczego nie zjechał pan bardziej na pobocze i dlaczego wyłączył pan wszystkie światła wozu?

Tatara nie zastanowiło, skąd Rajski o tym wie. Zafascynowany był własnym opowiadaniem.

– Między nami, panie kapitanie: akumulator mam pięcioletni i tak słaby, że bałem się całkowitego rozładowania. A zresztą byłem przekonany, że Koral przyjedzie lada moment, odwiozę go do domu i po krzyku.

– Ale tak się nie stało.

– Ano nie. Pięć minut wytrzymałem w gaziku i chociaż padało jak cholera, wziąłem latarkę i ruszyłem przez pola. Nie wiem, nie rozumiem, ale coś mi podpowiadało, że nie

powiniennem czekać dłużej, że muszę tam pójść. Niech diabli porwą tę drogę! Pan sobie wyobraża, jak się uświłem. Ze trzy razy leżałem na ziemi, zanim do tej chałupy doszedłem. Chodzę, świecę, wołam: Panie Koral, gdzie pan jest?! I nic. Nawet mysz nie pisnie.

– Czy wchodził pan do wnętrza tego domu?

– Ma się rozumieć, że wchodziłem. Oświetlałem każdy kąt i wszystkie ściany. Nigdzie żywego ducha. Pomyślałem sobie: „Albo Koral ze mnie zakpił, co jest do niego niepodobne, albo rozminęliśmy się po ciemku na polu i on już czeka na mnie przy wozie”. Pokrzyczałem jeszcze trochę i ruszyłem z powrotem. Przychodzę na szosę, patrzę, gazik stoi na miejscu, Korala nie ma, ale w pewnej odległości widzę jakieś światełko. Podchodzę, patrzę, fiat. Zerkam na numer, milicyjny. „Oho, pomyślałem sobie, trzeba zjeżdżać, bo o ile w środku siedzi jakaś starszyzna, to będzie wygawor za brak oświetlenia mojej budy...”

– Miał pan szczęście. W tym fiacie siedziałem właśnie ja. To znaczy spałem. Bo gdyby nie to...

– A to ci dopiero traf! Nie będę pytał, co pan kapitan robił na tej szosie, w tym właśnie miejscu, bo nie wypada.

– Powiem panu: spałem, bo jechać podczas tej ulewy nie miałem ochoty. Proste?

– Niby proste. Niech będzie. Pańska sprawa. W każdym razie ja szybko wsiadłem do swojej maszyny, odjechałem kawałek i kombinuję: „No, dobrze. Koral poszedł do domu Wróblewskiego, ale go tam nie ma. Swoje niby zrobiłem, prośbę człowieka spełniłem, mogę jechać odpocząć”. Ale nie! Znów mi coś podszeptuje: Tatar, ty jedź do domu Korala i jeśli on tam siedzi w ciepłych bamboszach, to mu przyłóż paroma mocnymi zdaniem, a jeśli go nie ma, to zaczekaj, niech wyjaśni, co to wszystko miało znaczyć. I tak zrobiłem...

...Wchodzę do domu Korala, jego żona już w negliżu, jakaś taka podminowana, pyta: A gdzie mąż? Z krową się męczy u Gruzy, mówię, bo co miałem kobiecie tłumaczyć. Prosił mnie, mówię, żebym przyjechał, uspokoił panią i zaczekał na niego. Ma do mnie jakąś sprawę. Tak jej powiedziałem. Poczęstowała mnie herbatą i gadaliśmy ze dwie godziny o tym i owym. Ale Koral nie nadchodził. Byłem, panie kapitanie, coraz bardziej niespokojny. Jak się okazało, przecucia mnie nie omyliły. To jest okropne! To jest po prostu okropne!

– Niechże się pan nie rozkleja. Proszę mówić dalej.

– Wolałbym o tym nie mówić. Wolałbym, żeby to wszystko było snem. Ale cóż robić? Zaplątał się człowiek w sieć, trzeba jakoś się z niej wyplątać. Tak więc posiedziałem u Koralowej może jeszcze z kwadrans, w końcu powiedziałem: Wie pani co? Jest późno, oni pewnie z tą krową mają większy kłopot, niż myślałem, ja już sobie pójdę. Kiedy mąż wróci, proszę powiedzieć, że byłem, czekałem i że jeśli ma jeszcze do mnie jakąś sprawę, to niech

się zgłosi. Ona mi podziękowała, powiedziała, że przez te bydłeta... Wie pan, to słowo „bydłeta” wypowiedziała tak jakoś z naciskiem, nie wiem dlaczego, więc że przez te bydłeta już nie pierwszą noc spędza bez męża w domu, no i wyszedłem. Schodzę ja, panie kapitanie, ze skarpy, bo ich dom stoi trochę wyżej od drogi, rozglądam się, latarką przyświecam i włos mi się jeży: mojego gazika nie ma! Zwyczajnie nie ma! W pierwszej chwili pomyślałem, że jest to dalszy ciąg kawału, jaki mi wygotował weterynarz. Odstawił mój samochód gdzieś dalej i teraz śmieje się ze mnie w kułak. „O, pomyślałem, takich dowcipów to ja nie lubię.” Co miałem robić? Zacząłem łązić po całej wsi i szukać mojego samochodu. Obszedłem wszystkie drogi, zaścianki, podwórza... Zmokłem... już nie powiem, jak zmokłem. Gazika nigdzie nie było. Wstyd jak cholera. Nad ranem poszedłem na posterunek, pytam dyżurnego, czy czego nie widział lub nie słyszał, ale ten gamoń na pewno spał jak zwykle i nic nie mógł powiedzieć. Ledwie zrozumiał, o co chodzi. Nasz gazik, mówię do niego, zniknął. A on spokojnie: Komendancie, nic się nie stało, znajdzie się... „A bodaj cię pokręciło, pomyślałem sobie, ty za nic nie odpowiadasz, łatwo ci mówić «znajdzie się».” Wszedłem za biurko, podparłem głowę i siedziałem bez ruchu aż do czasu, kiedy na posterunek przyszedł mocno zdenerwowany Hubert Ciernik, ojciec Felicji.

– Która była wtedy godzina?

– Prawie szósta.

III

Hubert Ciernik był mężczyzną czterdziestoletnim. Chudy i wysoki jak tyka, wyglądał jednak na człowieka będącego dobrze po pięćdziesiątce. Spracowane dłonie o grubych zakrzywionych paznokciach i gruzłowatych żyłach trzymał przed sobą skrzyżowane i mocno zaciśnięte jedna na drugiej. Milczący, poruszał się jakby bezwolnie i na wstępne pytania kapitana Rajskiego odpowiadał jak z łaski. Kapitan nie wiedział, czy znamionowało to jego normalny sposób bycia, czy też było skutkiem załamania psychicznego po śmierci córki. Stopniowo jednak ożywał się, a w pewnych momentach nawet wybuchał agresywnie nie licząc się absolutnie ze słowami.

Świadkiem rozmowy był starszy sierżant Jan Tatar. Siedział przy swoim biurku wyraźnie dumny. Kciuki po swojemu zatknął za pas opinający jego wydatny brzuch i stroił miny mające podkreślać ważność osoby komendanta.

– Gospodarz jestem – odpowiedział Hubert Ciernik na pytanie o zawód.

– Dobry gospodarz – nie omieszkał dodać komendant i posłał Ciernikowi spojrzenie mówiące: widzisz, bratku, ja tu także coś znaczę, więc uważaj...

– Jak długo w Sielawie? – pytał Rajski.

– Długo. Od urodzenia.

– Czy Felicja była waszym jedynym dzieckiem?

Zdawało się, że Hubert Ciernik nie powstrzyma łez. Wargi zadrgały, grdyka kilkakrotnie przesunęła się po guziku koszuli, dłonie mocniej oplotły jedna drugą.

– Jedynym – powiedział zdławionym głosem.

– Proszę wybaczyć, panie Ciernik, ale sam pan rozumie, że muszę pytać o wszystko, nawet o sprawy dla pana przykre. Jeśli mamy szybko wykryć winnego śmierci pańskiej córki...

– Jeśli go nie wykryjecie i nie powiesicie, to ja to zrobię. Ja go, takiego syna, własnymi rękami, o! – podniósł dłonie zaciśnięte w pięści i zatrzęsł nimi w powietrzu.

– Proszę się uspokoić. Jak się czuje pańska żona? – Rajski próbował sprowadzić Ciernika z drogi najboleśniejszej.

– Żona? Co żona? – Jakby nie rozumiał pytania. – Żona leży i wyje. Idźcie, posłuchajcie...

– Może potrzebuje opieki, pomocy? Czy jest w domu sama?

– Nie, masz lokator się nią zajął. To dobry człowiek.

- Jak się nazywa?
- Władysław Brała.
- Gdzie pracuje? U pana?
- Nie, w lesie. Robotnik. U mnie tylko mieszka.
- Rozumiem. A dlaczego dziś nie pracuje? Powiedział pan, że opiekuje się pańską żoną.
- Wolna sobota, czy jak to tam. Mają wolny dzień.
- Rzeczywiście. Zupełnie zapomniałem, że coś takiego istnieje. Jeszcze jedno: jak długo mieszka u pana ten Brała?
- Będzie ze dwa lata.
- To znacie się chyba dobrze, co?
- Pewnie, że znamy się. Mówiłem już, że to dobry człowiek, chociaż los go pokrzywdził.
- Jak to rozumieć?
- Rozwodnik. Żona go porzuciła dla innego. Taki los...
- Zalecał się może do pańskiej córki?

Milczenie.

- Pytam, czy ten Brała zalecał się do pańskiej córki, słyszy pan?
- Słyszę. A jakby i zalecał, to co?
- Nic. Ale proszę powiedzieć: tak czy nie?
- Ja nie wiem. Ale zdaje mi się, że nie.
- Czy innych kawalerów miała?

W tym momencie komendant Tatar wykrzywił twarz w grymasie sygnalizującym wybuch śmiechu.

- Co się Tatar tak szczerzysz?! – wypalił Ciernik. – Ty myślisz, że ona do końca życia pozostałaby starą panną?
- Ja... ja... – bąkał Tatar – wcale tak nie myślałem i nie myślę.
- Nie stękaj! – Ciernik zdenerwował się. – Ja wiem, że wszyscy tak myśleliście. Ale ja powiem: żeby nie ten s... syn, ta przybłęda, łachmyta, to Fela niejednego by znalazła. Inwalidką była czy co? Że dla niej odpowiedniego w Sielawie nie było, to co? Do miasta puciekali. Ale świat szeroki, gdzie indziej znalazłaby. Tylko ten przybłęda cholerny w głowie jej zawrócił.
- Kto, panie Ciernik?
- Kto? A to pan jeszcze nie wie? Ten nasz weterynarz z bożej łaski! Cała wieś o tym

wie, a pan” jeszcze nie? Nie donieśli? Nie zdążyli... Tak, nie zdążyli. – Ciernik umilkł.

– Zapali pan? – Rajski podsunął papierosa.

– Takich nie palę, a swoich zapomniałem. Dziękuję. Albo – zmienił zdanie – daj pan tego swojego rarytasa, spróbuję.

Chciwie zaciągnął się dymem i zakrztusił.

– Gryzą, cholery. I pewnie drogie, co?

Rajski pomyślał: „Ot, natura. Córka w trumnie, a jego interesuje cena papierosów”.

– Jak dla kogo – odpowiedział.

– No pewnie! Władza może sobie pozwolić.

– Nie jestem władzą, panie Ciernik. Czy możemy powrócić do rozmowy?

– Pan się mnie pyta? Nie ja tu najważniejszy.

– Zatem twierdzi pan, że córce Felicji zawracał głowę weterynarz Koral. Czy tak?

– Już ja go znajdę takiego-owakiego. Już ja mu wytłumaczę, gdzie jego miejsce. Panie kapitanie – pociągnął nieco dymu – czy on tu musi siedzieć? – oczami wskazał sierżanta Tatara.

– Nie musi, ale chyba panu nie przeszkadza, co?

– Jak mam być szczery, to do końca. Ale nie wiem, czy przy nim powinienem...

– Może pan i powinien. Komendanta, jak i mnie, obowiązuje tajemnica i nic się z tego pokoju na zewnątrz nie przedostanie. Gwarantuję to panu. Słucham, co chciał nam pan powiedzieć?

– Ważną rzecz. – Ciernik znów łypnął podejrzliwie na komendanta posterunku. – Zresztą on to potwierdzi – rzekł. – On wie najlepiej, jaka była moja Fela, co o niej gadali, co było prawdą, a co nie. Prawda, Tatar?

Ze sposobu zwracania się do komendanta wynikało, że Ciernik i milicjant pozostawali ze sobą w zażyłości. Kapitan Rajski wiedział, że na prowincji nie należy to do rzadkości i nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia.

– Prawda, Hubert. Obaj wiemy to samo – potwierdził komendant. – Mów śmiało, pan kapitan musi o wszystkim wiedzieć. Po to tu jest.

– Dobra. Zalecał się weterynarz do mojej Feli czy nie? Powiedz Tatar!

– Noo, jakby to objaśnić – zaczął dukać komendant.

– Ty nie objaśniaj, ty mów.

– Ludzie twierdzą, że tak. Spokoju jej nie dawał i w ogóle.

– Co znaczy w ogóle? Sprezyzujcie, sierżancie.

– Panie kapitanie, nie wiem, czy powinienem mówić za kogoś, ale jeśli pan uważa, to

powiem prosto z mostu: parę razy przyłapano ich w... tego, no, w podwójnej sytuacji – wystękał sierżant.

– Słyszysz pan? Słyszysz pan? – Ciernik napał na kapitana.

– Słyszę. Co z tego? Gdyby wszyscy ludzie, pozostający, jak to określił komendant, w podwójnej sytuacji, kończyli śmiercią, czy wiecie, co by się działo?

– Pan mu daje rozgrzeszenie?! – Ciernik wytrzeszczył oczy. – Pan to uważa za normalne? Żonaty mężczyzna, przybłąda nie wiadomo skąd, uwodzi moją córkę, pannę, a pan twierdzi, że nic się nie stało?

– Ależ, panie Ciernik. Przecież tak wcale nie twierdzą.

– A co pan twierdzi? Powiedz pan: gdzie on teraz jest? Gdzie jest ten zbój spod ciemnej gwiazdy? Nawiał, co? Córkę mi zepsuł i w nogi, tak? Morderca... – tym razem Ciernik nie zniósł ciężaru bólu i cicho zapłakał. Otarł łzy rękawem marynarki, mięśnie twarzy znieruchomiały w wyrazie twardej chłopskiej zawziętości.

– Można? – wyciągnął dłoń do papierosów.

– Proszę.

– To było jakiś miesiąc temu – zaczął mówić zmienionym głosem, pozbawionym już nuty żalu. – Fela któregoś dnia powiedziała, że pojedzie do Okruszyny. A po co ty do Okruszyny, dziecko, pytam się jej. A, mówi, koleżankę tam mam, zaprosiła mnie w odwiedziny. Prezes spółdzielni jedzie swoim samochodem do Okruszyny, to się zabiorę za darmo. Myślę sobie: „Jedź, skoro chcesz”. Ale przecież wiedziałem, że Fela w Okruszynie nikogo nie zna i coś kręci. No to jeszcze tego samego dnia poleciałem do prezesa i mówię: Kaziu, jutro Fela ma jechać z tobą do Okruszyny, prawda to? A tak, on mówi, prawda. Prosiła mnie o wolne w sklepie i o podwiezienie. To ty zwróć uwagę, mówię, co ona tam będzie robiła. Wiesz, dziewczyna żywa, kielbie we łbie, zdaje mi się, że ona coś kręci. Zobacz, mówię, czy się tam z kimś spotyka, czy nie. A prezes jak to prezes, co ty, mówi, niańką mam dla niej być? Dziewucha dorosła, a ty, mówi, jak dzieciaka za rękę byś prowadził. Ale dobrze, mówi, uwagę zwrócę, chociaż czasu za wiele nie będę miał. Wrócimy, to ci powiem, co zauważyłem.

...Przyjechali z Okruszyny pod wieczór. Patrząc, moja Felka blada jak ściana, no, dosłownie na nogach się ślania, nic nie mówi, tylko do swojego pokoiku idzie, na łóżko się wali, leży. Co ci jest, dziecko? – pytam się jej. A, nic tato, pewnie nie mogę jeździć samochodem, tak mnie jakoś zemdliło... Pochyliłem się nad nią, pamiętam, i coś jakby smrodek gorzały do mojego nosa doleciał. Ale nie powiedziałem nic, tylko poleciałem do prezesa. A on tak: Hubert, ty się nie gniewaj, ale ja tobie muszę to powiedzieć. Co, co

takiego? – dopytuję się. Wyobraź sobie, Fela była u Ciszewskiego. U jakiego znowu Ciszewskiego? Kto to jest? To ty nie słyszałeś? Toć to najślynniejszy ginekolog w okolicy! Wszystko we mnie zadygotało. „Skrobała się, pomyślałem. Jak dwa razy dwa pojechała się skrobać, a potem dla niepoznaki wypła trochę wódki, żeby mnie na inną myśl naprowadzić.” I przez kogo to wszystko? To było jasne. Biegiem poleciałem do Korala. Dopadłem go w lecznicy. W mordę raz, w mordę drugi i mówię: o ile od mojej Feli nie odczepisz się raz na zawsze, to spakujesz manele i w Sielawie noga twoja nie będzie miała prawa stanąć. Myśli pan, że protestował? Ani słowem. To ja do domu i, przyznaję, może nie powinienem tego robić, ale złość mnie poniosła straszna i Fełę, tak jak leżała, sprąłem batem do krwi. Ja ci dam Korala! Ja ci dam ojca okłamywać! Ja ci dam wycieczki do Okruszyny!... Krzychałem podobno jak dziki, stara ledwie mnie odciągnęła. A teraz co? Co ja, co my teraz zrobimy?...

– Panie Ciernik. Rozumiem pańskie położenie i współczuję panu. Stało się bardzo dobrze, że tak ze szczegółami opowiedział mi pan o wszystkim. Korala znajdziemy, proszę być tego pewnym. Ale z góry, mój drogi, nie można nikogo o nic posądzać. Żadnych dowodów przeciwko niemu nie mamy.

– Jak to nie macie? A moja Fela?

– Pańska córka jest ofiarą. Dowodów musimy dopiero poszukać.

– To ja wam zaraz jeden dam.

– Proszę, jaki?

– Ja go widziałem. Wczoraj. Widziałem, jak wchodził do bramy obok sklepu, na podwórze. Tamtędy można iść tylko do sklepu od zaplecza albo do biura, nigdzie indziej. To dokąd on szedł? Ja się pytam: dokąd on szedł?

– Korala pan widział? O której godzinie?

– Jak idę do stodoły albo wyglądam przez okno, to nie sprawdzam godziny, bo i po co. A właśnie akurat wyglądałem przez okno, o, tam mieszkam – wyciągnął rękę wskazując na przeciwległą stronę ulicy. – Mogła być dziewiąta, może później. Widziałem go! Wchodził do bramy. Zrazu chciałem biec za nim, ale pomyślałem sobie: „Pierwsze ostrzeżenie już dostał, poczekam”.

– To niemożliwe. Z takiej odległości i podczas takiej ulewy jak wczorajsza nie mógł pan rozpoznać Korala. Niech się pan dobrze zastanowi.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. Poznałem go. Był w tej swojej kurtce z kapturem i szedł do bramy.

– Czy tylko on jeden nosi kurtkę z kapturem?

– Nie tylko. Ale ja go poznałem po wszystkim: po wzroście, po chodzie, po

wszystkim.

– I jest pan absolutnie pewny, że to był właśnie Koral, weterynarz?

– Absolutnie. Dam sobie uciąć rękę.

– Co pan zrobił następnie?

– A co miałem robić? Powyglądałem przez okno... Aha, zobaczyłem, że w biurze na piętrze pali się światło, w księgowości, ale tam Koral nie mógł pójść. Tak sobie pomyślałem, pogapiłem się na deszcz i poszedłem spać. Ale zasnąć nie mogłem. Fela często pracowała po godzinach. Sklep duży, roboty na jedną parę rąk aż nadto. Toteż nie jej nieobecność niepokoiła mnie, ale to, że polazł do niej ten łotr. I jeszcze zastanawiałem się... ale to były chyba przywidzenia, to chyba wiatr...

– Proszę mówić. Nawet przywidzenia lubią się czasem materializować. Widział pan coś jeszcze tego wieczora?

– Widzieć, to nie widziałem, ale słyszałem, że po naszym obejściu ktoś łązi. To nie mógł być nasz lokator, znaczy się Brała. O takiej porze, to on albo już urżnięty, albo siedzi w gospodzie. To nie był on. To było takie człapanie, no, nie wiem, jakby kogoś obcego. Człapał i człapał, a ja sobie myślałem: „Możesz łązić i tak się nie pożywisz”.

– Czy nie próbował pan sprawdzić, kto to mógł być?

– Nie było potrzeby. Co innego chodziło mi po głowie.

– Mianowicie co?

– Przecież powiedziałem: Fela i weterynarz. Z tego powodu nie mogłem spać. Nad ranem poszedłem do pokoju Feli. Nie było jej. Zbudziłem żonę. Popatrz, mówię, jak jej to lanie pomogło: znów włóczy się po nocy z weterynarzem. To idź i zrób coś – żona na to. No to się ubrałem i poszedłem. Drzwi od tyłu, te blaszane były otwarte, to znaczy nie zamknięte na kłódkę. Wszedłem do magazynu – Jezus, Maria! – moja Fela leży cała we krwi... Nawet jej nie dotknąłem, nie mogłem, ten widok odebrał mi władzę we wszystkich członkach. Nie wiem, nie pamiętam, jak i kiedy doszedłem do Tatara. Nie wiem...

– Idziemy, komendancie.

– Dokąd, panie kapitanie?

– Do domu Wróblewskiego, dopóki jest widno i słonecznie. Niech pan tu kogoś posadzi przy telefonie.

– Robi się, panie kapitanie.

Fiatem Rajskiego dojechali do miejsca, w którym ubiegłej nocy stały ich samochody.

Widać stąd było wyraźnie całą okolicę. W odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów samotnie stały mury domu Wróblewskiego. Udali się w tamtą stronę polem, wypatrując ewentualnych śladów stóp. Deszcz rozmył ziemię doszczętnie; zresztą był to ugór porośnięty dziką trawą. W zagłębieniach terenu stały jeszcze kałuże wody. W miarę jak zbliżali się do domu, ugór zmieniał się w coraz bardziej gliniastą, pozbawioną roślinności pustynię.

– Czy tu nie ma żadnej porządnej drogi?

– Jest, panie kapitanie, ale z drugiej strony, od Głębinowa. Tak jakoś dziwnie jest ta posesja położona – odparł sierżant Tatar.

Obeszli dom dookoła. Była to jak na miejscowe stosunki rzeczywiście duża willa pokryta blaszanym dachem. Wszystkie otwory okienne zabite zostały deskami, do wnętrza można się było dostać wyłącznie przez drzwi, jedyne po tej stronie domu i pozbawione jakiegokolwiek osłony.

Zanim weszli do środka, dokładnie spenetrowali otoczenie. Metr po metrze obejrżeli ziemię w nadziei, że gdzieś przecież na tym gliniastym gruncie musiał pozostać jakiś odcisk obutej stopy, choćby nawet niekompletny. Siła deszczu musiała być jednak ogromna. Miejsca, nie porośnięte trawą, rozmyte zostały zupełnie, a jedynymi śladami były na nich koliste wgłębienia podobne do cętek po ospie, usiane obok siebie jak ziarna słonecznika.

Weszli w oddalone nieco od domu krzaki. Były gęste, ale ktoś je przerzedził. Co kilka kroków natykali się na zrąbane pniaki różnej grubości.

– Interesujące... – mruknął sierżant Tatar.

– Co pan mówi? – kapitan nie dosłyszał.

– Mówię, że ciekawe, kto to zrąbał i na co to komu było potrzebne. Przecież na posesji Wróblewskiego od dawna nikt niczego nie robił, nawet bydła nie ma czym wypasać. Ciekawe...

– Może dzieci potrzebowały chrustu na ognisko?

– Może. Ale nie. Niech pan popatrzy, panie kapitanie, jednym uderzeniem siekiery dzieciak takiej brzoźki nie zetnie. Do tego trzeba większej siły.

– Możliwe. Chodźmy do tego domu, nie ma się nad czym zastanawiać.

– Jak pan uważa.

Przystanęli na murku w drzwiach. Przed nimi znajdowało się pachnące cegłą i wapnem spore pomieszczenie, a u ich stóp prostokątny wykop w ziemi o wymiarach, na oko licząc, trzy na cztery metry. Z pewnością właściciel domu zamierzał urządzić tu piwnicę, a może zainstalować urządzenia centralnego ogrzewania. Wykop miał głębokość około dwóch metrów, a jego dno spowite było mrokiem.

– Trzeba tam zejść – rzekł kapitan Rajski.

Sierżant Tatar zapytał z głupia frant:

– Ja mam tam zejść czy pan, kapitanie?

– Boi się pan?

– Ja? Bać się? A czego? Chyba mi pan pomoże wyleźć z tej jamy, bo mi kałdun jednak trochę ciąży.

– Bez obawy, pomogę.

Sierżant Tatar z podziwu godną lekkością zeskoczył w dół. Coś zachrząściło.

– Miał pan rację, kapitanie – powiedział. – To z pewnością dzieciaki. Pełno tutaj gałęzi. Może sobie urządziły kryjówkę albo co?

Kapitan Rajski pochylił się nad wykopem.

– Niech pan odrzuci te gałęzie i sprawdzi, co jest pod nimi.

– Już to robię... – A po chwili: – Ni cholery, tylko ziemia i ceglany gruz.

– Jaka ziemia?

– Normalna, jak ziemia.

– Mokra, czy sucha?

– Dziś wszystko jest mokre, kapitanie. A ziemia w takim dole jest zawsze trochę wilgotna.

– A chrust? Chrust jest suchy?

– Jak pieprz... Chwileczkę. Coś tu za miękko.

– Gdzie jest miękko?

– Pod nogami. Czuję jakbym chodził po bagnisku. Niech mi pan poda jakąś deskę, trochę to miejsce rozgrzebię.

Przez kilka minut słychać było jak sierżant głośno sapie i jak pod naciskiem deski odskakują na boki kawałki cegieł.

Nagle wszystko ucichło.

– I co, sierżancie, dogrzebał się pan czegoś? Cisza.

– Zatkano pana? Ej, sierżancie!

– O, rany! – jęknął sierżant. – Panie kapitanie, tu jest noga!

– Noga? Co pan wygaduje?

– Słowo honoru, tu jest czyjaś noga... Boję się kopać dalej...

– E, fujara z pana. – Tomasz Rajski jednym skokiem wylądował obok sierżanta.

– Gdzie, pokaż pan?

– O, tutaj!

Rzeczywiście spod mieszaniny ziemi i gruzu wystawała obuta w gumiak stopa człowieka.

Bez słowa jęli energicznie rozgrzebywać rumowisko. Po wielu minutach sierżant Tatar odwrócił się i przyłożył dłonie do ust.

– Nie mogę, kapitanie... Ja pierwszy raz... Taki widok.

– Weź się pan w garść. Taka już jest ta nasza cholerna robota. No, jeszcze trochę, niechże mi pan pomoże... – Ale sierżant nie zmienił pozycji.

– Proszę spojrzeć – wyrwał go z odrętwienia głos kapitana. – Kto to jest?

– O, rany! To jest przecież Marian Koral, nasz weterynarz!

– Na pewno?

– Jak tu stoję.

– Dziwna historia... Nie sądzi pan, że odnalazł się nadspodziewanie szybko? Ej, sierżancie, co pan o tym myśli?

– Nic nie myślę.

– No to wyskakuj pan z tego dołka i biegiem do telefonu. Tu ma pan numer, niech natychmiast przysyłają ekipę dochodzeniową. No, ruszaj pan!

– Może ja tu zostanę, pan kapitan ma samochód, będzie szybciej...

– A nie narobi pan w portki?

– W tym grobie siedział nie będę, ale od drzwi się nie ruszę.

Kapitan spojrział na zwłoki. Spoczywały na wznak, z lekko podkurczonymi nogami. W czole denata ciemniał otwór okolony zakrzepłą krwią.

IV

– Wprawdzie usunął mnie pan stąd – rzekł z lekką urazą w głosie kapitan Wiktor Salski – ale, jak pan widzi, wyższe, że się tak wyrażę, okoliczności połączyły nas znowu. Co pan na to?

– Cieszę się. Serio. Cieszę się, że przysłano tu właśnie pana, kolego, a nie kogoś innego. Co dwóch kapitanów, to nie jeden, prawda?

– Talenty nie zależą od stopni, pan o tym wie najlepiej.

– Powiedzmy sobie zatem, że obydwaj jesteśmy bardzo utalentowani i proponuję, abyśmy skończyli już z wzajemnymi docinkami. Czekają nas dużo pracy. *A propos*: czy mogę wiedzieć, dlaczego mnie pan nie lubi, kapitanie Salski?

– Szczęściarz z pana. Może panu zazdrościć?

– Czego?

– Interesujących spraw.

– Łgarstwo. Ale niech będzie. Chociaż tym razem ten argument odpada; obydwaj mamy interesującą sprawę. To jak będzie? Zgoda między nami?

– Zgoda. Tylko proszę mną za bardzo nie dyrygować. Nie cierpię tego.

– Dyrygować? Ależ... jesteśmy partnerami i jeszcze raz powtarzam: cieszę się z pańskiej obecności. Ale do dzieła. Co pan proponuje?

– W tym stanie rzeczy powinniśmy chyba trochę poczekać. Ciało denatów w prosektorium, nasze pracownice też jeszcze z ekspertyzami niegotowe, dopiero na jutro obiecano mi komplet materiałów. Tymczasem cóż... Moglibyśmy pójść razem na miejsce zabójstwa Felicji Ciernik i obejrzeć je dokładnie. Wszak pan tam jeszcze nie był, prawda?

– Niezła myśl. Czy Korolowa, żona weterynarza, została już o tragedii zawiadomiona?

– Tak. Byłem u niej z sierżantem Tatarem.

– Jak się zachowała?

– Trudne pytanie. Szczerze mówiąc nie wiem, jak jej zachowanie określić. Zachowywała spokój. Na wiadomość o śmierci męża spojrzała na mnie tak, jakby się tego spodziewała. Nie rozumiem. Zapłakała, ale odniosłem wrażenie, że jej łzy były cokolwiek udane, może nawet wymuszone...

– Czyżby? Żadnych „ochów”? Żadnych przejawów kobiecej hysterii? Nic z tych rzeczy?

– Nic. Podziękowała nam za wiadomość w taki sposób, jak się dziękuje za

grzecznościową wizytę.

– Rozumiem. Po wsi już się to pewnie rozniosło wcześniej.

– Z pewnością. Tatar ma tu tak wielu przyjaciół, że chyba się wygadał. A tak na marginesie: wydaje mi się, że możemy mieć z niego pociechę. To nie jest tuzinkowy sierżant.

– To znaczy?

– Zna środowisko. Zna tu wszystko i wszystkich. Uważam, że powinniśmy śmiało korzystać z jego pomocy i doświadczenia.

– Racja. Przejdziemy na „ty”? – zaproponował nieoczekiwanie Rajski.

Podali sobie dłonie.

– Bądź łaskaw zapamiętać – rzekł Rajski – że wieczorem musimy przeprowadzić eksperyment. Trzeba sprawdzić, czy Ciernik, ojciec Felicji, mógł z okna swego domu rozpoznać człowieka wchodzącego do bramy gminnej spółdzielni. Podstawimy mu kogoś spośród osób znanych we wsi. Jestem pewny, że się na tym wysypie.

– Skoro tak, to po co eksperyment? Podejrzewasz go?

– Zbyt mocno powiedziane. Chcę mu się przyjrzeć. On pała taką nienawiścią wobec Korala, że wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że to on go uśmiercił.

– A Felicję kto? Ojciec? Własną córkę?

Kapitan Rajski nie odpowiedział.

Z posterunku do sklepu było kilkanaście metrów. Po drodze spotkali mężczyznę, który ich zatrzymał, pozdrowił z wyszukaną elegancją, przedstawił się jako prezes gminnej spółdzielni i zapytał, czy mogłby okazać swoją pomoc.

– W razie potrzeby znajdziemy pana – powiedział Rajski. – Tymczasem proszę nam tylko powiedzieć, czy był pan na miejscu zabójstwa Felicji Ciernik?

– Co pan ma na myśli? – Kazimierz Skwarski, wyglądał na przestraszonego. – Byłem tam dziesiątki razy, ale ani wczoraj, ani dzisiaj, jeśli to pana interesuje.

– Właśnie to. I jeszcze jedno: w jaki sposób i komu sklepowa przekazywała zazwyczaj pieniądze z codziennego utargu?

– Zawsze w jakąś godzinę po zamknięciu sklepu odnosiła utarg wraz z raportem do filii banku. Czasem, kiedy obroty były niskie, zdarzało się, że łączyła raporty i pieniądze z dwóch dni.

– Niskie, to znaczy jakie?

– No, powiedzmy kilka tysięcy złotych.

– Wczoraj pieniędzy nie odniosła.

– Nie, wczoraj nie i przedwczoraj także nie. Nie wiem, niestety, jaką kwotę utargowała

w ciągu tych dwóch dni, ale myślę, że musiała mieć w kasie około dwudziestu tysięcy złotych. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy będzie możliwe przeprowadzenie remanentu i otwarcie sklepu?

– W tej chwili jeszcze nie mogę. Ale pospieszymy się. Zawiadomimy pana. Czy spółdzielnia ma w Sielawie tylko ten jeden sklep?

– Niestety. W tym cała trudność. Mam teraz z zaopatrzeniem mieszkańców ogromne kłopoty. Najbliższy sklep znajduje się w odległości sześciu kilometrów.

– Jakoś musicie sobie radzić: zorganizować dowóz najpotrzebniejszych artykułów lub w inny sposób. Postaramy się, aby pieczęcie na drzwiach długo nie pozostawały. Do widzenia panu – rzekł Rajski i pociągnął za sobą Salskiego.

Zdjęli pieczęć z obitych blachą drzwi do kantorka.

– Zapal światło – powiedział Rajski – i opisz mi sytuację w momencie odnalezienia zwłok.

– Ona leżała tam – Salski wyciągnął rękę wskazując następne pomieszczenie. – Tam jest podręczny magazyn, dość obszerny, ale w sumie graciarnia. Zresztą zobaczysz sam.

Przeszli do magazynu i zatrzymali się w progu.

– Czy wszystko jest tu jak wczoraj? Niczego nie przestawialiście?

– Poza zwłokami i zdjęciem odcisków nikt niczego nie ruszał. Warto jednak pamiętać, że przed nami był tu ojciec Felicji, sierżant Tatar, a kto wie, czy nie narobili tu zamieszania jacyś przypadkowi przechodnie. Przecież Ciernik wszczął alarm, sam pobiegł na posterunek, ale do wejścia tutaj ktoś mógł zostać sprowokowany. Diabli wiedzą, jak to z tym było. Obawiam się, że możemy położyć krechę. Nikt się nie przyzna, że był tutaj.

– Szkice, zdjęcia wykonane przepisowo?

– Nie obrażaj mnie.

– W porządku. To my tu teraz trochę pobuszujemy. Aha, to jest to miejsce – rzekł widząc zakreślony na podłodze kontur ciała. – Jak leżała? W jakiej pozycji?

– Na wznak. Nogi i ramiona rozrzucone, odzież i twarz zbryzgane krwią. W czole, w pobliżu lewej skroni, dosłownie jama po uderzeniu jakimś twardym narzędziem. Poza tym ciało bez zadrapań, czyste bez najmniejszych śladów walki. Włosy upięte w kok, nawet dość szykowny...

– Daruj sobie... Czy znaleźliście jakieś niedopałki papierosów, ślady po picciu alkoholu, naniesione z dworu błoto?

– Nic z tych rzeczy.

– Nic? To dziwne. Przecież lało jak cholera i niepodobieństwem było wejść do

jakiegokolwiek pomieszczenia nie wnosząc na obuwiu choćby minimalnych ilości błota.

Może nie zwróciłeś na to uwagi?

– Owszem, zwróciłem, ale podłoga wyglądała tak, jak w tej chwili.

– Dziwne – powtórzył kapitan Rajski.

– Ja także uważam, że jest to niewytłumaczalne. Przynajmniej chwilowo.

– Chwilowo, to znaczy jak długo według ciebie?

– Kiedy go capniemy, to nam powie. A kiedy go capniemy, to właśnie upłynie chwila.

– Dowcipny jesteś. Rozejrzyjmy się.

– Czego masz zamiar szukać?

– Wszystkiego, co nam się może przydać. Gdybym wiedział, że sklepowa ukryła gdzieś tutaj kilka milionów, szukałbym tych milionów. Tymczasem poszukamy wiatru w polu.

– Żeby go tylko złapać.

– Kogo? Zbrodniarza?

– Nie, najpierw ten wiatr.

– Szukajmy.

Mimo wyjątkowo starannych oględzin wszystkich trzech pomieszczeń: kantorka, magazynu i sklepu – nie znaleźli niczego, co mogłoby chociaż o jotę przybliżyć ich do tajemnicy zabójstwa. Skontrolowali wszystkie zakamarki, szuflady, półki, regały, wnętrza paleniska w piecu, zaglądali do naczyń, pod kontuar, wszędzie, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

Zniechęceni opuścili sklepowe wnętrza. Właśnie nakładali pieczęcie na drzwi, kiedy nadbiegł starszy sierżant sztabowy Jan Tatar.

– Panowie, sensacja! – zawołał. – Mój gazik stoi przed posterunkiem.

– A kto go tam postawił? – spokojnie zapytał Rajski.

– Kumple z Okruszyny przyciągnęli. Jest bez paliwa i w stanie, że tak powiem, oplakany.

– Gdzie go znaleźli?

– Cztery kilometry przed Okruszyną.

– Ile kilometrów jest stąd do Okruszyny?

– Osiemnaście.

– To znaczy, że mieliście paliwa w zbiorniku tylko na dziesięć kilometrów?

– Możliwe, dawno nie tankowałem.

– A czy ci „kumple” z Okruszyny są jeszcze na posterunku?

– Oczywiście. Czekają na pana kapitana.

Przed posterunkiem gminnym stał pojazd okryty brezentowym dachem i opatrzony tablicą rejestracyjną YMAN-055678. Podeszli do samochodu. Lewe drzwi były uszkodzone i wyglądało na to, że ktoś próbował otworzyć je siłą, przy użyciu jakiejś dźwigni, a gdy to się nie udało, stłukł szybę. Stacyjka włączająca zapłon była rozkręcona, a przewody zwarte. Jednak największa niespodzianka spoczywała na prawym przednim siedzeniu. Był to młotek. Zwyczajny młotek z zabrudzonym trzonkiem i odłupanym kawałkiem żelaza na cieńszym końcu. Nawet mało wprawne oko dostrzegłoby, że obuch młotka pokryty jest zaschniętymi, rdzawymi plamami krwi.

– Dawajcie tu tych z Okruszyny – rozkazał kapitan Rajski.

Z posterunku wyszli dwaj porucznicy. Przywitali się.

– Kiedy to pudło zostało odnalezione?

– Tuż przed południem. Dostaliśmy cynk od taksówkarza.

– Co powiedział?

– Nic takiego. Że przejeżdżał obok, zdziwił go widok stojącego w polu i uszkodzonego samochodu milicyjnego, no i dał nam znać.

– Jego nazwisko.

– Bolesław – Fiutak, numer boczny 91. To starszy gość, już ze dwadzieścia lat siedzi za kółkiem.

– I co zrobiliście?

– Na hol i przyciągnęliśmy samochód tutaj. Wiedzieliśmy już od rana, do kogo należy.

– Jak to? Tak od razu na hol i jazda? Nie zauważyliście jak wygląda wnętrze samochodu?

– Panie kapitanie, tacy zieloni to my nie jesteśmy – zaśmiał się niższy z poruczników.

– Przecież nawet ostatni dureń dostrzegłby, że coś jest nie tak. Po pierwsze samochód został skradziony i już samo to musiało się wydać podejrzane, a po drugie w środku kupa błota, stacyjka rozebrana, no i ten zakrwawiony młotek... Nooo, tacy głupi to my nie jesteśmy. Zebraliśmy wszystkie ślady i odciski, obfotografowaliśmy zarówno samochód jak i miejsce, w którym został znaleziony. Nie ruszaliśmy tylko młotka, mógł zmienić położenie podczas holowania samochodu, ale staraliśmy się jechać ostrożnie jak z porcelaną.

Kapitan Rajski odciągnął porucznika na stronę i o czymś krótko rozmawiali. Porucznik odwrócił się plecami do pozostałych i w sposób iście konfidencjonalny pokazał Rajskiemu mały plastikowy woreczek, w którym czerwieniło się coś podobnego do skręconej nitki. Rajski, zadowolony z tego, co zobaczył, zwrócił się do swego współpracownika:

– Salski, weź, chłopie, ten młoteczek, zabezpiecz, wsiadaj do mojego fiata i pędem do naszego laboratorium. Wiesz, co trzeba z tym zrobić. Wracaj czym prędzej z wynikami. A wam, panowie, dziękuję. Niezła robota. Czy komendant Tatar zdążył wam już podziękować?

Sierżant Tatar promieniał. Nie tyle ze względu na słowa Rajskiego, ile ze względu na to, że jego maszyna nie będzie mu się już śnić po nocach.

– Wiktor – przypomniał Rajski Salskiemu. – Wracaj tu naturalnie z młotkiem. Musimy odnaleźć właściciela. Nie zapomnij też zabrać do Warszawy wszystkiego, co w gaziku znaleźli koledzy z Okruszyny.

– W tej sytuacji – powiedział kapitan Salski, z największą pieczołowitością pakujący młotek do plastikowego woreczka – wieczorem zajmiesz się chyba czymś innym zamiast eksperymentu z Ciernikiem, co?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo wydaje mi się to całkowicie zbyteczne. Jasne jest, że wchodzącym do bramy sklepu nie mógł być weterynarz Koral. Czyżbyś już nie pamiętał, że mamy tutaj dwa trupy?

– Nie zapomniałem. Koral mógł z powodzeniem rozprawić się z Felicją Ciernik, a potem, niezależnie od tego, samemu paść ofiarą. I właśnie, żeby to móc wykluczyć, potrzebny nam jest między innymi ten eksperyment. Zrozumiałeś?

– Powiedzmy. Ale dlaczego mówisz „między innymi”? Czyżbyś miał już gotowy plan dalszych przedsięwzięć śledczych? Czy myślisz także o jakichś innych eksperymentach?

– Powiedzmy – w tym samym tonie odparł kapitan Rajski i przynaglił swego kolegę.

– Macie tu niezły befsztyk – powiedział jeden z poruczników z Okruszyny, gdy kapitan Salski już odjechał. – Takiej afery nie mieliśmy w tej okolicy chyba od kilkunastu lat.

– Ja takiej wcale sobie nie przypominam – dodał drugi z poruczników. – Owszem, zdarzały się podpalenia, mordobicia, okaleczenia, ale żeby dwa trupy naraz, tego troszkę za wiele...

– Wszystkiego mamy za wiele – rzekł Rajski patrząc w zamyśleniu na wnętrze samochodu sierżanta Tatara. – Można powiedzieć, że jak na dwa tajemnicze morderstwa, to spotyka nas zbyt szybko i zbyt wiele szczęścia naraz.

– Myśli pan o tym młotku, kapitanie?

– Nie tylko. Ale o młotku także. Ten przedmiot jest prawdopodobnie narzędziem zbrodni. Narzędziem odnalezionym szybko, właściwie bez żadnych zachodów i to w samochodzie milicyjnym skradzionym przed niewieloma godzinami. Samochód jest również. Najpierw mieliśmy zwłoki dziewczyny i mogliśmy przypuszczać, że weterynarz ulotnił się. Tymczasem Korala znajdujemy martwego i to także jak na zawołanie. Co o tym sądzicie,

koledzy?

– To jest jasne – powiedział niższy z poruczników. – W grę wchodzi ktoś trzeci.

– Niewątpliwie – dodał sierżant Tatar przysłuchujący się rozmowie. – Ja jestem, panie kapitanie, za tym eksperymentem z Ciernikiem, wspomniał mi o tym kapitan Salski, i za sprawdzeniem alibi wszystkich podejrzanych.

Kapitan Rajski roześmiał się.

– A macie już na oku jakiegoś podejrzanego, komendancie?

– Te, gminny detektywie – rzekł z przekąsem niższy z poruczników. – Nie wiedziałem, że jesteś taki bystry – zakpił. – Powiedz panu kapitanowi, kto według ciebie zaciukał tych dwoje, no powiedz...

– Kiedy będę wiedział, to powiem, możesz być tego pewny – odparł wcale nie zbity z tropu ani nie urażony sierżant Tatar. – Ty myślisz, że jak masz gwiazdki, to już jesteś mądrzejszy od wszystkich sierżantów? – odciął się.

Byli kolegami od lat i Tatar mógł sobie na takie słowa pozwolić.

– Panowie... – Rajski przerwał tę wymianę zdań. – Szkoda czasu na takie rozmowy.

– O, idzie Mariola – powiedział sierżant Tatar. – Ona pracuje w księgowości. Może by z nią pogadać, panie kapitanie?

– Pomysł godny Sherlocka Holmesa, sierżancie. Czołem, koledzy. Poproście sierżancie tę panienkę na posterunek, będę czekał w waszym pokoju.

Mariola Więckówna trzęsła się z wrażenia jak w febrze. Nigdy jeszcze nie świadkowała, nigdy nie miała styczności z milicją i do wszelkich mundurów odnosiła się z paniczną wręcz obawą. Przysiadła skromnie na rozku krzesła; dłonie ciągle krążyły wokół jej twarzy: to poprawiała włosy, to przepędzała z nosa nie istniejącą muchę, to drapała się za uszami...

– Niechże się panienka uspokoi. Tu nie piekło, a my nie diabelskie moce, nie ma się czego obawiać. Dlaczego panienka jest taka zdenerwowana? – zaczął Rajski.

– Ja? – Mariola próbowała nadrabiać miną. – Ja wcale nie jestem zdenerwowana. Ja tylko... Ja tylko... – bąkała – nie wiem, co powiedzieć. To było przecież takie straszne! – ukryła twarz w dłoniach.

– Spokojnie, spokojnie... Co było straszne? Proszę nam powiedzieć.

– No, to, co się stało w sklepie.

– Pani wie o tym coś więcej niż my, panno Mariolu?

– Przecież pracowałam wtedy na górze.

Rajski nie potrafił ukryć zadowolenia, które wykwitło na jego twarzy szerokim uśmiechem. „Racja – pomyślał – wszak Ciernik wspominał o tym, że na piętrze paliło się światło. Ta panienska może się okazać bardzo mocnym ogniwem w łańcuchu śledczym...”

– Wiemy o tym – powiedział głośno – i dlatego panią tu poprosiliśmy. Chcielibyśmy znać szczegóły. Od której godziny pani tam pracowała?

– Tylko co zjadłam obiad i zaraz wróciłam do biura.

– Mimo deszczu?

– Wtedy jeszcze nie padało.

– Rzeczywiście. I co pani robiła?

– To, co zwykle. Przeglądałam księgi rachunkowe prowadzone przez starsze koleżanki, żeby się czegoś nauczyć. Robiłam rozliczenia na kartkach, a potem sprawdzałam je z dokumentami, czy się zgadzają, no, czy już umiem samodzielnie i bez błędu coś zrobić.

– Jakie ma pani wykształcenie?

– Dwa lata technikum rolniczego. Ale zrezygnowałam, kiedy pan prezes zaproponował mi tę pracę.

– Rozumiem. Pan, komendancie, notuje zeznania panny Marioli?

– To są zeznania? – przestraszyła się.

– Tak, to są zeznania. Ważne zeznania i dlatego proszę się nad każdą odpowiedzią dobrze zastanowić i mówić wyłącznie prawdę. Czy, kiedy przyszła pani do pracy, Felicja Ciernik znajdowała się w sklepie?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Myślałam o niej, to prawda, bo po tej historii z Pszczeliną strasznie się w duchu na nią zirykowałam. Jak można być takim nieopanowanym. Do tego będąc kobietą!

– Pani dobrze znała Felicję Ciernik?

– Kto jej nie znał! – Mariola powiedziała to tak, jakby co najmniej połowa kraju musiała znać Felicję i to z najgorszej strony.

– Pytam, czy pani znała ją dobrze.

– Czy dobrze? – Mariola zastanowiła się. Odpowiadała teraz pewnie, zażenowanie przemineło, doszła widocznie do przekonania, że to przesłuchanie nie jest wcale takie straszne. – Za dobrze – powiedziała – to chyba nie, ale tak średnio.

– Jak to należy rozumieć?

– Koleżankami nie byłyśmy, ale rozmawiać, to rozmawiałyśmy ze sobą dosyć często. A poza tym, to o Felicji mówiła cała wieś i zawsze docierały do mnie jakieś nowinki.

– Na przykład?

– No, na przykład, że mężczyźni rozpija albo...

– Panie kapitanie – komendant Tatar uznał za stosowne wtrącić się – to jest wierutne łgarstwo. Felicja chłopów nie rozpijała. Sami chlali, z własnej woli. A że ona sprzedawała alkohol bez ograniczeń? Dlaczego miała tego nie robić, jeśli miała premię ze spółdzielni obliczaną od kwoty obrotów w sklepie? Taka jest prawda, panie kapitanie.

– W porządku, komendancie. Więc twierdzi pani, panno Mariolu, że o Felicji Ciernik często we wsi mówiono. Jak pani myśli, dlaczego?

– Nie rozumiem.

– Jaki był zdaniem pani najważniejszy z powodów tego zainteresowania jej osobą?

– Ona w ogóle była taka nietypowa, proszę pana. Pan ją widział? – Nie czekała na odpowiedź. – Ona pasowała do jakiegoś stadionu. Mogła rzucać kulą albo dyskiem... Taka była wielka i silna. Nawet ładna. Buzię miała dość ładną. Ale ten wzrost! – Mariola wzruszyła ramionami. – Ten wzrost właśnie chłopaków odstręczał od niej, wie pan. Jakby się bali albo coś takiego. Z żadnym w jej wieku nigdy się nie spotykała, ale do starszych to ciągnęła.

– Mariola! – rzekł głosem upominającym sierżant Tatar. – Jesteś za smarkata, żeby się wypowiadać w takich sprawach.

– Pan przestanie – odparła nie spieszona Mariola. – Skończyłam już osiemnaście lat i nie jestem dzieckiem. A co? Może nie sprowadzała sobie do sklepu chłopów, co? A weterynarz? A w gospodzie mało ją po tyłku klepali?

Kapitan Tomasz Rajski zaczynał się dziwić. Wiejska przestraszona dziewczyna, a teraz – proszę jaki jęczyczek!

– Przecież ona w gospodzie nie pracowała, tylko w sklepie.

– Jak to nie pracowała?! O ile pan nie wie, to ja panu powiem. W naszej gospodzie jest taki oddzielny gabinecik, wie pan. Znaczący oddzielny pokój, ale pan prezes nazywa go „gabinetem”. Oczywiście dla lepszych gości. Z Okruszyny nieraz przyjeżdżali i przyjeżdżają, i z Warszawy, a jakże, i z Męcikowa, zewsząd. To pan myśli, że do tego gabineczku dawali do obsługi normalne kelnerki z gospody? Gdzież tam! Czasami tak, nie powiem, ale bardzo często pan prezes ściągał z domu Felicję. Ona się zawsze podmalowała, wypindrzyła i obsługiwała specjalnych gości pana prezesa. Może tak nie było, panie komendancie? – Pewna swego spojrzała wymownie na Tatara.

Komendant nie odpowiadał. Skupiony nad arkuszem papieru notował pilnie. Rajski pomyślał, że ujawnienie tego gabineczku nie należało do najgorętszych pragnień sierżanta. Wolałby zapewne, żeby ta specjalność miejscowej gospody nie uzyskiwała rozgłosu.

– Czy zna pani jakieś szczegóły przyjęć w gabineciku odbywających się z udziałem Felicji Ciernik?

– Nie można powiedzieć, proszę pana, żeby z jej udziałem, bo ona należała przecież do obsługi. Chociaż...

– Chociaż?

– Sama Felicja nieraz opowiadała mi, jakie tam odchodziły numery. Zwłaszcza, kiedy panowie zdrowo sobie podpili. Wyobraź sobie, mówiła mi nieraz, po prostu nie dają mi spokojnie pracować. Co rusz to klep mnie po tyłku, klep... A co to ja koniem jestem, czy co? Opowiadała o tym niby to z odrazą, ale ja widziałam w jej oczach zadowolenie. I chociaż nieraz się zarzekała, że powie stanowczo prezesowi, żeby ją więcej do tego burdelu – tak, proszę pana, ona tak powiedziała – do tego burdelu nie ciągał, przysięgała, ale na każde wezwanie szła. No pewnie, ja sobie myślałam, tacy różni panowie dyrektorzy mogą wsiowej sklepowej zaimponować. Może nawet łudziła się, że przy jakiejś okazji podłapie sobie miastowego męża na stanowisku? Głupia...

Komendant Jan Tatar zmałał przy swoim biurku doszczętnie. Głowę wcisnął między ramiona, jakby chciał się zasłonić przed spojrzem Rajskego. Bądź co bądź widać było, że opowiadanie o gabineciku nie idzie mu w smak.

– Panno Mariolu – kontynuował przesłuchanie kapitan Rajske. – Czy Felicja Ciernik nie zwierzała się pani z żadnych przykrych incydentów, jakie ewentualnie mogły się zdarzyć w tym gabineciku?

– Zwierzała się, a jakże. Ona mi o wszystkim opowiadała. Może chciała mi zaimponować? Nie wiem. Ale prawie po każdym takim wieczorze specjalnym przybiegała do mnie i niby to wzburzona paplała o wszystkim.

– Na przykład o czym? Czy pamięta pani może jakieś charakterystyczne fakty?

– One wszystkie były do siebie podobne. Zalecanki, podszcypywania i tak dalej... Raz tylko, pamięta pan, panie komendancie? – Tatar udawał, że niczego nie słyszy. – Raz tylko wynikł skandal na całego. To było zeszłej jesieni. O Felicję wynikła bójka.

– Kto z kim ją stoczył?

– To już lepiej wie pan komendant.

– Pan komendant opowie mi o tym później. Ciekawi mnie wersja znana przez panią. Śmiało, proszę mówić.

– Ja to znam z opowiadania Felicji. Było podobno tak: przyjechali jacyś panowie z Okruszyny i przyjęcie w gabineciku odbywało się szczególnie wesoło. Obsługiwała naturalnie Felicja. Był tam także weterynarz, pan Koral. Pan tam również był, prawda, panie

komendancie?

Komendant Tatar niechętnie przytaknął ruchem głowy.

– Nie wiem, o co poszło, ale jeden z panów, prezes, czy ktoś inny, doskoczył w pewnym momencie do weterynarza i uderzył go. Weterynarz podobno podniósł się z miejsca, otarł twarz i miał powiedzieć rzekomo tak: Ja się z byle kim nie biję i nie piję. Żegnam, powiedział i wyszedł. Ale tuż za rogiem gospody natknął się na jakiegoś oprycha i ten go tak stłukł, że pan Koral musiał chyba ze trzy dni odleżeć w domu.

– Kim był ten tajemniczy oprych?

– To Władek Brała, lokator Cierników – powiedział komendant Tatar. – Ustaliłem to następnego dnia i dałem wniosek na kolegium. Wlepili mu pięć tysięcy grzywny.

– Co Brała mógł mieć do Korala?

– Felicja mówiła mi – podjęła Mariola Więckówna – że Brała nie cierpi weterynarza, bo kiedyś podobno widział, jak oni się całowali.

– I tak go to rozsierzdziło? Zazdrość? Powiem pani, że stary Ciernik wcale nie uważa, żeby Brała zalecał się do jego córki. A pani co o tym myśli?

– Co ja mogę myśleć? Według mnie, to co najmniej pół tuzina chłopów leciało na Felicję. Ale tylko tak, pan rozumie, nie, żeby zaraz do ołtarza, tylko... no, pan rozumie. Władek Brała też mógł na to liczyć, lecz o ile wiem, Felicja trzymała go na dystans i nigdy sobie nie pozwoliła na żaden z nim flirt. To mi mówiła osobiście.

– Żadnych innych incydentów z gospody pani nie zna?

– Proszę pana, o tym, co się tam wyrabiało, można by opowiadać godzinami. Ale wszystko jest do siebie podobne. Pijaństwo i tyle. Nie ma o czym mówić.

– Wróćmy zatem do wczorajszego wieczoru. Pracowała pani na piętrze nad sklepem. – Czy i co pani słyszała? Proszę nam to powtórzyć.

– Najpierw to usłyszałam, że Felicja robi porządki. Było słyhać jakieś szurgotanie, stukanie, takie normalne odgłosy jak przy sprzątanii. Potem, tak gdzieś koło dziewiątej, to znaczy dwudziestej pierwszej, posłyszałam, że Felicja z kimś na dole rozmawia.

– Z mężczyzną?

– Tak, jestem pewna, że to był głos mężczyzny. Najpierw niczego nie mogłam zrozumieć, bo drzwi były pozamykane, ale kiedy je uchyliłam...

Mariola Więckówna słowo po słowie powtórzyła zasłyszaną poprzedniego wieczoru rozmowę, a kapitan Rajski, nie oglądając się na komendanta Tatara, dokładnie zanotował treść tej rozmowy.

– Więc twierdzi pani, że cisza zapanowała nagle, że rozmowa została przerwana, jak

nożem uciął?

– Tak było, proszę pana.

– Panno Mariolu, to bardzo ważne, proszę się skupić i dokładnie sobie przypomnieć: kim był mężczyzna rozmawiający z Felicją Ciernik? Czy poznała go pani po głosie? Daję słowo, że nikt się o tym pani przypuszczeniu nie dowie, a pani absolutnie nie ma się czego obawiać. Zatem poznała go pani po głosie, ozy nie?

Mariola Więckówna milczała dość długo.

– Kogoś mi ten głos przypominał... To mógł być pan Koral. To mógł być ojciec Felicji, a może nawet nasz prezes. Nie, naprawdę z całym przekonaniem nie mogę niczego twierdzić.

– Może któraś z wymienionych przez panią osób ma jakieś wady wymowy? Może to dopomogłoby pani w ustaleniu tożsamości owego mężczyzny?

– Oni wszyscy mówią normalnie. Nie, naprawdę nie wiem.

– A kiedy zeszła pani na dół i zatrzymała się pod drzwiami, czy niczego już nie było słychać?

– Było zupełnie cicho. Doszłam do wniosku, już panu mówiłam, że pewnie się pogodzili.

– A jeszcze przedtem, czy nie słyszała pani żadnego jejku, wezwania, odgłosu, na przykład, padającego ciała? Czy może pani sobie wyobrazić, co słychać, kiedy ktoś pada nagle na podłogę?

– Wyobrazić to sobie mogę, sama nieraz padałam, ale wczoraj niczego takiego nie słyszałam. To straszne! Byłam o krok od zbrodni i nie wiedziałam o niczym. Gdybym coś przeczuła, czy wie pan, co bym zrobiła?

– Nie wiem.

– Schowałabym się na podwórzu i poczekała na tego drania. Ciemno było, ale już ja bym go rozpoznała.

– Czy wychodząc zgasiła pani światło na korytarzu?

– Nie. Postałam chwilę pod drzwiami, popatrzyłam na gumki stojące przed nimi, jeden był przewrócony na bok, i wyszłam.

– Mówi pani: „gumki”? Jak one wyglądały, proszę je opisać.

– Zwyczajnie. Co drugi człowiek nosi u nas takie podczas deszczu. Czarne, z cholewkami średniej wysokości, zakończonymi płótnem, do którego przyszyte były uszy. Jeden z tych butów nie miał ucha. Ale nie wiem który, prawy czy lewy. Były wilgotne, no bo padało. To wszystko.

– To wszystko... – powtórzył w chwilowym zamyśleniu kapitan Rajski. – Dziękuję pani, panno Mariolu.

– A drogę do domu miałam, mówię panu, jak w fontannie. Na ulicy panowała zupełna ciemnica, ledwie trafiłam.

– Latarnie uliczne nie paliły się?

– Nie. W domach światło było, ale na ulicy albo ktoś prąd wyłączył, albo piorun uszkodził przewody, nie wiem.

Z wieczora ściągnięto na posterunek trzech mężczyzn: prezesa spółdzielni Kazimierza Skwarskiego, Władysława Brałę, lokatora Cierników, niestety, nieco już podpitego oraz Józefa Gruzę, rolnika, któremu weterynarz Koral ratował krowę. Wszyscy oni byli mniej więcej jednakowego wzrostu i posturą przypominali Mariana Korala. Wszyscy ubrani byli w kurtki z kapturami, co prawda niejednakowego koloru, lecz miało to drugorzędne znaczenie. Wieczorem, podczas deszczu, kolorów nie odróżnia się łatwo, jeśli się je w ogóle odróżnia.

Hubert Ciernik, poinformowany o tym, jaka ma być jego rola podczas eksperymentu, nie wyrażał na to specjalnej ochoty.

– A po co to przedstawienie – powiedział – skoro ten łobuz Koral i tak pójdzie do mogiły, i tak.

Kapitan Rajski skwitował tę niechęć krótko:

– Panie Ciernik, wymaga tego przepis prawa, rozumie pan?

– Ja zawsze z prawem byłem w zgodzie. Jak wymaga, to wymaga, niech będzie.

Trzej odziani w kurtki uczestnicy eksperymentu, mający udawać Korala oraz sierżant Tatar i kapitan Rajski najpierw przystanęli na ulicy przed posesją Huberta Ciernika.

– Skąd Koral nadchodził, panie Ciernik, z której strony?

– Stąd, z prawa, od gospody.

– W porządku. Wszystkich tu obecnych zna pan dobrze, czy tak?

– Znam.

– Niech pan jeszcze raz dobrze im się przyjrzy. W pewnych odstępach czasu będą iść od strony gospody i wchodzić w bramę spółdzielni. Pan i ja staniemy w oknie pańskiego mieszkania. Co który z nich pokona wyznaczoną drogę, to pan mi powie, kto to jest. Zgoda?

– Zgoda.

– Komendancie! Czy prąd na słupach oświetleniowych jest wyłączony?

– Według rozkazu.

– W porządku. Panowie – zwrócił się do pozostałych mężczyzn. – Każdy z was ruszy, o, z tamtego miejsca, dopiero na znak dany światłem latarki przez komendanta Tatar. Nie

spieszcie się, macie iść krokiem normalnym, tak, jak się idzie w odwiedzinach. Rozumiemy się? W porządku. Na ulicy nikt poza wami kręcić się nie będzie. Idziemy, panie Ciernik, już czas. Za dziesięć minut będzie zupełnie ciemno. Żona w domu?

– A gdzie ma być? Od zmysłów kobieta odchodzi. Dalibyście lepiej z tym spokój.

– Idziemy.

Pokój w mieszkaniu Huberta Ciernika, którego okna wychodziły na ulicę, oddalony był od niej około pięćdziesięciu metrów. Przed domem znajdował się ogród warzywny, wzdłuż bocznych ogrodzeń ciemniały krzewy porzeczek i agrestu; ogrodzenie z siatki drucianej od strony ulicy wolne było od jakichkolwiek zarośli, ciągnęła się przy nim grządka kwiatowa.

Stanęli w oknie. Błysnęło światło latarki sierżanta Tatara. Po chwili wychynął z prawej strony i szedł, przecinając ulicę trochę na ukos, pierwszy mężczyzna w kurtce z kapturem.

– Kto to jest? – spytał kapitan Rajski.

– Skwarski, znaczy się prezes – odparł bez chwili zastanowienia Ciernik.

Odczekali jakies pół minuty. Mężczyzna zniknął w bramie.

– A to kto? – Następną postać pojawiła się na ulicy.

– Brała. Jego bym nie rozpoznał? Co pan...

– A ten?

– Jak jeden był Skwarski, drugi Brała, to trzecim musi być Józek Gruza.

– Słusznie. Innej możliwości nie ma. Więc chodźmy teraz z powrotem na ulicę. Dowiemy się, czy ma pan dobry wzrok i pamięć.

– Jak było, sierżancie? W jakiej szli kolejności?

– Pierwszy szedł Brała, drugi Skwarski, trzeci Gruza – zameldował służbiście Tatar.

– Co pan na to, panie Ciernik?

– Kiedy człowiek jest zdenerwowany, to chyba może się pomylić, no nie?

– Wówczas także był pan zdenerwowany. A poza tym na ulicy panowała taka ulewa, że warunki są zgoła nieporównywalne. Obecnie, mimo lepszej widoczności, nie udało się panu rozpoznać nikogo. Więc jak mógł pan twierdzić z całym przekonaniem, że do bramy wchodził wczoraj właśnie Marian Koral? Czy rozumie pan, jakie mogło by to mieć konsekwencje, gdyby weterynarz żył?

– Ale nie żyje. Pies z nim tańczył. To już nie moja sprawa. Róbcie sobie, co chcecie. Ja już do nikogo pretensji nie mam.

– Czyżby nie rozumiał pan również i tego, że córkę pańską mógł zamordować zupełnie kto inny?

– Nikt inny nie mógł mieć powodu.

– Przypuśćmy. Przypuśćmy, że Koral taki powód miał. Lecz w takim razie kto i z jakiego powodu pozbawił życia Mariana Korala? Nie domyśla się pan?

– Nie. I dajcie mi już święty spokój. Idę do żony. Chodź, Włodek – trącił ramieniem Brałę – nic tu po nas. Wychylimy butelkę na żalność...

I poszli ścieżką do domu podtrzymując się po przyjacielsku.

V

Znowu nastaly piękne słoneczne dni. Niedziela, jak to zwykle w Sielawie bywało, wyprowadzała na główną ulicę tych wszystkich, którzy, hołdując dawnym obyczajom, mieli się w czym pokazać. Dawniej odbywała się tu prawdziwa rewia koni, bryczek, strojów, fryzur i czegoś tam jeszcze, należących, ma się rozumieć, do członków zamożniejszych rodzin. Dzisiaj, kiedy na dobrą sprawę nie można było odróżnić Marioli Więckówny od dziewczyn z Okruszyny, Żyardowa czy Skierniewic, kiedy sprzed kościoła już dawno poznikali niedzielni żebracy, a kiedy szedł ulicą prezes Skwarski – to nie wiadomo było, czy idzie przedwojenny dziedzic Głębinowa, czy jakiś inny wielki pan – niedziele w Sielawie nabrały innego zgoła kolorytu. Tylko ludzie najstarsi, wyglądający z okien lub obserwujący ulicę spoza płotów, przyrównywali jej wygląd do obrazów zapamiętanych z własnej młodości. Inni stosowali odmienną skalę porównań. Nikt już nie mierzył się z sąsiadami strojem ani nie „zadawał szyku” nowymi butami z błyszczącymi cholewami, nikt nie starał się zaimponować miastową marynarką lub sztuczkowymi spodniami. Niedzielne prezentacje przeniosły się w sferę sporów dokumentujących wiedzę, bądź zacofanie rozmówców. Plotkowano, narzekano, obgadywano wszechświatową politykę, ale kończyło się zazwyczaj na stwierdzeniach, że młodych ze wsi ubywa i już niezadługo wieś zostanie wyludniona doszczętnie.

Ta niedziela również miała mieć ten tradycyjny przebieg, ale zanim dzień rozwinął się na dobre, wszyscy jeszcze krzatali się przy obrządku, bądź spożywali wczesne śniadanie. Główną ulicą Sielawy spieszonym krokiem szedł tylko jeden człowiek. Był nim starszy sierżant sztabowy Jan Tatar. Ubrany po cywilnemu podtrzymywał za pazuchą krótką piłę do metali: brzeszczot w ramce z uchwytem, w kieszeni jego marynarki zaś tkwiła sporych rozmiarów lupa, jakiej używają wytrawni filateliści. Na obliczu komendanta Tataru malował się wyraz nadzwyczajnego skupienia i powagi.

Poprzedniego wieczora przed zaśnięciem coś mu się przypomniało, a zaraz potem przyszedł mu do głowy pomysł jakby żywcem wyjęty z ćwiczeń z kryminalistyki. Długo nie mógł zasnąć. Ten pomysł wprost rozsadzał mu czaszkę, a chęć natychmiastowego działania wydłużała czas nocy w nieskończoność.

Zmierzał teraz przez wieś poważny, ale i zadowolony, kierując się w stronę domu Wróblewskiego.

Znów, jak podówczas z kapitanem Rajskim, okrążył mury domu i zagłębił się w pobliskie zarośla. Długo chodził wśród krzaków i młodych drzewek. Przykłękając

obserwował przez lupę z wnikliwością naukowca sterczące z ziemi pieńki pozostałe po ścięciu cienkich brzózek, olch i leszczyn. Pomrukiwał przy tym z zadowoleniem. Rozejrzał się i po krótkim namyśle spiłował wysoką na półtora metra brzózkę i ogołocił ją z gałęzi. Następnie spiłował dwa piętnastocentymetrowej długości pieńki po brzozach. Ich średnica nie przekraczała pięciu centymetrów. Wetknął je do kieszeni wiosennego płaszcza, otrzepał starannie spodnie i ruszył w drogę powrotną.

„Ale im zrobię niespodziankę! – cieszył się w duchu. – Jeszcze zobaczą, co potrafi sierżant Tatar!”

Gdy znalazł się we wsi, zobaczył na ławce przed domem Cierników siedzącego z pochyloną głową Władysława Brałę. Brała wyśpiewywał jakieś sobie tylko znane melodie i chwiały się na wszystkie strony.

– Nie wytrzeźwiał od wczoraj – pomyślał komendant Tatar. – Nieźle musieli sobie popić z Ciernikiem... Dobra, zacznę od nich, a potem... – zerknął na kartkę z kilkoma nazwiskami i pchnął furtkę otwierającą drogę do posesji Cierników.

– Gospodarz w domu? – rzucił w stronę zawodzącego Brałi.

– W domu, a gdzie ma być? – drwał urwał śpiewanie. – Śpi. Do południa nie wstanie.

– To chodź ze mną ty, Brała. Pójdziemy na podwórze, muszę przyciąć ten drążek – uniósł nieco półtorametrowy kawałek brzozowego drewna.

– Dziś? Przy niedzieli? – zdziwił się Brała.

– Przy niedzieli. Potrzebuję coś zaklinować. Kawałek siekiery chyba macie, co?

– Znajdzie się – odburknął Brała i niechętnie podniósł się z ławki.

Na podwórzu w pobliżu drewnutni stał szeroki pień do rąbania drewna. Brała przyniósł siekiarę. – Masz, komendancie, tnij! – powiedział. – A nie skalecz się przypadkiem w paluszek – dodał chichocząc – będzie bolało.

– Czyja to siekiera?

– Moja. A co, zła? To jest leśna siekierka, komendancie, ostra jak brzytwę, uważajcie...

– Będę uważał, nie obawiaj się, Brała. – Sierżant Tatar postawił na pieńku sztorcem brzozowy drążek i jednym uderzeniem siekiery przeciął go ukośnie w dolnym odcinku. Sięgnął po brzeszczot, odpiłował kawałek drewna, wyjął z kieszeni rolkę z plastrem, owinał nim dwakroć odcięty klocek i na plastrze napisał: „Pos. nr. 7. B.”

Władysław Brała przyglądał się tym czynnościom, mrugając powiekami. Widać było, że nie rozumie i nawet nie próbuje zrozumieć sensu tego, co robi sierżant.

– Weź, odnieś siekierkę na miejsce.

Brała odszedł chwiejąc się i pogwizdując.

Sierżant tymczasem błyskawicznie wbiegł do drewnutni Ciernika. Rozejrzał się, chwycił siekierę opartą o jakąś skrzynkę, wyskoczył na podwórze i powtórzył czynności, jakie wykonał poprzednio. Siekiery już nie odnosił na miejsce, wbił ją w pień, kawałek drewna, odcięty z brzoźowego drąga, jak poprzednio owinał plastrem i napisał na nim: Pos. nr. 7. C”, po czym ukontentowany opuścił zabudowania Cierników.

Szedł przez wieś podpierając się tym kawałkiem brzoźowego kija z miną tak obojętną, jakby niósł wędzisko i udawał się na ryby.

– O! – zawołał za nim któryś z młodzieńców czekających na otwarcie gospody „Złoty Róg”. – Pan komendant przebroił się! Uważajta chłopaki, bo jak pan komendant huknie z tej lufy, to nas rozpirzy na strzępy...

– Głupi jesteś – dodał inny. – To jest milicyjna broń przeciwko psom. Pan komendant rusza właśnie do ataku na wściekle psy, zrozumiałeś?

Ale sierżant Tatar ignorował te docinki. Odwrócił się tylko na moment i powiedział:

– Nie za dużo piwska, chłopaki, nie za dużo. Żeby nie musiał was przymykać, – I poszedł dalej.

Odwiedził sześć posesji. Wszędzie czynił to samo. W końcu kieszenie płaszcza miał wypchane kawałkami drewna. Wstąpił do swego mieszkania, odłożył na miejsce piłę i plaster, drewno wrzucił do żoninej torby na zakupy i z tym ładunkiem pospieszył na posterunek.

Kapitan Tomasz Rajski już na niego czekał.

Sierżant Tatar powiedział dzień dobry, po czym bez żadnych objaśnień wysypał zawartość torby na blat stołu.

– Napalimy w piecu, komendancie?

– Niech się pan trochę pośmieje – rzekł Tatar – a ja zaraz panu coś zademonstruję.

Zrzucił płaszcz, zatarł dłonie, lupę położył obok drewnienek na stole, dłonie oparł jak mówca przygotowujący się do zasadniczego wywodu i rzekł:

– Niech skonam, jeśli to nie jest trop!

– Trop? – kapitan Rajski zbliżył się i jął oglądać kawałki brzoźowego drewna. – „Wzorzec” – odczytał na plastrze. – Co to za wzorzec? – zapytał patrząc na sierżanta Tatara.

– To jest wzorzec cięcia siekierą – odparł sierżant. – Pozostałe kawałki są materiałem porównawczym.

– Skąd pan to wziął i jak pan na to wpadł?

– Wzorce pochodzą z zagajnika w pobliżu domu Wróblewskiego. Pamięta pan, jak się dziwiłem, kiedy zobaczyłem te przeredzone krzaki?

– Pamiętam.

– Pomyślałem sobie wtedy, a dziś tak twierdzę, że nikt tego bez powodu nie zrobił. Postanowiłem wykryć i powód, i sprawcę.

– Jak pan to zamierza przeprowadzić?

– Bardzo prosto. Tu są wzorce, a tu kawałki drewna odcięte z brzoźowego kija różnymi siekierami. Dokładnie sześcioma.

– Dlaczego właśnie sześcioma, a nie na przykład trzema albo dziesięcioma?

– Bardzo proszę, niech się pan śmieje, ale na razie musi panu wystarczyć to, że tych sześć wybranych siekier szczególnie mi się spodobało. Ot, taki sobie test na wyrywki, ale według pewnego klucza. Mojego klucza – dodał z dumą, której nie potrafił ukryć. – Lecz jeśli coś z tego wyniknie, to co pan wówczas powie, kapitanie?

– Pogratuluję panu i nadam dla pana w radio piosenkę w koncercie życzeń. Ale, pozwoli pan, w jaki sposób coś z tego ma wyniknąć?

Sierżant Tatar uśmiechnął się z wyższością i pomyślał, że nawet kapitanom nie przychodzą czasem do głów najprostsze rozwiązania.

– Ja myślę – powiedział – że pan kapitan wyśle to drewno do laboratorium, a tam pod mikroskopem ustalą, które cięcie podobne jest do wzorca.

– Genialne! – zawołał kapitan Rajski. Nie wiadomo było jednak, czy w tym okrzyku zawarta była kpina w żywe oczy, czy rzeczywisty zachwyt. – Sierżancie, to jest genialnie proste. Proszę o lupe. – I Rajski zaczął uważnie oglądać i porównywać kawałki drewna. – No tak – mówił do siebie – to jest pewien sposób. Każde narzędzie pozostawia po sobie charakterystyczny ślad. Siekiera również, choćby była nie wiadomo jak naostrzona, to po cięciu pozostawi zawsze na drewnie jedyne i niepowtarzalne ślady, dla nie uzbrojonego oka wprawdzie mało widoczne, lecz pod precyzyjnym mikroskopem, w wielokrotnym powiększeniu, dające się ze sobą porównać. Chyba, że ktoś zdążył przedtem siekierę stępić i naostrzyć od nowa. Genialny pomysł, sierżancie. Tylko nie bardzo rozumiem, po co to robimy. Wszak nie siekiera jest narzędziem zbrodni.

– Ale ciało Korala było przykryte gałęziami, prawda?

– Prawda. Tylko, że jedno z drugim może nie mieć nic wspólnego.

– Może nie mieć, a może i mieć. Sprawdzić trzeba. Ten, kto wycinał krzaki, mógł to zrobić z rozmysłem przygotowując się do realizacji zbrodniczego zamiaru wobec weterynarza. Mogło tak być?

– Mogło. Ma pan rację. Kiedy wróci z Warszawy kapitan Salski, niestety, znów będziemy musieli wysłać go do laboratorium. Te drewnienka, komendancie, mogą mieć ważne

znaczenie dla sprawy. Tylko tak sobie myślę: No, dobrze. Znajdziemy właściciela siekiery, co dalej? Przecież może nam się wyprzeć w żywe oczy. Może, na przykład, powiedzieć, że nawet jeśli jego siekierą zostały te brzoźki ścięte, to on nic o tym nie wie, siekiera była dostępna dla każdego, każdy mógł ją wziąć, posłużyć się nią niepostrzeżenie, a potem odnieść na miejsce. Albo ten ktoś wymyśli na poczekaniu bajeczkę o tym, że tak sobie, dla zabicia czasu naostrzył siekiere i poszedł ją wypróbować czyniąc przy tym przysługę chłopakom lubiącym, jak wiadomo, rozpałać ogniska. Więc co nam ten trop może dać praktycznie?

– Da, panie kapitanie. Ja czuję, że da, zobaczy pan. Po pierwsze wskaże nam jedyne podejrzanego, jakiego wreszcie będziemy mieć w tej zawilej sprawie.

– Po pierwsze, sierżancie, to my podejrzanych już teraz mamy na pęczki. Stary Ciernik, żona weterynarza, Pszczołowie, nawet prezes spółdzielni, który nie wydaje mi się być człowiekiem bez skazy...

– Kapitanie, pan widzę buja w obłokach. Ojciec zabija córkę?

– Córkę nie, ale Korala?

– Upiera się pan, niech będzie. Ale podejrzewać prezesa Skwarskiego?

– Tak mocno wierzy pan w niewinność prezesa?

– To nie jest sprawa wiary. Powtarzam moje zdanie: podejrzanych na razie wcale nie mamy. Ale kiedy znajdziemy właściciela siekiery, nareszcie będzie to konkretny punkt zaczepienia.

– O młotku pan zapomniał?

– A czy muszę o tym mówić? Dobrze się nawet składa, jeśli właściciel młotka i siekiery okaże się być jedną i tą samą osobą, to co mi pan wtedy powie?

– Powiem, że gminni komendanci mają chytrą listę, a myślami sięgają nawet dalej niż do „gabinetu” pana prezesa.

– Nie widzę w tym nic zdrożnego. Żeby pan wiedział, jakie najazdy różnych osobistości ma nasz prezes, to by się pan tak nie dziwił i nie naigrawał z powodu tego oddzielnego pokoju. Jedzenie w gospodzie słynie na okolicę, czysto, porządnie, to i ciągną tu różne delegacje jak do miodu. Czy tylko u nas tak jest? A czy, dajmy na to, komendant gminnego posterunku nie jest człowiekiem i nie może czasem z przyjaciółmi usiąść po pracy i wypić kieliszek wódki? Jadł pan śniadanie? Podejrzewam, że nie. To może podskoczmy do tego rażącego pana „gabineciku” i przekąsimy coś?

– Obawiam się, że lada chwila może powrócić kapitan Salski. Wolałbym, żeby mnie nie spotkał w knajpie.

– Dziwne przesady, słowo daję. Ale jak pan chce, to powiem dyżurnemu, żeby nas

natychmiast zawiadomił o przyjeździe kapitana Salskiego. Zgoda?

– Niech będzie. W brzuchu rzeczywiście coś mi zaczyna grać. To chyba dobry znak.

– W moim brzuchu – sierżant poklepał się oburącz – zawsze coś gra.

„Gabinecik” w gospodzie „Złoty Róg” okazał się być nadzwyczaj gustownie urządzonym kameralnym pomieszczeniem, jakiego nie musiałyby się wstydzić renomowana restauracja. Znajdował się tam jeden długi stół obramowany wygodnymi krzesłami z półmiękkim obiciem, ściany wyłożone były jednolitej barwy materia, kotara na oknie łagodnie kontrastowała ze ścianami, pod sufitem wisiał żyrandol skonstruowany z krowich rogów, ale tak pięknie spreparowanych i tak ze sobą złączonych, że stanowiły prawdziwie artystyczną kompozycję. Dwa wielkie rogi bawole wystawały wprost ze ściany na prawo od wejścia; czysty biały obrus na stole, w pobliżu lodówka z napojami chłodzącymi i stolik kelnerski.

– Miłe wnętrze – stwierdził kapitan Rajski.

– A widzi pan? Co zjemy?

– Zdaję się na pana. Może jajecznicę?

– E, tam... Jajek mamy dość w domu. Tutaj dają pierwszorzędną białą kiełbasę.

Przysmak – cmoknął łakomie. – Zgoda?

– Zgoda.

– Po maluchu trzepniemy sobie, co? Niedziela...

– Komendancie!

– Niech pan nie będzie taki zgorszony. Jeden kieliszek nikomu jeszcze nie zaszkodził, wprost przeciwnie, dodatnio wpływa na trawienie. To jak?

– Poddaję się. Byle nie czysta.

– U was w Warszawie pija się tylko podobno koniaki, nawet do kiełbasy, prawda to?

– Nie wiem dokładnie, co się pija w Warszawie, ale ja koniak wypiję do kawy, natomiast ten wasz przysmak popiję herbatą. Czy tak będzie dobrze?

– Równy z pana gość, kapitanie. Pan tu poczeka chwileczkę.

Komendant Tatar opuścił „gabinecik” zostawiając drzwi na wpół uchylone. Rajski zapalił papierosa i mimo woli łowił uchem odgłosy dochodzące z głównej sali restauracyjnej.

– Złapią go, ja ci mówię, bądź o to Franek spokojny – przekonywał jakiś mężczyzna głosem donośnym i trzeźwym.

– Gównu go złapią – odpowiadał zagadnięty. – Jak facet, bracie, poważyl się na takie coś, to już musiał sprawę obmyśleć dokładnie. Słyszałeś o tej zbrodni w Okruszynie? Proszę bardzo – trzy lata będzie, jak szukają mordercy i co? Nic. Facet rąbnął, bracie, z pół miliona,

kasjerka banku w grobie, a on gdzie? W chmurach, bracie, w chmurach...

– To samo i z tym naszym – dał się słyszeć trzeci głos, lekko już podpity. – Sprawę załatwił, w samochodzik wsiadł, w Polskę pojechał i mogą mu teraz nadmuchać. Ta nasza milicja to... – urwał. – Patrzcie na Tatara, od samego rana kielichy do „gabineciku” targa. O, jak wygląda śledztwo w naszej gminie, widzicie?

Komendant Tatar wrócił z zastawioną tacą.

– Mówią tam o panu – powiedział Rajski – słyszał pan?

– Pijackie gadki. A co oni tam robią? Kefirek popijają? Zobaczy pan, co będzie po południu. Jak nic będę musiał kilku przymknąć, już to widzę. Jedźmy, póki kiełbaska gorąca.

– Pan zawsze sam się tu obsługuje?

– Nigdy. Ale chciałem, żeby było szybciej.

Ledwie przełknęli pierwsze kęsy, przyszedł dyżurny kapral.

– Melduję, że kapitan Salski jest już na posterunku.

– Powiedzcie mu, kapralu, że za dziesięć minut przyjdziemy. Poczęstujcie go herbatą albo kawą, co tam macie na posterunku.

– Tak jest! – Kapral odmaszerował.

Kapitan Wiktor Salski pogrążony był w czytaniu dokumentów i oglądaniu zdjęć.

– Szybciej nie mogłem – powiedział. – Siedziałem im na karku przez całą noc. Gdyby nie major Raksa, otrzymalibyśmy te ekspertyzy za dwa dni. Ale jego interwencja pomogła, no i jestem. A tutaj co nowego?

– Nic specjalnego. Młotek przywiozłeś?

– Bądź spokojny, nie zapomniałem. A w tych papierkach, proszę ciebie – poklepał stertkę dokumentów – wszystko jest tak wspaniale ułożone, że aż dziw bierze. Wszystko do siebie pasuje. Można powiedzieć: krzyżówka rozwiązana. Ale tylko w połowie. Proszę, czytaj...

– Co z tym młotkiem? – pytał Rajski, jakby nie chcąc słyszeć o niczym innym. – Interesuje mnie, czy jest on narzędziem zbrodni.

– Obydwu, kochany, obydwu! Co więcej: eksperci doszli do wniosku, że w obydwu przypadkach ciosy zadała ta sama ręka z mniej więcej identyczną siłą. Sprawa zaczyna być ordynarnie prosta. Wypadałoby teraz odszukać tylko właściciela młotka i po krzyku.

– Musimy go znaleźć. A czy będzie po krzyku, to się okaże. Komendancie, jak pan myśli, do kogo może należeć ten młotek?

– Nie jestem jasnowidzem, do Klimuszki z takim pytaniem – odrzekł Tatar dotknięty nie wiadomo czym.

– Ale widzi pan chyba, że to nie jest taki sobie zwyczajny młotek? Tak wyszmelcowanego trzonka już dawno nie widziałem. Z niczym się to panu nie kojarzy?

– On może być z jakiegoś warsztatu.

– To już jest odpowiedź na trójkę. Jakie tu macie warsztaty?

– Jest baza kółka rolniczego, ośrodek maszynowy i prywatny warsztat ślusarski, a właściwie zakład naprawy pojazdów mechanicznych należący do syna Pszczołów, Stanisława.

– Wygląda więc na to, że poszukiwania będą ułatwione. Weźcie ten młotek i wspólnie z kapitanem Salskim przespacerujcie się po wsi. Ja tymczasem przestudiuję te materiały.

– Jest tego sporo – wtrącił kapitan Salski. – Protokoły i opinie są bardzo drobiazgowo. Czytaj co drugą kartkę i wnioski końcowe, to wystarczy.

– Dziękuję za światłą radę. Idźcie już – przynaglił ich ruchem ręki. – A z właścicielem młotka nie gawędźcie, tylko sprowadźcie go tutaj.

Zagłębił się w dokumentach.

Protokoły sądowo-lekarskich oględzin i sekcji obydwu zwłok: Felicji Ciernik i Mariana Korala w części dotyczącej rodzaju i przyczyny śmierci oraz jej pory były do siebie bardzo zbliżone. Oględziny i sekcja zwłok Mariana Korala doprowadziły specjalistów do wniosku, że zmarł on śmiercią gwałtowną wskutek urazu zadanego w czaszkę narzędziem krawędzistym, co spowodowało ranę tłuczoną w okolicy czołowej, złamanie kości i stłuczenie mózgu. Na podstawie analizy powstawania i ewolucji znamion śmierci, takich jak oziębienie, plamy opadowe oraz stężenie pośmiertne ustalono, że Koral zginął dwanaście do piętnastu godzin przed czasem dostarczenia zwłok do oględzin „Podskórne wstrzyknięcie pilokarpiny wywołało u denata typowe reakcje gruczołów potowych – napisano w protokóle. – Plamy opadowe znajdowały się w końcowym stadium utrwalania, stężenie w pełni rozwinięte we wszystkich mięśniach, temperatura ciała zaś wynosiła około 24 stopni C. Wszystko to wskazuje, że śmierć nastąpiła pomiędzy godzinami 21 a 23 dnia poprzedniego.” Z kolei następował długi i szczegółowy opis biologicznych i mechanicznych skutków urazu, co kapitana Tomasza Rajskiego specjalnie nie zainteresowało.

Felicja Ciernik, jak wynikało z dostarczonych materiałów, zmarła również śmiercią gwałtowną, tyle, że ugodzona została w pobliżu lewej skroni. Kształt rany, siła uderzenia i związane z tym skutki były podobne do przypadku Mariana Korala. Czas śmierci, określony przez ekspertów, w pełni pokrywał się z zeznaniem Marioli Więckówny. Interesujące było

jednakże to, że – jak stwierdzono – Felicja Ciernik znajdowała się w drugim miesiącu ciąży.

– Ciąży nie usunęła. Ciekawe zatem, po co chodziła do tego ginekologa? – zadał sobie pytanie kapitan Rajski. – Wygląda na to, że zamierzała dziecko urodzić. Ciekawe. Może właśnie ten fakt doprowadzi nas do bardziej owocnych dla śledztwa wniosków.

Obejrzał z kolei zdjęcia i szkice miejsc zbrodni. W ich opisach nie znalazł niczego interesującego, znał przecież te miejsca i nie spodziewał się, aby protokoły mogły powiedzieć mu coś więcej. Dopiero dokument sporządzony we współpracy medyków i ekspertów kryminalistyki, a dotyczący narzędzia zbrodni, przykuł jego uwagę na czas dłuższy.

„Nie ulega żadnej wątpliwości – pisano w opinii – że śmierć w obydwu przypadkach zadana została jednym i tym samym narzędziem, którym był młotek dostarczony do ekspertyzy. Włamania kości czaszki, charakterystyczne dla niedużej powierzchni narzędzia krawędzistego, przemieszczenie odłamków w głąb czaszki, a także częściowe zachowanie kształtów odpowiadających powierzchni narzędzia godzącego, pozwoliło na bezsporną identyfikację tego narzędzia”. Dalej następował szczegółowy opis młotka oraz rodzajów śladów na nim znalezionych. Niestety, ani obuch, ani trzonek nie miały na sobie żadnych odcisków linii papilarnych. Kapitan Tomasz Rajski zajrzał do swego notesu. Nie, na drzwiach samochodu sierżanta Tatara, ani w jego wnętrzu, również nie odkryto żadnych tego rodzaju śladów. W protokole zakładu kryminalistyki napisano tylko, że grudki ziemi znalezione w gaziku poddane zostaną analizie po dostarczeniu materiału porównawczego. „Śmiechu warte! – zachnął się kapitan Rajski. – Bądź teraz człowieku mądry i dostarcz im materiał porównawczy! Skąd? Z okolic domu Wróblewskiego? Z otaczających pól? Spod drzwi kantorka Felicji Ciernik? A może zewsząd naraz? Zobaczymy... Może jednak mają rację?”

Zamknął okładki skoroszytów i, przymknąwszy oczy, zamyślił się.

Nagle, jakby przebudzony z głębokiego snu niespodziewanym bodźcem, drgnął i sięgnął po jeden ze skoroszytów. W protokole sekcji zwłok Felicji Ciernik któreś ze sformułowań brzmiało co najmniej zastanawiająco. Odszukał ten fragment i przeczytał: „...Zwłoki Felicji Ciernik. Plamy opadowe o różnym wysyceniu na przedniej i tylnej powierzchni ciała. Opinia: w kilka godzin po śmierci zmieniono położenie zwłok”.

– Zmieniono położenie zwłok... – powtórzył głośno kapitan Rajski. – Sprawa naprawdę zaczyna się komplikować. Albo mamy do czynienia z wyrafinowanym mordercą znającym przynajmniej niektóre tajniki medycyny, albo...

Nie dokończył myśli, bo właśnie powrócili Salski i Tatar wiodąc między sobą zasepionego Stanisława Pszczołę, właściciela warsztatu samochodowego, syna Amelii, którą ugodziła butelką z winem Felicja Ciernik. Od ich wyjścia nie upłynęła nawet godzina.

– Mamy właściciela młotka, panie kapitanie – rzekł sierżant.

– Mamy, mamy... – przedrzeźniająco powiedział Pszczoła. – Mówi pan to tak, jakby pan złapał za łeb zbrodniarza. Nie życzę sobie takiego traktowania. Zna mnie pan i chyba możemy rozmawiać po ludzku. Sam się do tego młotka przyznałem, prawda? Co moje, to moje i nie mam potrzeby oddawać komukolwiek własnego narzędzia pracy...

– A jeśli to narzędzie pracy, panie Pszczoła – zabrał głos kapitan Salski – jest zarazem narzędziem zbrodni?

– A co mnie to obchodzi?! Panie Tatar, powiedz pan tym panom, że mnie się takie głupoty nie trzymają. Nie piję, nie łajdaczę się, mam żonę i dziecko, wrogów żadnych, zna mnie pan przecież, powiedz pan, żeby się ode mnie odczepili.

– Spokojniej, panie Pszczoła, spokojniej – rzekł kapitan Rajski. – Zaraz rozpoczniemy przesłuchanie, wtedy się pan wygada. A na razie proszę usiąść za stołem, spokojnie zapalić papierosa i wszystko sobie dokładnie przypomnieć. Rozumie pan? Wszystko, co dotyczy śmierci Felicji Ciernik.

– O, nie! W to, to mnie pan nie wrobi! Nie muszę sobie niczego przypominać – niespokojnie, nerwowo poruszył się na krześle.

– Tym lepiej, panie Pszczoła. Tym lepiej... Wiktor, przygotuj papier. Pan, komendancie, może sobie pospacerować.

– To znaczy, że mam wyjść?

– Tak będzie lepiej.

Komendant Tatar opuścił pokój podniecony i dotknięty do żywego.

– A więc, panie Pszczoła, młotek jest pański?

– Mój.

– Czy może nam pan powiedzieć, w jakich okolicznościach znalazł się on na miejscu zbrodni, to znaczy w sklepie gminnej spółdzielni?

– Mogę.

– Słuchamy. Tylko szczerze.

– Nie potrzebuję niczego przeinaczać. Ten młotek pożyczyła ode mnie Felicja... Nie, nie tak było. To ja jej ten młotek zaniósłem.

– Kiedy?

– W zeszłą środę. Spotkała mnie w południe podczas przerwy w pracy na ulicy i mówi: Stasiu, przyszedłbyś z jakim żelazem, regały w magazynie rozpadają mi się, gwoździe mam, pomógłbyś mi je pozbijać.

– Czy nie byłoby prościej, gdyby poprosiła o tę przysługę, na przykład, ojca, kogoś ze

spółdzielni lub wzięła młotek z własnego mieszkania? Jak pan myśli?

– Co ja mam o tym myśleć. Chciała młotek, to jej zaniósłem. A z ojcem to ona ostatnio tylko warczała. Gryźli się o coś.

– I co? Pomagał jej pan zbijać te regały?

– Pomagałem. Dlaczego miałbym nie pomagać?

– W porządku. Pozbijał pan regały i poszedł do domu. Tak?

– Tak.

– A młotek? Dlaczego pozostawił go pan w sklepie?

Stanisław Pszczoła przygryzł wargę.

– Jeśli pan tak koniecznie chce wszystko wiedzieć, to powiem.

– Na nic innego nie czekamy.

– Fela poczęstowała mnie winem. Wie pan, ona była klawą dziewczyną. Różnie o niej mówili, ale ja zawsze uważałem, że jest porządna i nieskapa. Miała gest i nigdy nie wyłudzała, jak inni, różnych przysług za darmo.

– Wino za wbicie kilku gwoździ?

– Nie kilku, bo te regały, a zwłaszcza jeden, ten co stoi po prawej stronie, były w takim stanie, że tylko tknąć, a wszystko poleciałoby na łeb. Zeszło mi przy tej robocie ze trzy godziny.

– Dużo tego wina wypiliście?

– Fela nie piła wcale. Ja wypilem butelkę. Słabizna, nawet nie poczułem, że coś wypilem.

– Niech pan żałuje, bo w przeciwnym wypadku miałby pan przynajmniej argument, że będąc pod wpływem alkoholu zapomniał pan o młotku.

– I tak zapomniałem. Tak się z Felą zagadałem, że zapomniałem. Wielka mi rzecz młotek! Ludzie o poważniejszych sprawach zapominają. Kiedyś jeden z naszych gospodarzy zostawił w Okruszynie konia z wozem, a sam wrócił do domu pekaesem. Co pan na to powie? I trzeźwy był. Nie wierzy pan?

– Nie mam powodu nie wierzyć. Tylko, że tamten koń ani gospodarz nikogo nie zabili, prawda? A od pańskiego młotka zginęło dwoje ludzi. Rozumie pan różnicę?

– Od mojego młotka?

– Zgadza się, panie Pszczoła. Jest to fakt ustalony ponad wszelką wątpliwość. Tym młotkiem zabici zostali Felicja Ciernik i Marian Koral. Co pan nam teraz powie?

– To samo co i przedtem – odpowiedział Pszczoła bez chwili namysłu.

– A może zapragnął pan tak całkiem niegroźnie zemścić się na Felicji Ciernik za to, że

uderzyła pańską matkę? Chyba słyszał pan o zajściu w sklepie w ubiegły piątek?

– Słyszałem. Ale ja nie jestem ciemnym chłopem, chociaż może na takiego wyglądam, żeby mścić się za takie coś i w taki sposób. Jeśli Felę poniosło, to widocznie miała rację. Nie było mnie przy tym. Matki mi szkoda, pewnie, ucierpiała trochę i może nawet za bardzo. Ale na mojego ojca, niestety, nie ma sposobu. W każdy piątek pije na umór, a w niedziele poprawia. Matka ma z nim krzyż pański.

– Dziś również pije?

– Nie inaczej. Można sprawdzić. Nie byłem u nich, bo mieszkam oddzielnie, ale jestem pewny, że od samego rana leczy piątkowego kaca.

– Zostawmy sprawy pańskich rodziców. Wróćmy do pana. W jakich stosunkach pozostawał pan z zamordowaną?

– W jakich? W normalnych. Znaliśmy się od dziecka, jestem przecież od niej niewiele starszy, pamiętam, kamieniami za nią ciskałem, w chowanego bawiliśmy się...

– Pytam, co was łączyło obecnie, ludzi dorosłych.

– Nic nas nie łączyło. Zwyczajna ludzka znajomość. Byliśmy dla siebie życzliwi, to wszystko.

– Od jak dawna jest pan żonaty?

– Od trzech lat. Mamy dwuletniego synka.

– Co pan myśli o śmierci Felicji Ciernik i Mariana Korala?

– Szkoda ich. Cóż mogę myśleć. Cała wieś jest wstrząśnięta.

– Pan chyba bardziej niż inni?

– A to niby dlaczego?

– Młotek, panie Pszczoła! Pański nieszczęsny młotek. Czy naprawdę nie rozumie pan związku pomiędzy narzędziem zbrodni, a jego właścicielem? – Kapitan Rajski świadomie szarżował. Wiedział wszak, że ten związek wcale nie musi być taki oczywisty. – Przyzna pan – mówił dalej – że zastanowiłoby to każdego: przychodzi pan z młotkiem, zbija regały, zapomina go zabrać z sobą, a przez dwa następne dni wcale nie próbuje odebrać swojej własności. Czy to nie dziwne?

– Wcale nie dziwne. Młotek nie był mi po prostu potrzebny. Dopiero w piątek wieczorem... – ugryzł się w język, ale już było za późno.

– W piątek wieczorem? Co się stało w piątek wieczorem? – atakował Rajski. – Przypomniał pan sobie o młotku czy też nagle stał się potrzebny?

– Tak, w piątek wieczorem, kiedy już byłem w domu po pracy, żona mówi: Wziąłbyś i przybił porządnie te zawiasy, bo niedługo drzwi odpadną od futryny.

– No i co?

– Nic. Przypomniałem sobie wtedy o młotku u Felicji. W domu nie mam innego, normalne, szewc bez butów, więc pomyślałem...

– Panie Pszczoła, co pan tu zasuwa takie trele-morele. Wieczorem o dziewiątej, nagle, podczas burzy zachciało się panu iść po młotek? Niech pan to włoży między bajki i proszę mówić prawdę.

– Mówię prawdę. Nie umiem zmyślać.

– Zatem twierdzi pan, że wówczas, w piątek wieczorem, poszedł pan do sklepu po młotek?

– Tak. Ale ja naprawdę nie mam z tymi zbrodniami absolutnie nic wspólnego. Powiem wszystko szczerze, bo i mnie ciekawi, co się właściwie stało z moim młotkiem...

– Jak to? Przecież poszedł pan po młotek do sklepu Felicji...

– Chwileczkę, po kolei, zaraz się panowie dowiedzą wszystkiego. – Zaczepnął głębiej powietrza. – Więc tak: zaszedłem od tyłu, pukam do drzwi kantorka, nikt nie odpowiada. Przykładam ucho, nic nie słyszę. Naciskam klamkę, otwarte. Pchnąłem drzwi, wchodzę, ale w kantorku nikogo nie widzę ani nie słyszę. Odchylam kotarę wiszącą w przejściu z kantorka do magazynu, robię dwa kroki, patrzę: coś strasznego! Kałuża krwi, Fela leży twarzą do podłogi, a obok niej mój zakrwawiony młotek. Taki mnie zdjął strach, mówię panu, że nie mogłem się ruszyć z miejsca. Czułem tylko, że mi w głowie huczy. Nie umiałem spokojnie myśleć. Wejść dalej czy nie? Zabrać młotek czy nie? Różne myśli latały mi po głowie, ale na nic nie mogłem się zdecydować. Wreszcie, pamiętam, pomyślałem tak: „Jeśli młotek zabiorę i gdzieś ukryję, to przecież będzie dowód przeciwko mnie jak cholera. Jeśli go na tym miejscu zostawię, to też nie będzie łatwo się z tego wyplątać. Tak źle i tak niedobrze...” Nie mogłem podjąć żadnej decyzji. Wreszcie myśl, że ktoś może mnie tam zastać, a nic gorszego już by mnie spotkać nie mogło, wypchnęła mnie z magazynu i jak oparzony pobiegłem do domu. Opowiedziałem wszystko żonie. Nie chciała wierzyć. Siedzieliśmy do późna i zastanawialiśmy się, co robić.

– Nie pomyśleliście o tym, że trzeba natychmiast zawiadomić milicją?

– Pomyśleliśmy. I gdyby nie ten cholerny młotek, to zaraz pobiegłbym do komendanta Tatara. Ale moją żona powiedziała tak: Młotek jest twój, a od czego Fela zginęła i tak dojdą, ani mi się waży zawiadomić milicję. A ja głupi usłuchałem tej rady. Już nawet miałem zamiar iść spać, ale sobie wykombinowałem, że jednak muszę ten młotek ze sklepu zabrać. „Pójdę, pomyślałem, wezmę i utopię w jakiejś studni. Tak będzie dla mnie najlepiej.” Doszedłem do przekonania, że nikt mnie przy zbijaniu regałów nie widział, więc nikomu nie przyjdzie do głowy jakiegokolwiek skojarzenie z moją osobą. Tak pomyślałem i znów poszedłem do sklepu.

– Nikogo pan po drodze nie widział?

– Było pusto i ciemno. Ani żywego ducha. Wchodziłem do magazynu, mówię panom, jakbym wchodził do grobowca. Ciarki latały mi po plecach, a zęby dzwoniły tak, że nie mogłem się opanować. Wszedłem, patrzę, Fela leży, ale mojego młotka nie ma! Rozglądam się, patrzę tu, patrzę tam, no nie ma!

– Może podniecenie rzuciło panu jakieś bielmo na oczy?

– Żadne tam bielmo! Młotka nie było. Pamiętałem przecież, w – którym miejscu leżał, wpatrywałem się w nie jak sroka w gnat. Aż pomyślałem tak: „A może, kiedy byłem tu wcześniej, Fela jeszcze żyła?” Dlaczego, u cholery, zrobił się ze mnie taki tchórz i nie sprawdziłem tego? W tamtym momencie gotów byłem ze złości rozszarpać samego siebie. A może się po moim wyjściu poruszyła i młotek leży teraz pod nią? Tak pomyślałem. Przecież nie mógł wyparować. Zebrałem się w sobie, podszedłem do Feli i odwróciłem ją na plecy.

– Ach, odwrócił pan... Teraz rozumiem.

– Co?

– Nic, nic. Proszę mówić dalej.

– Odwróciłem, tak jest, ale młotka nie znalazłem. I do tej chwili zachodzę w głowę, co się, u diabła, stało z moim młotkiem?!

– Leży tutaj na stole, nie widzi pan?

– Nie jestem ślepy. Ale co się stało z nim wtedy, tam, w magazynie? Może mi pan powiedzieć?

– Powiem, kiedy będę mógł. Proszę teraz podpisać protokół i jest pan wolny.

– Puściłeś go tak lekko? – zdziwił się kapitan Salski, kiedy Stanisław Pszczoła wyszedł.

VI

Zanim kapitan Tomasz Rajski powrócił z Warszawy, co nastąpiło dopiero późnym wieczorem, kapitan Wiktor Salski, zamierzający pierwotnie skorzystać z zaproszenia komendanta Tataru i przespać się w jego mieszkaniu kilka godzin, zmuszony został do zrezygnowania z tego zamiaru. W pół godziny po wyjeździe Rajskiego na posterunek przyszedł Józef Gruza.

– Słuchaj, Jasiu – zwrócił się do komendanta Tataru – na śmierć zapomniałem, że weterynarz zostawił u mnie swoje spodnie. Przyniosłem je – położył na stole niewielki pakunek owinięty w gazetę. – Może w kieszeniach coś jest? – dodał. – W takiej sprawie każdy detal jest ważny.

„Skoro przypuszcza, że w kieszeniach może coś być, to znaczy, że coś jest tam na pewno – pomyślał Tatar. – Józek nie przyszedłby tu z pustymi portkami.”

– Pan kapitan spojrz – wyciągnął rękę do Salskiego. – Rzeczywiście coś jest. Jakaś kartka. Czytałeś, Józek?

– Coś ty! Myślisz, że ja nawykłem do grzebania w cudzych kieszeniach – zaprotestował Gruza. A sierżant skomentował w myślach: „Ale łże, komediant!”

Kapitan Salski rozwinął kartkę i po cichu przeczytał:

„Marian, musisz dziś koniecznie przyjść do tego nie wykończonego domu Wróblewskiego punkt o dziesiątej wieczór. Powiem ci niespodziankę, która do twojej żony nie może się donieść, a dla ciebie jest bardzo ważna. Jak się domyślasz to dobrze, a jak nie to nie. Przyjdź żebyś nie musiał potem żałować. Sprawa jest pilna i musi być w tajemnicy. Nie mów o tym nikomu i nie próbuj się wcześniej ze mną zobaczyć. Czekam o dziesiątej, pamiętaj. Fela”.

– Dziękuję panu, panie Gruza. Oddał nam pan dużą przysługę. Czy wspominał pan komuś o tej kartce?

– Co za ludzie! – powiedział zde gustowany Gruza. – Mówię przecież, że po kieszeniach nie grzebałem, a tę kartkę widzę na oczy pierwszy raz.

– To niech się panu zdaje, że jej pan nigdy nie widział, dobrze?

– Postaram się. Mogę już iść?

– Oczywiście. Do widzenia panu. Proszę przeczytać, komendancie – podał kartkę

Tatarowi – i powiedzieć, co pan o tym myśli.

Komendant posterunku, w wysokim stopniu zaaferowany, zapoznał się z treścią kartki znalezionej w spodniach Korala.

– To chyba pisał dzieciak. Takie kulfony?... Papier w kratkę, a więc z zeszytu szkolnego. Tak, myślę, że to na pewno pisał jakiś uczeń.

– Ale pod czyjeś dyktando.

– Ba – parsknął Tatar – to się wie. Ale pod czyje dyktando? O, w tym jest szkopał!

– Robi się coraz gęściej. Wiadomości sypią się nam jak manna z nieba, a my, jak staliśmy w miejscu, tak stoimy – powiedział ze zniecierpliwieniem kapitan Salski.

– Uważam, że jest lepiej, kiedy te wiadomości są, niż gdyby ich nie było – zauważył komendant Tatar. – Autora tych szczeniackich bazgrołów odkrywamy raz-dwa. Proponuję, żebyśmy jutro poszli do szkoły. Rozpytamy dzieciarnię o tę kartkę, a jeśli nikt się do jej napisania nie przyzna, to poprosimy nauczyciela, żeby cała szkoła napisała treść kartki pod dyktando. Porówna się pismo i w ten sposób dojdziemy do autora. A jak już będzie autor, to i do tego jegomościa zapraszającego Korala na spotkanie będzie blisko. Pewne jest to, że tego listu nie pisała Felicja, znam jej pismo.

– Czy szkoła jest duża?

– Budynek jest spory, ale uczą się tu początkowe klasy i tylko dzieci z naszej miejscowości.

– To sprawę upraszcza – rzekł kapitan Salski. – Ale wstrzymajmy się z podejmowaniem decyzji do powrotu kapitana Rajskiego. On miewa na ogół lepsze pomysły, wiem coś o tym.

– Nie wiem czy ma lepsze, czy gorsze, ale zobaczy pan, że z tą kartką zrobimy to, co ja proponuję. Innej drogi nie widzę.

– Zobaczymy. Gra pan w szachy, komendancie? – Salski zmienił temat.

– Słabo. Ale możemy spróbować. Spać się już panu nie chce?

– Mniejsza o sen. Niech pan przyniesie szachownicę, rozerwiemy się trochę do powrotu Rajskiego.

– No, panie starszy sierżancie sztabowy – zaczął już od progu kapitan Rajski. – Gratuluję panu pomysłu. Sukces całkowity, popatrzcie! – i położył na stole-kilkanaście zdjęć oraz protokół sporządzony w jednej z pracowni kryminalistycznych.

Był już późny wieczór. Niedziela kończyła się i wbrew przewidywaniom komendanta

Tatara nie przyniosła ekscesów.

– Musi pan, komendancie, rozszyfrować te skróty na plastrach. Właściwie nie na wszystkich, tylko na jednym. To jest to zdjęcie: „Pos. nr. 7, B”, co to oznacza?

– Czulem, cholera – powiedział sierżant Tatar – że to będzie jego siekierka.

– Czyja?

– Ja tu napisałem: „Posesja nr. 7, Brała”. A co piszą na ten temat w protokóle?

– Zamiast czytać, proszę porównać te zdjęcia: tu mamy sfotografowane w dużym powiększeniu pańskie wzorce, a tu powiększenie odcinka drewna naciętego siekierą Brali. Czy widzi pan podobieństwa?

– Słowo honoru nie przypuszczałem, że to wyjdzie tak dokładnie – zdziwił się komendant Tatar. – Dwa wzniesienia, dwa wgłębienia. Zgadza się?

– Ja tu widzę cztery rysy, ale żadnych wgłębień ani wzniesień – powiedział kapitan Salski.

– Komendant Tatar ma rację. Rad bym tylko usłyszeć, dzięki czemu tak szybko zorientował się pan w różnicy pomiędzy tymi rysami?

– Kiedy się dobrze przyjrzeć, a to żadna sztuka – mówił pewnym siebie głosem Tatar – to widać, że cała płaszczyzna cięcia pokryta jest biegnącymi ukośnie rysami. I to jest normalne. Bo każde ostrze pozostawia po sobie takie ślady. Ale te cztery rysy – dotknął zdjęcia palcem – różnią się i od pozostałych, i parami między sobą. Są bardziej wyraziste, a poza tym jedne ciemniejsze, drugie jaśniejsze. Znaczący to, że zastosowano przy wykonywaniu zdjęcia dobre kontrastowe oświetlenie, rzucające promień pod pewnym kątem... No, jednym słowem jestem pewny, że jest właśnie tak, jak powiedziałem. A najlepsze jest to, że te rysy pokrywają się z rysami przedstawionymi na zdjęciach kołków, które spiłowałem w pobliżu domu Wróblewskiego. W ten sposób mamy Brałę w sieci.

Dwaj kapitanowie popatrzyli na siebie znacząco. „Udał nam się ten Tatar, nie ma co” – zdawały się mówić ich oczy.

– Kuć żelazo, dopóki gorące, mówi porzekadło – rzekł kapitan Salski. – Sprowadźcie, sierżancie, tego Brałę.

– O tej porze? Przecież już prawie jedenasta.

– Co z tego? Wyciągnijcie go z łóżka. A ja tymczasem opowiem kapitanowi Rajskiemu o tym, co znaleźliśmy w spodniach Mariana Korala.

– A jeśli się będzie opierał, brać go siłą?

– Brać. Jutro z samego rana pójdzie do pracy w lesie i gdzie będziemy go szukać? Musimy go przesłuchać dziś. Zgoda, kapitanie Rajski?

– Zgada, Wiktorze.

Władysław Brała wyglądał tak, jakby wylazł z sásieka wypełnionego sianem i słomą. Wymięty, rozespany, w odzieży upstrzonej paprochami... Widać męczyło go pragnienie, bo bez przerwy mlaskał wargami, ale pijany nie był. Usiadł na wskazanym miejscu obojętny na wszystko, wyciągnął paczkę sportów, nie pytając o przyzwolenie zapalił i dopiero wtedy spojrział na twarze funkcjonariuszy.

– Co jest? – odezwał się zaczepnie. – To już nawet po nocy wyciąga się ludzi z łózek?

– Po pierwsze, Brała – skontrował Tatar – to nie leżałeś w łóžku, tylko na snopku słomy w komórce. A po drugie, to mamy do ciebie pilną sprawę.

– Gdzie leżałem, to leżałem, ale spałem, nie? I proszę mnie nie tykać, panie komendancie, bośmy gęsi razem nie pasali. Obywatelem jestem i kropka – zaciągnął się dymem sporta.

– Dlaczego, panie Brała – inicjatywę przejął kapitan Rajski – wycinał pan drzewka i krzewy w pobliżu domu Wróblewskiego? Niech pan tylko nie próbuje zaprzeczyć, mamy dowody.

Władysław Brała uśmiechnął się nieznacznie wąskimi wargami. Przez pewien czas nie odpowiadał. Spoglądał spode łba na kapitana Rajskego i drapał się po piersiach rozpiąwszy jeden z guzików koszuli.

– Zatkalo pana, panie Brała? – przynaglił kapitan Rajski. – Uprzedzamy pana, że jest to formalne przesłuchanie i swoje zeznanie będzie pan musiał podpisać.

– Podpiszę wszystko, co mi tam...

– Słuchamy, nam także chce się spać.

– To niby twierdzicie, że ja wycinałem drewno koło domu Wróblewskiego?

– To właśnie twierdzimy i nie bez podstaw, panie Brała. Już panu powiedziałem: mamy na to dowody.

– Dowody... – powtórzył za kapitanem Brała. – Jakie dowody, można wiedzieć?

– Można, pokażemy je panu. Ale najpierw chcemy usłyszeć pańskie przyznanie się do tego czynu. Więc jak?

– Pewnie na tych tam krzaczkach wymalowane jest moje nazwisko, co? – Brała zaśmiał się nieszczerze.

– Pan ma ochotę żartować?

– Kiedy człowieka rozśmieszacie, to co ma robić?

– Niech pan tu przed nami nie zgrywa głupka – zdenerwował się kapitan Salski. – Przypuszczam, że wie pan, po co tu jesteście. Jest pan podejrzany... – nie dokończył myśli.

– Wiem – przerwał Brala. – Jestem podejrzany o wycinanie drzewek. Dobrze, niech wam będzie, że to ja wycinałem. I co z tego?

– Z tego wynika, panie Brala, że jest pan podejrzany również o zabójstwo – kapitan Rajski poszedł na całego. Brala wydał mu się być na tyle prymitywny, że tylko atak frontalny mógł wyzwolić w nim jakieś emocje i skłonić do otwartych zeznań. „Cackanie się, kluczenie – rozumował szybko Rajski – okrażanie pozornie niewinnymi pytaniami rzadko w przypadku takich typków przynosi rezultaty. Trzeba go po prostu mocno przycisnąć”. – Jest pan podejrzany, ściśle mówiąc, o dwa zabójstwa – poprawił się.

– O, panowie, widzę, mają już przeciwko mnie wszystko ułożone – spokojnie powiedział Brala. – Już nie tylko krzaki są na moim koncie, ale nawet dwa zabójstwa. Ciekawe.

– Tak, ciekawe, jak pan się z tego wykaraska. Proszę odpowiadać na pytania i nie filozofować. Wycinał pan te krzaki koło domu Wróblewskiego?

– Dość tego, panowie. Nie wycinałem żadnych krzaków i puśćcie mnie do domu, bo muszę jutro bardzo wczesnie wstawać do roboty. Nie mam wam nic do powiedzenia.

– W takim razie posiedzimy tutaj do rana, a może i dłużej. Tak gładko panu nie pójdzie, panie Brala. Panu się tylko wydaje, że wystarczy powiedzieć „nie” i my zaraz w to uwierzemy, a pan pozostanie niewinny jak aniołek. O, nie. Proszę, oto dowody – kapitan Rajski podsunął Brali zdjęcia. – Niech pan to sobie obejrzy, jeśli łaska. Może się pan domyśli, co te zdjęcia przedstawiają?

– Nie będę oglądał żadnych picassów, nie znam się na tym, nie interesuje mnie to – odsunął zdjęcia na środek stołu.

– Są to zdjęcia mikroskopowe, na których utrwalone są charakterystyczne ślady pańskiej siekiery, panie Brala.

– Ach, to dlatego komendant wyglądał się z tym struganiem klinów... Trudno, kiedy mówicie, że na tych fotografiach jest moja siekiera, to chyba wiecie, co mówicie. Niech wam będzie.

– Zatem przyznaje się pan?

– Do czego?

– Panie – groźny ton zabrzmiał w głosie kapitana Rajskiego – my nie jesteśmy święci, niech pan nas nie wyprowadza z równowagi.

– Kto dziś jest święty – rzekł niewzruszony Brala. – Ja też mam nerwy. Do niczego się nie przyznaję. Siekiera moja, mówicie? Niech będzie, że moja. Ale ja z nią koło domu Wróblewskiego nie chodziłem. Nigdy! Co by mnie miało tam zawlec? Jaka sprawa? Przecież

to jest daleko za wsią i gdybym chciał swoją siekierkę wypróbować, to mamy dość drewna na podwórzu. Nie ciąłem żadnych krzaków, to jest pomysł wariacki.

– Może i wariacki – powiedział Rajski. – Poczytalność człowieka popełniającego dwa morderstwa z pewnością stoi pod znakiem zapytania. Ale to inna sprawa. Nas interesują w tej chwili dowody materialne. Czy pan nie rozumie, panie Brala, że jeśli w naukowy sposób zostało dowiedzione, że pańską siekierą ścięte zostały krzaki koło domu Wróblewskiego, to nie ma sposobu, żeby się od tego wymigać?

– Rozumiem. Tylko pokażcie mi tego, który to zrobił. Bo, że moja siekiera tam była, jak twierdzicie, to jeszcze za mało, żeby udowodnić, że to ja trzymałem ją w garści. No, jak mi to udowodnicie?

– Pan się do tego po prostu przyzna.

– Niedoczekanie! Mam się przyznawać do czegoś, czego nie zrobiłem?

– Zatem zaprzecza pan?

– Zaprzeczam. I to mocno. Zapiszcie sobie.

– Jaką pan ukończył szkołę, panie Brala? – zmienił temat Rajski.

– A po co panu to wiedzieć? Co ma szkoła do krzaków i siekiery?

– To nasza sprawa. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Cztery klasy. Dlatego haruję w lesie.

– Gdzie pan pracował przed rozejściem się z żoną?

– To wiecie już, że ja nie żyję z żoną? Proszę, proszę... Cały wywiad już za mną poszedł. Przyjechałem tu ze Szczypierek, pracowałem tam w państwowym ośrodku maszynowym.

– W jakim charakterze?

– W normalnym. Jako robotnik?

– Czy umie pan prowadzić pojazdy mechaniczne?

– E, tam.. Raz czy dwa razy chłopaki pozwolili mi pokręcić się traktorem po dziedzińcu. Nie umiem. Do jeżdżenia nigdy mnie specjalnie nie ciągnęło.

– Ale samochód w razie czego potrafiłby pan uruchomić.

– W razie, na przykład, czego?

– No, gdyby pana ktoś o to, na przykład, poprosił.

– Wątpię. Nie wiem nawet, jak biegi w samochodzie chodzą. Na tym trzeba się znać, kursa kończyć, prawo jazdy zdobyć... Nie, nic z tego nie umiem.

– Ile pan płaci Ciernikowi za mieszkanie?

– Grosze. Trochę mu w gospodarstwie pomagam i jakoś godzimy się.

- Felicja Ciernik podobała się panu?
 - Moja rzecz, kto mi się podoba, a kto nie.
 - Oczywiście, że pańska. Nie musi pan na to pytanie odpowiadać.
 - O ile nie muszę, to po co pan pyta? Ale mogę powiedzieć: nie podobała mi się. – Słowo „nie” wypowiedział z naciskiem i z pewną dozą zawziętości w głosie.
 - Czy można wiedzieć dlaczego?
 - Nie, i tyle. Wszyscy nie muszą mi się podobać. Ja, dla przykładu, nie podobam się panu, a pan mnie.
 - Skąd taki wniosek?
 - Po swojemu znam się na ludziach.
 - A o weterynarzu Koralu co może nam pan powiedzieć?
 - Nic.
 - Zupełnie nic?
 - Zupełnie. Nie znałem go. To był człowiek z innej gliny, chociaż podobno też pochodził ze wsi.
 - Ale o tym, że utrzymywał kontakty z Felicją Ciernik wiedział pan?
 - Może i wiedziałem. Nie moja sprawa, więc się w to nie wgłębiałem.
 - Z wyjątkiem jednego razu, wtedy pod gospodą.
 - Oj, pan to widzę lubi poplotkować... Było, minęło, kolegium karne osądziło, swoje zapłaciłem, nie mamy o czym rozmawiać.
 - Czyżby? Najpierw pan odbija wnętrzności Koralowi, teraz weterynarz zostaje zamordowany, a pan uważa, że nie ma o czym rozmawiać? Dlaczego napadł pan na Korala pod restauracją? Jaki był bezpośredni powód pobicia? Szybko.
 - Co szybko, co szybko... Wlałem mu przez pomyłkę. Wystarczy to panu? Jeśli nie, to proszę zażądać protokółów z kolegium, wtedy zeznałem to samo.
 - Możliwe. Ale to wcale nie dowodzi, że i wtedy, i teraz mówi pan prawdę.
 - Moja rzecz twierdzić swoje, a pańska wierzyć albo nie.
 - Uwierzę, jeśli pan powie przynajmniej kogo to, mianowicie, zamiast Korala miał pan zamiar wówczas obić.
- Władysław Brała zastanawiał się.
- A po co to panu wiedzieć? – spytał po chwili. – Tego człowieka już w Sielawie nie ma, nie warto wywoływać duchów. Nic więcej na ten temat nie mam do powiedzenia.
 - Ten upór może panu zaszkodzić.
 - Możliwe. Ale już taki się urodziłem. Z gęby cholewy nie robię.

– Przejdźmy wobec tego do innych spraw. Gdzie pan był w miniony piątek wieczorem między dwudziestą a dwudziestą trzecią?

– To znaczy między którą, a którą? – Albo rzeczywiście nie rozumiał pytania, albo chciał zyskać na czasie.

– To znaczy między ósmą a jedenastą wieczorem.

– Gdzie byłem? Zaraz, niech sobie przypomnę...

– To było zaledwie przedwczoraj, panie Brala. Już pan zapomniał?

– Nie zapomniałem, tylko chcę powiedzieć dokładnie, żebyście mi później znów czegoś nie wmawiali. W piątek... zaraz, do południa byłem w robocie. Po południu zjadłem obiad w gospodzie, potem chodziłem trochę po wsi, a potem znów poszedłem do gospody. Siedziałem tam parę godzin. Nie sam, można sprawdzić. Wyszedłem... zaraz, tak, wyszedłem chyba dobrze po ósmej. Miałem trochę w czubie i źle się poczułem. Poszedłem prosto do siebie. Leżałem na tapczanie i słuchałem radia. Mieszkam na piętrze nad Ciernikami, wejście od szczytu schodami na zewnątrz domu, powinni słyszeć, że jestem w mieszkaniu i że gra radio.

– Każde dziecko potrafi włączyć radio. To nie jest alibi, panie Brala. Czy z gospody wychodził pan sam?

– Jak palec. Nikomu nie chciało się nosa wytykać, wszyscy czekali, aż przestanie padać. Może i ja bym poczekał, gdybym się czuł lepiej. Ale miałem już dość.

– W drodze do domu nie widział pan nikogo?

– W taką pogodę? Nie było warunków na spacer.

– Mógł to być, na przykład, ktoś podobny do pana. Podpiwszy sobie też mógł wracać o tej porze do domu. Ciernikowie też pana nie widzieli?

– Nikt nie widział. A Ciernikowie pewnie już spali. Oni kładą się wcześniej.

– Mówi pan, że po przyjsciu do swego mieszkania położył się pan i słuchał radia.

Jakiej audycji?

– Muzyki słuchałem.

– Długo?

– Aż zasnąłem. Ale ta muzyka mnie zbudziła. Musiało być już bardzo późno. Wtedy podniosłem się i radio wyłączyłem.

– Tak czy owak alibi pan nie ma.

– Czego nie mam?

– Alibi. Czyli, że nie potrafi pan udowodnić, że w czasie pomiędzy ósmą a jedenastą był pan rzeczywiście w domu.

- Odkąd to trzeba udowadniać, że się siedzi we własnym mieszkaniu?!
- Od czasu do czasu, panie Brala. A szczególnie wtedy, kiedy o tej samej porze w zbrodniczy sposób giną ludzie. Rozumie pan?
- Co mam nie rozumieć. Albo to mało się człowiek naogląda tych zbrodni w telewizji? Tam też ciągle tylko pytają, o te, no, o te alibi.
- Zgadza się. Tylko, że my siedzimy w Sielawie na posterunku milicji i nie mamy telewizora. Sami odgrywamy spektakl kryminalny, a pan alibi, niestety, nie ma.
- Bo mi nie jest potrzebne. Ja nikogo nie zabiłem i nic nie jestem nikomu winien. Spałem podpity, słuchałem muzyki i tyle.
- To za mało, panie Brala, o wiele za mało...
- Jak dla kogo – odparł dwuznacznie Brala i na tym przesłuchanie zostało zakończone.
- Chce mi się spać – powiedział po wyjściu Brali kapitan Wiktor Salski.
- Mnie też. A w dodatku jestem wściekły jak sto dzikich psów – rzekł z rozdrażnieniem kapitan Tomasz Rajski. – Jak dotąd nic się nie chce skleić, niczego nie widzą wyraźnie. Major Raksa życzy sobie, żeby tę sprawę dla jakichś tam względów prestiżowych zakończyć w najbliższych dniach.
- Jest to bardzo pobożne życzenie, szkoda tylko, że mało oryginalne, gdyż my, jak sądzę, żywimy identyczne pragnienia.
- Co myślisz o tym Brali?
- Na dwoje babka wróżyła: mógł i nie mógł. Na razie nie jesteśmy w stanie niczego mu udowodnić. A poza tym wszystkim gdzie motyw? Gdyby nie ta jego siekiera, byłbym skłonny natychmiast wykluczyć go z kręgu podejrzanych.
- Motyw w jego przypadku może okazać się albo bardzo zwyczajny, albo zgoła irracjonalny. Jednakże na tępaka on mi nie wygląda. Co zaś do kręgu podejrzanych, to przynajmniej w tej chwili jest on tak wąski, że właściwie nie istnieje. Powinniśmy czym prędzej dojść do ściślejszych hipotez roboczych; takie bezplanowe dziobanie na wrywki ma to do siebie, że nadwątła siły i przeciąga sprawę w nieskończoność, a na tak zwane szczęśliwe przypadki nie można liczyć.
- Pozwolę sobie zauważyć, że dotychczas mamy do czynienia prawie wyłącznie ze szczególnymi przypadkami – rzekł Salski ziewając. – Ginie samochód komendanta Tatara i co? Za sprawą różdżki czarodziejskiej prawie natychmiast odnajduje się. Mało tego. W samochodzie znajdujemy młotek, który jest narzędziem zbrodni. Czy to nie szczęśliwy przypadek?
- Może tak, a może nie. A jeśli to tylko pozór? Bo jeśli założymy, a jakieś założenie

przyjąć przecież musimy, że morderca tego właśnie pragnął?

– Czego? Nie bardzo cię rozumiem.

– Tego właśnie, żebyśmy stosunkowo szybko odnaleźli i samochód, i młotek.

– Wobec tego mamy do czynienia albo ze sprawcą wyjątkowo głupim, albo wyjątkowo wyrafinowanym.

– No właśnie... Komendancie! – Coś się kapitanowi Rajskiemu nagle przypomniało. Ożywił się. Komendant Tatar przecierał kciukami powieki i walczył ze snem. – Czy o kradzieży pańskiego samochodu wie ktoś spośród mieszkańców Sielawy?

– Głowy nie dam. Przed nikim się tym nie chwaliłem, a w ciągu tej godziny, kiedy gazik stał po odnalezieniu przed posterunkiem, wątpię, żeby ktoś mógł się czegokolwiek domyślić. Wstawiliśmy go zaraz do garażu. Trzeba reperować drzwi, bo się nie zamykają, a do warsztatu Pszczoły samochodu przecież nie dam.

– Słusznie. Pszczoła jest bądź co bądź jednym z podejrzanych. Lecz pójdźmy innym tropem. Wyłączmy Pszczołę, wyłączmy ojca Felicji Huberta Ciernika. Kto pozostaje na widoku?

– Chyba tylko Brala – rzekł sierżant Tatar.

– Brala albo ktoś, kto posłużył się jego siekierą.

– Uczepiłeś się tej siekiery... – Salski skrzywił się.

– Być może. Ale nikt bez przyczyny nie wycina siekierą Brali gałęzi daleko za wsią i nie gromadzi ich na miejscu zbrodni. Zauważ, że gałęziami, podkreślam: suchymi gałęziami zamaskowane było miejsce, w którym znaleźliśmy zwłoki Korala.

– To mógł być zwyczajny zbieg okoliczności.

– Mógł. Lecz jeśli założyć, że to nie był przypadek, wówczas dla tych gałęzi w całości kompozycji musimy znaleźć określoną funkcję. Krzaki nie były świeżo ścięte; nie nastąpiło to ani w dniu morderstw, ani na kilka dni przed nimi. Wygląd pieńków mówi nam, że stać się to musiało znacznie wcześniej.

– Wniosek?

– Może być kilka wniosków. Intuicja podpowiada mi jedną z możliwości, ale dość frapującą. Co powiedzielibyście, na przykład, na taką wersję: Ktoś dawno już postanowił Korala zgładzić. Mniejsza w tej chwili o motyw i osobę sprawcy. Ten ktoś układa sobie taki plan: przyciągnę w jakiś sposób Korala do domu Wróblewskiego. Miejsce jest doskonałe: nie ukończone mury domu, nikt tam nie zagląda, w sam raz nadające się do realizacji zamiaru. No tak... Lecz zwłoki trzeba ukryć. Gdzie? W wykopie przeznaczonym na piwnicę. Jak szybko można po ciemku wykopać w takim miejscu dół dla ukrycia zwłok? Z pewnością

wymagałoby to dłuższego czasu. Więc ten ktoś mógł sobie rozłożyć działanie jakby na raty, rozumiecie? Mógł, powiedzmy, wykopać dół grubo wcześniej, zbrodniczy zamiar bowiem, zakładamy, wylął się w jego głowie na długo przed czasem spełnienia. Taka możliwość nie jest pozbawiona sensu. Wyobraźcie sobie, że ten ktoś kopie w piwnicy dół, lecz po namyśle nawiedza go obawa, że przypadkiem ten dół może zostać przez kogoś zauważony. Ot, przyjdzie z gminy jakaś komisja lub zdarzy się coś innego w tym rodzaju. Co zatem postanawia? Wymyśla rzecz w istniejących warunkach najprostszą: wycina drzewka, krzewy, gałęzie i tym sposobem maskuje wykopany przez siebie dół. Czy sądzicie, że jest to nieprawdopodobne?

– Historyjka jest zgrabnie ułożona. Tyle tylko, że nie pasuje do całości sprawy – powiedział kapitan Salski. – W tym dole znajdował się tylko trup Mariana Korala. A co z Felicją Ciernik? Wszak zostało ustalone niezbitcie, że oboje zginęli od tego samego narzędzia i z tej samej ręki. Więc dlaczego mordercy zależeć by miało na tym, aby zwłoki Korala ukryć, a sklepowej nie? Czy jest dla tego zagadnienia jakieś wytłumaczenie?

– Owszem, jest – odparł kapitan Rajski. – Chociaż powinienem raczej powiedzieć: wytłumaczenie musi się znaleźć. Tymczasem, przypominam, zabawimy się w układankę, przy czym staramy się, aby miała ona jakiś wewnętrzny sens. Musimy stworzyć prawdopodobną wersję zdarzeń na podstawie tego wszystkiego, co mamy i o czym wiemy, a potem tę wersję zweryfikować. Innej drogi nie widzę.

– Pan kapitan ma rację – odważył się wtrącić sierżant Tatar. – Przecież trzeba się czegoś trzymać.

– Fantazjuj dalej – zachęcił Salski. – Posłuchamy z przyjemnością. Widzę, że wiele już o tej sprawie myślałeś i że ta układanka ma w twojej wyobraźni kształt prawie doskonały.

– Bez przesady. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to zawsze w takich sprawach umysł mój pracuje na zdwojonych obrotach i nie ma chwili wytchnienia. Męczy mnie to okropnie. Ale nie potrafię dać sobie odpoczynku, powiedzieć: No, stary, a teraz przestań o tym myśleć i przez kilka godzin odpocznij. Chciałbym. Nie potrafię.

– Nie chwał się. Mów, co wykoncypowałeś?

– Przypomnijcie sobie zeznania Marioli Więckówny. Co ona powiedziała? Że słyszała rozmowę w sklepie. Rozmowę początkowo spokojną, prowadzoną bez uniesień. Wniosek? Ten, kto podówczas do sklepu przyszedł, wcale nie musiał mieć zbrodniczego zamiaru. Dopiero obraźliwe słowa Felicji Ciernik przyćmiły mu umysł, chwycił leżący w pobliżu młotek i uderzył Felicję może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że cios będzie śmiertelny. Jeśli było właśnie tak, a przecież mogło tak być, to Pszczoła, właściciel młotka,

znajduje się poza obszarem naszych zainteresowań. On nie miał powodów do sprzeczki z Felicją.

– Skąd ta pewność? – spytał Salski.

– Nie pewność, lecz założenie robocze.

– Niestety, znów nie dość spasowane z pozostałymi elementami.

– Dlaczego?

– Pszczoła wszedł do magazynu i co zobaczył? Martwą Felicję i młotek, prawda?

– Prawda. To znaczy on twierdzi, że tak właśnie było.

– Ufamy mu. Założmy, że mu ufamy. A jeśli tak, to ufajmy mu konsekwentnie do końca. Zobaczył młotek, uciekł, wrócił, młotka nie było. Duchy?

– Żadne duchy. Czy Pszczoła wchodził dalej, do pomieszczenia sklepowego? Co zeznał?

– Chyba nie wchodził. O ile dobrze pamiętam, nic nam o tym nie wspominał.

– A widzicie! Moja wersja jest taka: Pszczoła wchodzi, widzi martwą Felicję, swój młotek i przerażony ucieka. Wraca, zauważcie, dopiero po kilku godzinach. Młotka nie ma. Wyjaśnienie: w czasie, gdy Pszczoła wchodził do magazynu pierwszy raz, morderca musiał słyszeć pukanie do drzwi i jego kroki. Banalnie proste jest to, co czyni, po prostu kryje się we wnętrzu sklepu i siedzi tam jak mysz pod miotłą. Pszczoła wybiega, morderca Felicji opuszcza kryjówkę, bierze z podłogi młotek i udaje się do domu Wróblewskiego, aby dokonać mordu głównego, tego, który właśnie na ten wieczór zaplanował. Proste?

– Do mnie to przemawia i ja się z tym zgadzam – powiedział całkiem już nie śpiący komendant Tatar. – Wszystko, co wynika z pańskiej hipotezy, przyjmuję jako jedyne logiczne wytłumaczenie tajemnicy zniknięcia młotka ze sklepu i jestem „za”.

– Nie będziemy tutaj głosować, komendancie – ofuknął go kapitan Salski. – Rzec nie polega na wyrażaniu zgody lub zgłaszaniu protestu. To wszystko musi mieć ręce i nogi, to się musi skleić w przekonującą całość, rozumiecie?

– Naturalnie, że rozumiem. I według mnie to się właśnie zaczyna bardzo pięknie sklejać.

– Niezupełnie. Pokażcie mi człowieka o tak stalowych nerwach, żeby był zdolny tuż po zabiciu kobiety iść jeszcze dalej, do następnego mordu. Chyba, że jest to jakiś maniak, człowiek chory. Bo jakież inna siła byłaby zdolna pchnąć go do zrealizowania tego straszliwego zamiaru?

– Nienawiść, mój drogi – rzekł kapitan Rajski. – On mógł nienawidzić Korala do tego stopnia, że raz powzięty zamiar stał się obsesją, determinantą, ścieżką w jednym tylko

kierunku, bez odwrotu.

– Nie będę się sprzeczał, ale mnie to nie przekonuje. Nie przeszkadzam ci jednak, snuj opowiastkę dalej.

– Dalej wszystko układa się, naturalnie według mojej roboczej hipotezy, bardzo nieskomplikowanie. Mamy list przywołujący Korala na spotkanie do domu Wróblewskiego. W liście jest mowa o tym, że Koralowi powierzona zostanie tajemnica, której żona weterynarza nie powinna znać, bo prawdopodobnie sprawiłoby to jej cierpienie. Jakaż to tajemnica? Felicja była, jak wiemy, w drugim miesiącu ciąży. Jej ojciec był i jest przekonany, że ona tę ciążę usunęła. Lecz o wizycie u ginekologa musiał dowiedzieć się również ktoś inny. Był nim ktoś, komu na Felicji bardzo zależało, natomiast wobec Korala pałał zwierzęcą nienawiścią. To uczucie nosił w sobie zapewne od dawna; o Felicji mówiono wszak różne rzeczy i to, jak powiedział komendant Tatar, że przyłapano ich w „podwójnej” sytuacji również musiało dojść do uszu mordercy i wraz z wiadomością o wizycie Felicji u ginekologa spotęgować tę nienawiść do najwyższego stopnia. A stąd już tylko krok do zbrodni. Cóż więc czyni? Idzie na wyznaczone przez siebie spotkanie, zabija weterynarza, zwłoki zasypuje ziemią i gruzem, a na dodatek maskuje gałęziami. Rozumuje przy tym w ten mniej więcej sposób: młotek zabiorę, śladów żadnych na dworze nie będzie, bo deszcz wszystkie zmyje, a zanim Korala na tym pustkowiu znajdą, to ho-ho! Zostaną po nim już tylko kości.

– Ale młotek znalazł się przecież w samochodzie komendanta!

– Otóż to! Rozumując logicznie i z fantazją mogło być tak: młotka pozbyć się po drodze, gdzieś w polu, nie chciał. Niósł go więc do wsi z zamiarem ukrycia lub... podrzucenia w jakimś z góry upatrzonym miejscu. Ale przy wejściu w obręb zabudowań nastąpiła modyfikacja planu. Spozrzegł bowiem samochód komendanta. Przyznam się wam, że sam nie bardzo w tym momencie w tę wersję wierzę, lecz jeśli stało się tak, jak myślę, to ten nasz ktoś ma głowę nie od parady i potrafi działać z niezwykłą jak na okoliczności jasnością umysłu. Zastanówmy się nad taką wersją: spostrzega samochód, jest przekonany, że zwłoki Korala są tak dobrze ukryte, że mogą leżeć nie odnalezione do sądnego dnia. Co zatem jawi się w głowie mordercy? Rodzi się nowa przebiegła myśl: Koral nie zginął! On tylko zabił Felicję Ciernik i zniknął. Rozumiecie? Zniknął, uciekł od mordu i od żony. Miał powód? Miał. Cięża Felicji, której ta nieszczęsna dziewczyna nie chciała się pozbyć. Morderca zatem włamuje się do samochodu...

– Czym? Łomem? Przecież drzwi były wyważone.

– A jeśli młotkiem? Młotek, zwłaszcza z tak mocnym trzonkiem, przy umiejętnym zastosowaniu może być całkiem niezłą dźwignią. Kilka stuknięć, niewielkie odkształcenie

blachy drzwi, szczelina, podważenie i po krzyku. Zakładam, że tak właśnie było. Morderca wsiada do samochodu, uruchamia silnik i jedzie w kierunku Okruszyny. W szczerym polu zostawia gazik, kładzie młotek na przednim siedzeniu, przedtem naturalnie usuwa zeń ślady własnych dłoni, o ile nie działał w rękawicach, i pieszo wraca do domu. Sprawa skończona. Weterynarz zabił Felicję Ciernik, skradł pojazd, uciekł, zabrakło benzyny, porzucił samochód z konieczności, w zdenerwowaniu zapomniał o narzędziu zbrodni i ukrywa się teraz nie wiadomo gdzie. Takie mogło być rozumowanie mordercy i takie jest moje rozumowanie, jeśli idzie o prawdopodobieństwo przebiegu tych obu morderstw.

– Coś wspaniałego! – powiedział kpiąco kapitan Salski. – Kompozycja, rzecz by można, klasyczna.

– Wiktorze, wolałbym, żebyś zamiast przycinków używał argumentów. Proszę, wskaż w mojej wersji punkty słabe i przedstaw swoją wersję.

– Przykro mi, ale jeszcze do niej nie doszedłem. Co zaś do słabych punktów, to jest ich kilka, spośród tych słabych zaś najmocniejszy jest ten, że wszystko to razem nie pasuje do Brali, który jak dotąd jest naszym głównym podejrzanym. Proszę bardzo: nie ma dowodu, że to Brala wycinał zarośla; Brala nie potrafi prowadzić samochodu; Brala nie zalecał się do Felicji Ciernik i wcale mu na niej nie zależało; Brala mógł wiedzieć o ciąży Felicji, ale to jeszcze nie powód, żeby wobec obcej mu kobiety i tak samo obcego mężczyzny stosować aż tak radykalne środki.

– Mój drogi – powiedział spokojnie kapitan Rajski – Zechciejcie zauważyć, że przedstawiając wam tę wersję ani razu nie użyłem nazwiska Brala. Mówiłem: „ktoś”. A teraz naszą rzeczą jest zgodzić się z tą wstępną hipotezą i tego ktosia odszukać albo odrzucić ją jako nieprawdopodobną i ułożyć inną. Więc co robimy?

– Uważam, że niczego lepszego na razie nie wymyślimy – rzekł komendant Tatar. – Powiem więcej: mnie się ta wersja nie tylko podoba, ona mnie przekonuje, a to dlatego, że jest składna i... jakby to powiedzieć...

– Komendancie, nie wysilajcie się – powiedział kapitan Salski. – Ta wersja, wybacz Tomaszu, jest składna, ale przecież bardzo niekompletna. Brakuje w niej elementów podstawowych: odpowiedzi na pytanie kto i dlaczego? Te dwa człony również muszą się składać na całość hipotezy. Jeśli ich nie ma, to w którą stronę będziemy zmierzać, aby nimi tę wersję uzupełnić?

– Pan nie ma racji, kapitanie – Tatar nie dawał łatwo za wygraną. – Pan zapomina, że mamy jeszcze list, tę kartkę wzywającą Korala na spotkanie. Jeśli ustalimy jej autora, to tym samym będzie pan miał swój pierwszy brakujący człon: odpowiedź na pytanie – kto? Panie

kapitanie – zwrócił się do Rajskiego. – Tę kartkę, uważam, pisał jakiś dzieciak. Gdyby tak jutro spróbować w naszej szkole rozejrzeć się za autorem pisma?

– Pan ma dobre pomysły, komendancie – jakby na złość Salskiemu pochlebny tonem powiedział Rajski. – Pójdziemy jutro do szkoły. A nuż coś z tej wizyty wyniknie? – Zamyślił się.

– Dwie sroki na gałęzi. Nie wierzę w cuda – obruszył się Salski. – Zobaczycie, że tylko stracimy czas.

– Zobaczymy. Lecz zaniechać tego kroku nie wolno. Ta kartka stanowi dowód zbyt mocny, kto wie czy nie decydujący. Ma pan rację, komendancie, to może być klucz do wyjścia z labiryntu. Chodźmy już spać. A przed zaśnięciem zadajcie sobie pytania: jeśli nie Brała, to kto? Jeśli nie odpowiada wam wersja, którą przedstawiłem, to jaka inna? Dobrej nocy.

VII

Kierownik szkoły, bardzo zaaferowany, początkowo nawet nie chciał słyszeć o jakimkolwiek eksperymencie z udziałem uczniów. Kapitana Tomasza Rajskiego przywitał serdecznie i ze zrozumieniem, posadził go w wysłużonym fotelu, poczęstował kawą, ale oświadczył, że nie pozwoli mieszać dzieci do tej okropnej sprawy, chyba, że zostanie mu okazany na piśmie nakaz prokuratorski. Kiedy jednak kapitan Rajski pokazał mu list wzywający Korala na spotkanie, kierownik szkoły nieco zmiękł i powiedział, że musi tę sprawę przynajmniej przez chwilę przemyśleć i jeśli już dopuści do eksperymentu, to powinien on być przeprowadzony w taki sposób, żeby psychika dzieci nie odniosła żadnego szwanku. Nie omieszkał przy okazji udzielić Rajskiemu krótkich pouczeń na temat rozwoju osobowości dzieci i młodzieży, wskazując na różnorakie niebezpieczeństwa, mogące zachwiać równowagę psychiczną uczniów. Do niebezpieczeństw takich zaliczył kontakty z milicją, jeśli dotyczą one spraw – jak się wyraził – niesamowitych, nie należących do codziennego doświadczenia ani też doświadczenia pożądanego z punktu widzenia zdrowia dziecka. Nieumiejętne przesłuchiwanie dzieci – dowodził – lub poddawanie ich eksperymentom, może być przyczyną wstrząsu pozostawiającego trwałe ślady na całe życie. Z tych względów – perorował kierownik – niestety, ale nie mogę się zgodzić na pańską sugestię, kapitanie.

– Ależ my musimy dojść prawdy! – powiedział trochę zbyt głośno kapitan Rajski, który już wcześniej zastanawiał się, czy aby nie za wcześnie wyłożył karty na stół. – Czy pan nie rozumie, że mamy w rękach dowód zbrodni? Że musimy odnaleźć autora tego listu?

– Ja wszystko doskonale rozumiem, panie kapitanie, lecz proszę postarać się zrozumieć także moją sytuację. Odpowiadam za szkołę, za wszystkich uczniów. Gdyby moje władze dowiedziały się, na co ja tu sobie pozwalam, miałbym się z pyszna.

Kierownik szkoły niezależnie od tego, co mówił, wyglądał wyjątkowo niesympatycznie. Był niski, drobny, na nosie miał staromodne druczane okulary, przez które widać było powiększone i rozbiegane oczy. Niespokojne ręce dopełniały obrazu osobnika w wysokim stopniu znerwicowanego. Pocił się nadmiernie, co chwila przecierał chustką twarz i dłonie. Rozwichrzona resztki włosów na szpiczastej głowie upodobały go do jakiegoś rzadkiego ptaka. Nosił się, jak na kierownika szkoły, nazbyt niechlujnie. Ubranie na nim było wymięte, koszula nie uprasowana i nie pierwszej świeżości, bez krawata... „Nie – ocenił w myślach kapitan Tomasz Rajski – nie tak powinien wyglądać kierownik szkoły. Mimo, że w

rozmowie słów mu nie brakuje i w tej wyłysiałej głowie być może tkwi spory zasób wiedzy, to cały jego wygląd zniechęca i odstrasza.”

– Pańskie władze, jak sądzę – powiedział głośno kapitan Rajski – nie zgłaszałyby tak stanowczego sprzeciwu.

– Szkoła, proszę pana – on na to – jest w pewnym sensie eksterytorialna i rządzi się własnymi prawami. Na jej sprawach trzeba się dobrze znać, aby móc orzekać, co jest dla niej dobre, a co złe.

– Wolałbym nie prowadzić dyskusji w tym kierunku – rzekł Rajski. – W istocie w sprawach szkoły nie orientuję się aż tak dobrze jak pan. Jednakże mając na względzie dobro i bezpieczeństwo publiczne, uważam, że nie ma takich instytucji, które nie mogłyby współpracować z władzami. Wracajmy do tematu: co może mi pan poradzić?

– Jest sposób, jak mi się zdaje, bardzo prosty i nie krzywdzący nikogo, aby móc porównać charaktery pisma naszych uczniów z tą przyniesioną przez pana kartką.

– Słucham pana uważnie.

– Dam panu zeszyty z wypracowaniami wszystkich uczniów. Czy zadowoli to pana?

– Byłoby lepiej, gdyby wszyscy uczniowie napisali na kartkach tekst, niekoniecznie identyczny z tym, który przyniosłem, ale zawierający wybrane przez nas wyrazy.

– Lepiej dla was, dla milicji, ja to rozumiem. Ale nie lepiej dla nas, dla szkoły.

– Skoro się pan upiera...

– To nie jest upór. Obowiązkiem moim jest obrona uczniów przed zgubnymi wpływami okoliczności dla nich niestosownych i dla młodych charakterów niepożądanych.

– Kiedy otrzymam te zeszyty?

– Zaraz. Dam panu zeszyty z pracami z języka polskiego. One zawsze leżą w szafie, w pokoju nauczycielskim, pod kluczem. Proszę chwilę poczekać, zaraz je przyniosę.

Wyszedł i wrócił po dziesięciu minutach.

– Proszę bardzo, oto są zeszyty wszystkich czterech klas.

– Pierwszoklasistów również?

– Naturalnie. Kiedy mogę się spodziewać zwrotu zeszytów?

– Policzymy je. Jest ich tu pewnie kilkadziesiąt.

– Dokładnie osiemdziesiąt cztery, proszę przeliczyć, tyle powinno być.

– Zgadza się. Zwrócę je panu za dwa, trzy dni. Pytał pan o to, prawda?

– Tak, tak... Bo widzi pan, lada dzień mogą się okazać potrzebne.

Kapitan Tomasz Rajski opakował zeszyty w gazetę, pożegnał się i wyszedł. Idąc szkolnym korytarzem z niesmakiem wytarł dłoń, lepką od uścisku kierownika szkoły.

Gdy wszedł do pokoju komendanta Jana Tatara ze zdziwieniem zobaczył siedzącego za stołem Władysława Brałę.

– Brała przyszedł ze skargą – objaśnił komendant. – Powiedźcie, Brała, panu kapitanowi, dlaczego przyszliście.

– To pan nie w pracy? – Rajski położył zeszyty na biurku komendanta.

– Jak pan widzi. Okradziono mnie i właśnie przyszedłem o tym zameldować.

– Co panu zginęło?

– Buty. Moje gumki. Nie pójdę chyba do lasu w pantofelkach, nie?

– Mógł pan od kogoś pożyczyć, chociażby od Ciernika, a do pracy trzeba było iść.

Otrzyma pan naganę i potrącenie zarobków.

– Nic mi nie zrobią. Mam zaległe dni wolne, to mi zaliczą.

– Kiedy zginęły te buty?

– A czy ja wiem, kiedy? W piątek po robocie zzułem je i postawiłem jak zawsze pod schodami. Włożyłem pantofle i poszedłem do gospody. Dziś rano wstaję, szukam, nie ma. Ktoś je podwędził.

– Dokładnie pan szukał?

– Dokładnie i wszędzie. Myślałem, że może po pijanemu zostawiłem je w innym miejscu, ale nie ma ich nigdzie. Na jaką cholere potrzebne są komuś takie stare gumki?

– Gdzie jest kapitan Salski? – spytał Rajski komendanta.

– Powiedział, że idzie się przewietrzyć i wkrótce wróci.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałem – Rajski usiadł naprzeciwko Brale – to mówi pan, że w piątek po pracy w gumkach pan nie chodził.

– Niech się z tego miejsca nie ruszę! Po robocie jest u mnie święto i każdego dnia daję nogom odpocząć. A od piątkowego popołudnia gumki nie widziałem. Ja składam meldunek o kradzieży, panie kapitanie. Te gumki były już diabła warte, podniszczone, z urwanym uchem, ale nie o to idzie. Mnie idzie o zasadę: nie twoje, nie bierz. Proszę znaleźć tego złodzieja, bo jestem bardzo ciekawy, kto mi taki numer zmajstrował.

– Postaramy się odnaleźć pańskie buty, panie Brała. Ale niech pan również postara się nam pomóc.

– Ja? W jaki sposób?

– Mówiąc prawdę: wycinał pan krzaki koło domu Wróblewskiego, czy nie?

– Pan znów wraca do tego samego.

– Wracam, bo jest to dla nas bardzo ważne...

– No to ja mówię panu z ręką na sercu, że nie wycinałem.

- Przed sądem powiedziałby pan to samo?
- Przed sądem, czy nie przed sądem, prawda zawsze musi być prawdą.
- Słusznie, panie Brala, słusznie. Może w takim razie przynajmniej domyśla się pan, kto mógł posłużyć się pańską siekierą?
- Jesteście pewni, że to moja siekierą były cięte te krzaki?
- Jak dwa razy dwa.
- Cholera! – zaklął. – To by znaczyło, że ktoś mnie wziął na ząb. Najpierw używa mojej siekiery, teraz kradnie mi buty... Nic z tego nie rozumiem, niczego się nie domyślam. Naprawdę, panie kapitanie.
- Nie zauważył pan nikogo obcego kręcącego się po obejściu Cierników w ubiegły piątek, a może wcześniej?
- W jaki sposób mogłem zauważyć, kiedy siedziałem w gospodzie. Zresztą do Cierników zagląдают różni ludzie. Wszystkich mam podejrzewać?
- A wcześniej, powiedzmy przed miesiącem, nie spostrzegł pan nigdy braku siekiery? Zawsze była na swoim miejscu?
- Zawsze. Ale pewny tego być nie mogę, bo przecież nikt nie ma w zwyczaju zostawiać czegoś na swoim miejscu, a potem co pięć minut sprawdzać, czy to coś jeszcze jest. Moja siekiera, kiedy się wybierałem do roboty, zawsze stała na swoim miejscu. Tyle mogę powiedzieć. Poszukacie, panie kapitanie, złodzieja moich butów?
- Poszukamy. Bardzo pragniemy go poznać. Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo.

Kapitan Wiktor Salski, w czasie, kiedy Rajski był w szkole, włóczył się bez celu po Sielawie. Przystawał to tu, to tam, przyglądał się przechodniom, liczył kroki od gospody do bramy sklepu i śmiał się w duchu sam z siebie, nie wiedział bowiem, po co to czyni.

Z daleka spostrzegł grono kobiet rajcujących przed masarnią gminnej spółdzielni. Opłotkami pomknął w tamtą stronę i znalazł się za załomem muru masarni. Kobiety go widzieć nie mogły, ale on słyszał każde wypowiedane przez nie słowo. Dobiegały go głosy podniecone, piskliwe i tubalne, mieszające się ze sobą jak podczas jarmarcznego gwaru.

- ...Tak prędko sklepu nam nie otworzą, pani kochana. Toć to zbrodnia nad zbrodniami, śladów będą szukać jeszcze ze dwa tygodnie, zobaczy pani.
- To ja dziękuję jeździć przez dwa tygodnie po zakupy do Głębinowa.
- Co robić, moja pani... Fela, biedaczka, na pewno tego nie chciała, panie świeć nad jej

duszą... A milicja musi swoje zrobić.

– Pewnie, że musi. Ale jak się będą grzebać jak kury w rynsztoku, to się i dogrzebią, ale nie dowodów, tylko końskiego łajna. Trzeci dzień leci, a ich jakby tu wcale nie było. O nic nie pytają, po domach nie chodzą. I to ma być śledztwo? O, gdyby zginął jakiś dygnitarz, na ten przykład naczelnik, albo jakiś dyrektor, to zaraz by tu był ruch w dzień i noc. Psy by posprowadzali i aparaty różne... Wiecie, kobietki, co słyszałam? Milicja ma podobno taki aparat, że od razu wykrywa, czy człowiek kłamie, czy mówi prawdę. Z zagranicy pewnie sprowadzony...

– To dlaczego do nas go nie przywiozą? Coś się pani musiała przesłyszeć. Takich aparatów nie ma, bo gdyby były, to morderców chwytaloby się na pęczki.

– Otworzą dziś tę masarnię, czy nie otworzą?

– Otworzą, nie bój się, pani. Może prezes coś tam przedtem kupuje dla siebie? Toć nasz prezesunio musi przecież mieć świeżą zakąskę. On wciąż pije i pije. W sobotę rano mój stary widział go, jak zalany wracał z jakiejś libacji... A naszego weterynarza to znaleźli podobno w dole wykopanym w domu Wróblewskiego, przykrytego gałęziami.

– Tam krzaków nie brakuje. Mój stary widział nawet, jak Roman prezesa Skwarskiego wycinał te krzaki siekierą. Naciał ich, naciał, to dla bandyty jak znalazł...

Kapitan Wiktor Salski cały zamienił się w słuch.

– Głupstwa pani plecie. Nieletni chłopak naciał gałęzi dla mordercy? Też coś! Leć pani z tym na posterunek, zaraz panią wyśmieją.

– Nie mówię, że dla mordercy. Mój stary pytał Romka, po co to robi, to on powiedział, że na polecenie kierownika szkoły, bo mieli urządzać powitanie wiosny czy coś takiego i kukłę mieli zrobić i spalić ją w ognisku. U nas takiego zwyczaju nie ma, ale kierownik chyba wiedział, co robi...

– Niech pani nie rzuca kalumni na kierownika!

– No, święty to on nie jest!

– Święty, nie święty, ale wychowuje nasze dzieci i nic mu co do nauki zarzucić nie można.

– Co do nauki nie, ale że dziwki z Okruszyny sobie sprowadza, to fakt. Taki człowiek, choćby nawet w nauce był najmocniejszy, to afiszować się z takimi sprawami nie powinien.

– A czy on się, moja pani, afiszuje? Kawalerem jest przecie i prawo do prywatnego życia ma.

– Kiepskie on to życie musiał prowadzić, skoro z Okruszyny przeniósł się do Sielawy. Zawsze co miasto, to miasto. Z dużej szkoły przeszedł do naszej czteroklasówki tak sobie, dla

humoru?

– Człowiek ma prawo wybierać sobie miejsce na ziemi. Widać tu jest mu lepiej. A jak tam rzeczywiście mu było w Okruszynie, tego nikt nie wie i nie ma co podrywać mu opinii.

– Nikt mu tu niczego nie podrywa! – śmiech. – Mówimy tylko, jak jest i tyle. Może pełnych kwalifikacji do dużej szkoły nie miał albo coś takiego...

– Ale kwalifikacje do rozmaitych pańienek to ma, co?

– Dajcie spokój, kobiety. Oho, jakiś rumor w masarni, pewnie zaraz otworzą. Ja byłam pierwsza, przepuście mnie...

Kapitan Salski marszowym, energicznym krokiem podążył w stronę posterunku milicji.

Opowiedział o tym, co udało mu się posłyszeć. Kapitan Tomasz Rajski wyekspediował go z zeszytami do pracowni ekspertyz graficznych pisma, a sam bez zwłoki ponownie udał się do kierownika szkoły.

Zastał go siedzącego za swoim biurkiem, z czołem wspartym na splecionych dłoniach. Kiedy zobaczył kapitana Rajskiego, który wszedł bez pukania, drgnął całym ciałem i zapytał bezdźwięcznie:

– Pan znowu do mnie? Ciekaw jestem, co jeszcze pana sprowadza. Proszę się pospieszyć, za kilka minut mam lekcję.

Kapitan Rajski spostrzegł, że Ignacy Kowalonek, kierownik szkoły, mimo starań nie może ukryć zdenerwowania.

– Obawiam się – powiedział – że będzie pan musiał poprosić kogoś o zastępstwo. W ciągu kilku minut rozmówić się nie zdążymy, tym bardziej, że muszę pana formalnie przesłuchać.

– Mnie przesłuchać? Mnie?! – Kowalonek wybałuszył oczy i dotknął dłonią własnej piersi, jakby chcąc się upewnić, czy Rajski nie pomylił go z kimś innym. – Ciekawe na jaką okoliczność? – dodał siląc się na obojętność.

– Zaraz się pan dowie. Uprzedzam pana, że wszystko co pan powie...

– Proszę sobie oszczędzić formułek. Jestem świadomym obywatelem i wiem, co mi zagraża w przypadku minięcia się z prawdą. Słucham pana.

– Na wstępie poproszę o personalia. Imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, przebieg pracy zawodowej...

– Ignacy Kowalonek, urodzony osiemnastego marca 1942 roku... – bez zająknięcia podyktował dane personalne do protokołu.

– Zatem przystąpmy do rzeczy. Czy wasza szkoła ma w zwyczaju organizowanie

uroczystości święta wiosny?

– Pierwszy raz słyszę o tym... Chociaż – Kowalonek przerwał – chwileczkę, w tym roku rzeczywiście miałem taki zamiar.

– Powiedział pan „miałem”. Czy to oznacza, że był to wyłącznie pański zamiar, czy też całego grona nauczycielskiego?

– To był mój pomysł. W okolicach, z których się wywodzę, powitanie wiosny świętuje się bardzo uroczyście. Chciałem naszym uczniom sprawić przyjemność i zapoczątkować tę piękną tradycję w Sielawie.

– Bardzo szlachetny zamiar. Tylko, widzi pan, do tej zabawy wybrał pan miejsce cokolwiek dziwne i niezbyt się do tego nadające.

– A skąd pan wie, gdzie się to miało odbyć?

– W okolicy domu Wróblewskiego, czyż nie? O ile, pan wybaczy, miało to być rzeczywiście powitanie wiosny.

– Nie podoba mi się pański wąpiący ton. Co mają znaczyć słowa: „o ile rzeczywiście”? Jakie ma pan podstawy, aby uważać...

– Przepraszam, ale faktem jest, iż żadnego powitania wiosny nie było, panie Kowalonek!

– Nie moja wina, że pogoda nam nie sprzyjała.

– Czyżby tylko pogoda? A nie pomieszały się panu przypadkiem daty w kalendarzu?

– Jak mam rozumieć to pytanie?

– Normalnie. Kiedy według pana rozpoczyna się kalendarzowa wiosna?

– Bawi się pan ze mną w dziecinne egzaminy. Naturalnie, że w końcu marca.

– To się zgadza. Więc dlaczego – poszedł na całego kapitan Rajski – kazał pan Romanowi Skwarskiemu wycinać gałęzie na rzekome ognisko dopiero w końcu lub też w połowie kwietnia?

– Proszę nie udawać naiwnego, panie kapitanie. Powitanie wiosny można organizować niekoniecznie na jej progu, z powodzeniem może się to odbyć również w maju, dopóki wiosną jeszcze trwa. Zresztą powiedziałem już panu, że pogoda nam nie sprzyjała.

– Albo pan ma wyjątkowo kiepską pamięć, albo jest pan przekonany, że to ja cierpię na jakieś zaburzenia. Pogoda, proszę pana, prawie w całym kraju w marcu i kwietniu była bezdeszczowa. Proszę zatem nie kręcić i powołać się na bardziej sensowny argument.

– Powtarzam: pogoda uniemożliwiła nam przeprowadzenie uroczystości. Lecz gdy ja mówię „pogoda”, to pan ma na myśli wyłącznie deszcz, podczas gdy ja pod tym pojęciem rozumiem chłody, wiatry... Słowem, uznałem, że warunki atmosferyczne nie były

odpowiednie.

„Szczerwany lis – pomyślał Rajski. – Przedtem poczęstował mnie wykładem o rozwoju osobowości dzieci, teraz struga wariata meteorologicznego. Trzeba uważać. Z takim chytruskim trzeba bardzo uważać.”

– A miejsce? – spytał. – Czy miejsce wydawało się panu odpowiednie?

– To miejsce jest wprost wymarzone. Czy zna pan w okolicy lepsze? Lasów tu blisko nie mamy, a tam i zakrzewienie jest, i teren właściwie bezpański, i polanki wśród zarośli.

– Jak widzę, poznał pan to miejsce dokładnie.

– Czy ta insynuacja zmierza do czegoś określonego?

– Zgadł pan. Lecz nie jest to insynuacja. Stwierdzam po prostu fakt, któremu nie może pan zaprzeczyć.

– A to dlaczego?

– Już pan zapomniał własne słowa o „wymarzonym miejscu”, Panie Kowalonek... – kapitan Rajski cmoknął kilka razy, co miało prawdopodobnie podkreślić zdziwienie.

– O niczym nie zapomniałem, lecz w dalszym ciągu nie rozumiem pańskiego zainteresowania sprawami szkolnych uroczystości.

– Wie pan co? Mnie te uroczystości wcale nie interesują. Mnie interesuje natomiast to, dlaczego, w jakim celu kazał pan Romanowi Skwarskiemu wycinać krzaki, a w szczególności to, dlaczego polecił mu pan użyć siekiery Władysława Brali, tego drwala. Czy teraz mogę się spodziewać rzeczowej odpowiedzi?

– Ach, teraz rozumiem... – Kowalonek powiedział to jak człowiek, któremu oznajmiono, jak się nazywa. – To znaczy usiłuję zrozumieć – poprawił się. – Domyślam się, pan pozwoli, że i ja zabawię się w detektywa... Więc domyślam się, że ten Brala jest w coś zamieszany, a jego siekiera zmaćła panu obraz sytuacji. Nie moja to sprawa. Ale jeśli o tę siekierę idzie, to możliwe... możliwe, że Romek użył właśnie tej. Kiedy kazałem mu naciąć gałęzi, nie wskazałem jednakże, jakim narzędziem ma się posłużyć. Już dobrze nie pamiętam, lecz być może, być może – powtórzył ważąc słowa – bąknąłem coś o drwalu i jego ostrej jak żyłotka siekierze, ale naprawdę nie jestem tego dziś pewny. Z pańskich słów wynikałoby, że mogłem coś takiego chłopcu poradzić. Być może. Nie pamiętam. Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego te gałęzie tak bardzo pana interesują?

– Pan nie wie?

– Niestety, nie mam daru jasnowidzenia.

– Nie trzeba być jasnowidzem, panie Kowalonek, żeby ciało zamordowanego Mariana Korala zamaskować gałęziami wyciętymi na pańskie polecenie!

Tomasz Rajski wypowiedział te słowa ostro, w tonie oskarżycielskim i czekał teraz na skutek. Sądził, że Ignacy Kowalonek nie zdoła zapanować nad nerwami i jeśli ma z tą sprawą coś wspólnego, powinien w jakiś sposób się zdradzić.

Oczekiwanie przeciągało się. Patrzyli sobie w oczy jak dwaj bokserzy rozpoczynający walkę o dużą stawkę. Skupieni w ciszy pokoju nie słyszeli nawet dzwonka sygnalizującego porę rozpoczęcia kolejnej lekcji.

– Czemu pan milczy? – Zamiast Kowalonka pierwszy odezwał się Rajski.

– A czy muszę koniecznie coś powiedzieć? – spokojnie odparł Kowalonek.

– Dobrze sobie! Człowiek zamieszany w okropną zbrodnię pyta mnie ze stoickim spokojem, czy powinien coś powiedzieć.

– Proszę natychmiast wyjść!!! – ryknął Ignacy Kowalonek podrywając się na równe nogi. – Proszę opuścić ten budynek! Nie pozwolę, aby mnie obrażano. Pan się zapomina! To nie jest przesłuchanie! To jest psychiczne znęcanie się! Pan nie ma prawa! Pan... – wyskoczył spoza biurka i, nadal krzycząc, wściekle podrygiwał wokół kapitana Rajskiego wskazując mu jednocześnie wyjście.

VIII

Kapitan Tomasz Rajski nie był z siebie zadowolony. Rozmowę z Ignacym Kowalonkiem uznał za wyjątkowo nieudaną. Nie dość, że wyszedł ze szkoły bez formalnych zeznań kierownika, to w dodatku został z niej prawie że wyrzucony. Idąc na posterunek postanowił nieco ochłonać, zadzwonić do kolegów w Okruszynie z prośbą o sprawdzenie, czy Felicja Ciernik faktycznie była u ginekologa Ciszewskiego, następnie zjeść spokojnie obiad, a po południu porozmawiać z Romkiem, synem prezesa Skwarskiego.

Na spełnienie dwóch ostatnich zamiarów nie starczyło, niestety, czasu. Ledwie odłożył słuchawkę telefonu, kiedy na posterunek przysłała żona Stanisława Pszczoły, Halina.

– Czy to pan jest tym kapitanem milicji z Warszawy? – zapytała nie mówiąc nawet dzień dobry.

– Owszem. Czym mogę służyć?

Kobieta w płacz.

– Co się stało? Proszę, niech pani usiądzie.

– Staśka mi chcieli zamordować! – zawołała przez łzy. – Ratunku, panie śledczy, ratunku!

– Kiedy? Kto? – dopytywał się Rajski i już był gotów do wyjścia.

– Nie wiem. On też nic nie wie. Leży w domu z obandażowaną głową i tylko jęczy. Wczoraj go tak urządzili, wczoraj przed wieczorem... przy warsztacie.

– Przecież wczoraj była niedziela. Nieważne. Ale jeśli stało się z nim coś wczoraj, to dlaczego dopiero teraz przychodzi pani na posterunek.

– Panie śledczy, Stasiak nawet nie wie, że tu jestem. Błagam, nie mówcie mu o tym. On nie chciał, żebym zawiadamiała milicję. Powiedział, że już go dość naciągaliście po rozmowach i że nic dobrego z waszej pomocy nie wyniknie. Ale ja przecież widzę, co się dzieje! – załkała głośniejsz. – Ja widzę, że tu się zanosi na kolejny mord. Tu jest siedlisko bandytów, tu nikt, widać, nie może się czuć bezpieczny... Jak mi męża zamordują, to co ja zrobię? Panie, niechże pan z nim pogada... On potrzebuje pomocy...

– Oj, ludzie, ludzie... – westchnął kapitan Rajski. – Kiedy się sufit na łeb wali, to do milicji po spóźniony ratunek. Kto męża opatrzył? Powiedziała pani, że jest obandażowany.

– Sama mu głowę owinęłam, bo krwawił. Natychmiast chciałam tu lecieć, ale mi zabronił. Przez całą noc majaczył jakby w gorączce. Dziś widzę: źle z nim. Niby tylko postępuje, ale czy ja wiem, co może jeszcze z tego wyniknąć?

– Idziemy – powiedział szybko kapitan Rajski, a do Tatara ślęczącego nad jakimiś dokumentami: – Komendancie, gdyby wrócił Salski, niech bezzwłocznie przyjdzie do młodych Pszczołów.

Domek Haliny i Stanisława Pszczołów prezentował się jak typowa willa nowobogackich. Pod względem formy architektonicznej był bez zarzutu, lecz cały wysiłek projektanta został zmarnowany wskutek pseudo plastycznych zabiegów polegających między innymi na upstrzeniu ścian kolorowymi szkiełkami. Rajski spojrzał i zatrzęsł się. Przed nim dreptała Halina Pszczoła. Zapytał:

– Czy to mąż wymyślił tę wspianą dekorację domu? Aż lśni w słońcu. Dobra wskazówka dla samolotów...

– Podoba się panu? – W zamyśleniu nie zauważyła ironii. – Jednym się podoba, innym nie. Wszystkim dogodzić trudno. Mój mąż osobiście butelki tłukł. Wykonał ogromną pracę. Ale efekt jest, prawda?

– Prawda. – Rajski uśmiechnął się.

Obok domu znajdowała się nowo wybudowana hala warsztatowa. Jak na warunki wiejskie zdumiewała swoją wielkością. Właściciel miał widocznie liczną klientelę z bliższej i dalszej okolicy, nie licząc przejezdnych. Tablica nad głównym wejściem głosiła, że jest to warsztat ślusarsko-mechaniczny, zajmujący się naprawami i konserwacją pojazdów samochodowych, a także sprzętu rolniczego.

– Czy do warsztatu można się dostać innym wejściem? – zapytał kapitan Rajski, kiedy przystanęli przed domem.

– Można. Jest przejście bezpośrednie z domu i jest wejście od tyłu, od podwórza i ogrodu. To tam właśnie, koło tego wejścia, ktoś napadł na męża.

Stanisław Pszczoła pojękiwał z cicha. Jego głos słyhać było już w przedpokoju, w którym kapitan Rajski zatrzymał się i udając, że szuka czegoś w teczce, pilnie zlustrował jego wnętrze. Przedpokój był obszerny, lecz bardzo zagracony i – co widać było – od dawna gruntownie nie sprzątny. Naprzeciw wejścia znajdowała się kuchnia, obok, drzwi do łazienki, uchylone i również zdradzające nieporządki panujące wewnątrz. Po lewej stronie widać było schody do piwnicy, a po prawej dwoje drzwi do pokoi mieszkalnych. Jedne z nich były również uchylone i stamtąd właśnie dobiegały jęki Stanisława Pszczoły.

Halina Pszczoła w milczeniu wskazywała ręką drogę do męża, ale kapitan Rajski, pochylony, z teczką opartą na nodze podkurczonej w kolanie, ze wzbierającym jak fala niedowierzaniem wpatrywał się w miejsce, w którym wśród innych pozostawionych w nieładzie przedmiotów stały...

– Halina! – dał się słyszeć głos Stanisława Pszczoły. – Czy ktoś przyszedł? Halina!...

Żona Pszczoły na migi przynagliła kapitana i pociągnęła za rękaw. Nie zdradził się niczym. Wyprostowany jak świeca wszedł do pokoju, gdzie na tapczanie w kolorowej pościeli leżał Stanisław Pszczoła. Drzwi za kapitanem zamknęły się. Zrobił jeden krok, przystanął. Patrzył, jak Stanisław Pszczoła z przerażeniem w oczach obserwuje go przez moment, a następnie próbuje usiąść. Staranie nie powiodło się i Pszczoła z głębokim stęknieniem opadł na poduszkę.

– To pan... – powiedział raczej do siebie patrząc w sufit. – A przecież mówiłem Halinie... – odwrócił głowę do ściany.

– Dzień dobry! A fe, panie Pszczoła. Nieładnie – kapitan Rajski narzucił sobie ton pełnej swobody. – To pan tu leży taki cierpiący, a ja o niczym nie wiem? – Przyciągnął krzesło w pobliżu tapczanu. – Porozmawiamy? – zapytał i przyjacielsko poklepał Pszczołę po ramieniu.

– Nie ma o czym rozmawiać. Nie wołałem tu pana – odparł Pszczoła i znów jęknął sięgając ręką do głowy.

Bandaż okrywał jego głowę szczelnie wraz z czołem i uszami. Tylko twarz pozostawała odsłonięta. Za lewym uchem czerwieniła się rozległa owalna plama krwi.

– Pan chyba nie wie, co mówi. Ktoś targnął się na pańskie życie, a pan nie chce o tym rozmawiać?

– Nie chcę.

– Czy można wiedzieć, dlaczego?

– Bo to nie ma najmniejszego sensu. – Odwrócił głowę i spojrzał uważnie na kapitana.

– Nie chcę wywoływać wilka z lasu. Wystarczy mi tych kłopotów, które mam. W czym mógłby mi pan pomóc?

– To się chyba rozumie samo przez się – powiedział dobrotliwie kapitan Rajski. – Rozboje nikomu nie mogą uchodzić płazem. Pan mi opowie, jak to było, a moją rzeczą jest powzięcie odpowiednich decyzji.

– O czym tu decydować? Uuuch! – Pszczoła znów dotknął ręką głowy. – Nic nie wiem, niczego i nikogo nie widziałem, dostałem w łeb i to wszystko. Nie mam siły ani ochoty snuć teraz domysłów, kto i z jakiego powodu tak mnie urządził.

– Czy żona wzywała lekarza?

– A po co?

– Zdumiewające! Jęczy pan jak ranny zwierz, nie wiadomo, jakie mogą być skutki obrażeń, a pan nie widzi potrzeby poddania się opiece lekarskiej.

– Ja mam twardą głowę. Postękam i przejdzie. Samo przejdzie. Nic mi nie będzie.

– Panie Pszczoła – Rajski zmienił ton. – Pańskie opinie co do własnego zdrowia pozostawiam naturalnie panu. Lecz w istniejących okolicznościach, co do których mam nadzieję, że uświadamiać pana nie potrzebuję, mam obowiązek zadania panu kilku pytań, a pan musi mi na nie odpowiedzieć.

– Muszę?

– Tak. Dla własnego dobra powinien pan na nie odpowiedzieć. Chyba, że absolutnie przestało już pana interesować to, co się ostatnio zdarzyło w Sielawie. Pańska osoba może mieć ścisły związek z tymi wydarzeniami, nie sądzi pan?

– Tak pan myśli? – Pszczoła odwrócił się gwałtownie i bystro spojrzął na kapitana. – Zgoda, niech pan wobec tego pyta.

– Może jednak najpierw wezwiemy lekarza?

– Jak pan chce. W głowie mi się gotuje, to fakt. – Po chwili: – Halina! Chodź no tutaj!

– Proszę pójść do ośrodka zdrowia i poprosić lekarza, żeby natychmiast przyszedł – powiedział kapitan Rajski do żony Pszczoły. – No, a teraz słucham pana – rzekł zachęcająco. – Niech mi pan opowie po kolei i ze szczegółami, jak to się stało.

Stanisław Pszczoła poprawił się na pościeli.

– Wczoraj – zaczął – kiedy już na dobre zmierzchało, poszedłem do warsztatu, od strony mieszkania. Nie pamiętam już, po co. Pewnie chciałem coś sprawdzić, może coś wziąć, nie pamiętam. Będąc w warsztacie zauważyłem, że drzwi wychodzące na ogród nie są zamknięte. Prawdopodobnie jeszcze w sobotę sam je musiałem tak zostawić. Te drzwi zamykane są od wewnątrz na zasuwę, a z zewnątrz dodatkowo na kłódkę. Postanowiłem usunąć niedopatrzenie. Wyszedłem z warsztatu, obszedłem całą posesję, podszedłem do tych drzwi od strony ogrodu i kiedy zakładałem kłódkę, poczułem silne uderzenie w tył głowy. Zrobiło mi się ciemno w oczach, gorąco wokół szyi i... i to wszystko. Nic więcej nie pamiętam. Ocknąłem się w środku nocy na tym tapczanie. Żona powiedziała mi, że, zaniepokojona moją dłuższą nieobecnością, poszła mnie szukać i znalazła pod drzwiami warsztatu. Sama przydźwigała mnie do domu, opatrzyła, no i to chyba wszystko...

– Dziwi mnie, że, mając do czynienia z nieprzytomnym i krwawiącym mężem, pańska żona natychmiast nie wezwała lekarza. Przecież to się mogło źle skończyć.

– U nas w nocy nie ma lekarza. Do ośrodka dojeżdża codziennie lekarz z Okruszyny. A rano powiedziałem Halinie, to znaczy żonie, że mi żadna pomoc nie jest potrzebna.

– To się jeszcze okaże. Niech mi pan powie: ma pan we wsi osobistych wrogów?

– Tego się nie wie nigdy. Czasem najlepszy przyjaciel potrafi gwałtownie zmienić

skórę.

– I nie domyśla się pan, kto ewentualnie mógł czyhać na pańskie życie?

– Pan sądzi, że ktoś naprawdę chciał mnie uśmiercić?

– A pan myśli, że co? Że to były łaskotki? Jeśli ktoś zachodzi człowieka od tyłu i nie dając czasu na rozpoznanie wali po głowie, to czy można to uznać za działanie przyjazne? Przecież to jawny napad!

Pszczole zaświeciły się oczy. Nie wiadomo, z ciekawości czy z zadowolenia. Można z nich było wyczytać i jedno, i drugie. Kapitan Rajski świadomie przeciągał rozmowę. Zadawał wciąż nowe pytania, ale odpowiedzi słuchał tylko jednym uchem. W tej chwili interesowało go najbardziej orzeczenie lekarskie co do rodzaju obrażenia i jego ewentualnych skutków.

Nie czekał długo. Halina Pszczoła, widocznie wystraszona, zrobiła wszystko, aby lekarza sprowadzić jak najszybciej. Ów stwierdził, że skóra za uchem rozcięta jest na długości jednego centymetra, ale że obrażenie jest właściwie powierzchowne i poza obrzękiem nie powinno wywołać dla zdrowia skutków.

– Kilka kompresów i po zabawie! – powiedział lekarz śmiejąc się. – Trzeba uważać, panie Pszczoła – dodał. – Wśród tego żelastwa w warsztacie musi się pan poruszać ostrożniej. Kiedyś rzeczywiście może pan sobie napytać biedy. Trzeba uważać...

– No, chwała Bogu! – podniosła w górę ręce żona Pszczoły. – Teraz mogę przynajmniej spokojnie zająć się dzieckiem i kuchnią.

– Pan jeszcze ma tu zamiar siedzieć? – zapytał Pszczoła Rajskiego, gdy lekarz i jego żona opuścili pokój.

– Niemile panu moje towarzystwo?

– Miłe, nie miłe, nie widzę powodu...

– No to wyłóżmy karty na stół, panie Pszczoła. – Rajski sięgnął do teczki, otworzył ją i wyjął druk protokołu przesłuchania.

– Karty? Jakie karty? Czego pan jeszcze ode mnie chce?

W tym momencie wszedł do pokoju kapitan Salski. W kilku zdaniach Rajski poinformował go o sytuacji.

– Przystępujemy, panie Pszczoła, do oficjalnego przesłuchania.

– W jakim charakterze mam wystąpić? – Pszczoła mówił już normalnie, co można było wytłumaczyć uspokajającą opinią lekarza.

– W charakterze podejrzanego. – Kapitan Rajski oznajmił to i popatrzył triumfująco na Pszczołę. – Niech pan odrzuci, do pioruna, ten bandaż! Przecież słyszał pan, co powiedział lekarz. Dalsze zgrywanie się nie ma sensu. Zrozumiał pan?

Zarówno Pszczoła jak i Salski zdawali się nie pojmować obrotu sytuacji. Pszczoła usiadł na tapczanie wspierając się plecami o ścianę, Salski uniósł brwi i mrugał raz po raz powiekami. Rajski zdecydowanym krokiem wyszedł do przedpokoju.

– Co to jest, panie Pszczoła?! – Wrócił z miną zwycięzcy trzymając na wysokości piersi męskie gumowe buty bez jednego ucha. Były dokładnie takie same, jakich opis zawarła w swoich zeznaniach Mariola Więckówna oraz Władysław Brała, kiedy zameldował o kradzieży.

Stanisław Pszczoła oderwał plecy od ściany.

– To nie są moje buty! – zawołał. – Skąd pan to gnojostwo wziął? Halina! Halina!

Wbiegła żona Pszczoły.

– Gdzie są moje gumiaki?

– Zgłupiałeś? Przecież trzyma je ten pan. Nie widzisz?

– Idiotka. To nie są moje gumiaki. Idź do warsztatu, poszukaj, muszą tam gdzieś być.

– Salski, idź z panią – ruchem głowy nakazał Rajski. – Poszukajcie wspólnie, skoro pan Pszczoła tego sobie życzy.

– Ojej! – jęknął Pszczoła. – Tego już nie przeżyję. Gdzie pan te buty znalazł?

– Ja ich wcale nie szukałem. Stały sobie w pańskim przedpokoju. Wielka szkoda, panie Pszczoła, że nie przywiązywał pan do nich należytej wagi. Jak powiedziałem: karty na stół!

– Co pan znów nowego wymyślił?! Znów jakieś karty...

– Przyznał się pan do tego, że te buty nie należą do pana, prawda?

– Prawda. Co z tego?

– Detal – powiedział ironicznie Rajski. – Tyle tylko, że są to buty Władysława Brałi, skradzione mu w ubiegły piątek. W tych butach, niech pan uważa pilnie, panie Pszczoła, w tych to mianowicie butach morderca Felicji Ciernik przyszedł do sklepu. Mamy na to niezbite świadectwo. Czy teraz pan rozumie, że dalsze wykręty na nic się nie zdadzą? To pan tam był, panie Pszczoła. Zresztą, już wcześniej powiedział nam pan o tym bez osłonek, tyle, że ułożył pan fakty tak, aby świadczyły na pańską korzyść. Lecz teraz... teraz pułapka się zamknęła. Te buty znalazłem w pańskim własnym mieszkaniu, a nie gdzieś na śmietniku. Ten sfingowany napad na siebie zaliczyć trzeba do zagrywek tak naiwnych, że płakać się chce. Tak, panie Pszczoła, niech pan teraz płacze nad sobą, niechże pan płacze...

Zarzucony słowami kapitana Rajskiego Stanisław Pszczoła rzeczywiście płakał.

Wkrótce powrócili Halina Pszczoła i kapitan Wiktor Salski. Okazało się, że ani w warsztacie, ani w jakimkolwiek innym miejscu nie ma na terenie posesji Stanisława Pszczoły

innych męskich butów gumowych niż te, które znajdowały się w przedpokoju.

– Koniec gry – powiedział kapitan Rajski. Żonę Pszczoły odesłał do swoich zajęć. – Nie widzę dla pana innego wyjścia, jak przyznanie się do winy.

– Do jakiej winy, u diabła?! – Pszczoła rzucał się na tapczanie jak na rozpalonym ruszcie. – Przecież już panu powiedziałem: nie ja zabiłem Felicję, nie ja!

– Turecki święty? Niech pan nie błaznuje.

– Te buty... Te buty... – jękał się Pszczoła.

– Te buty, panie kochany, i ten młotek, to są dwie rzeczy, które, niestety, nie zdematerializują się. One są i pozostaną. I będą świadczyć przeciwko panu w sądzie.

– Panowie naprawdę wierzą w to?

– Panie, czy pan tu jest, czy pana nie ma? Dotknij się pan! Przetrzyj pan oczy – Salskiego poniosło. – Stoi pan w obliczu najcięższego oskarżenia. Narzędzie zbrodni należy do pana ponad wszelką wątpliwość. Buty, w których dotarł pan do kantorka, są własnością Brali, to prawda, ale to pan mu je ukraść, aby ciężar podejrzeń i winy przerzucić na tego człowieka. Posłużenie się jego siekierą i pański w tym udział jeszcze dokładnie wyjaśnimy...

– Panie kapitanie – Pszczoła wyglądał na człowieka będącego u kresu wytrzymałości psychicznej – panie kapitanie – kierował te słowa do Rajskiego. – Co ten pan wygaduje? Jaka siekiera? Jaki Brala? Co tu on ma do rzeczy? Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Panowie, zlitujcie się... To przecież mnie okradziono, moich butów nie ma. To przecież na mnie napadnięto... Panowie...

– Panie Pszczoła – Rajski znów przejął inicjatywę. – Proszę ten melodramat odegrać przed szanowną małżonką. Nas interesują wyłącznie fakty. Proszę odpowiadać wyłącznie na pytania. Czy wiadomy młotek jest pański?

– Mój.

– Po jakiego diabła szedł pan w taką burzę do sklepu, skoro ma pan pod ręką warsztat?

– Już panu mówię. Tak, to prawda, mam inne młotki w warsztacie, ale ja miałem ochotę napić się wina. Naprawdę. Czy nie wolno mieć takiego pragnienia?

– Wolno. Ale fakty są przeciwko panu.

– Przeklęte niech będą te fakty.

– Czy w tych butach poszedł pan do kantorka?

– Nie! Stanowczo zaprzeczam. Poszedłem tam po młotek w półtenisówkach. Tak, w półtenisówkach – powtórzył jakby szczęśliwy, że to sobie przypomniał, albo, że udało mu się w porę wpaść na nowy pomysł.

– Interesujące... – dalekim od przychylności tonem powiedział Rajski. – W tym stanie

rzeczy wdzięczny będę panu za wyjaśnienie, jakim cudem buty Brali znalazły się w pańskim mieszkaniu. Jak pan widzi, są uwalane błotem, ale zupełnie suche. Można zatem przyjąć, że od owego piątkowego wieczora nikt w nich nie chodził. Słuchamy pana.

– Pan mi znów nie wierzy. Ja o tych butach zupełnie zapomniałem. Ja...

– To się zgadza – przerwał Rajski. – Gdyby pan o nich nie zapomniał, nie stałyby sobie spokojnie w przedpokoju.

– Chciałem powiedzieć coś innego. Ja o nich w ogóle nie pamiętałem. Ja... ja działałem machinalnie, jak w transie, rozumiecie, panowie?

– Zgadza się. Taka sytuacja może człowieka wprawić w stan, że tak powiem, transu. Ale to nie jest usprawiedliwienie.

– Nie, ja się nie usprawiedliwiam. Ja tylko proszę, żebyście panowie raz jeszcze mnie posłuchali. Te buty... Tak, teraz pamiętam doskonale, jak to było... Tak... Ale wówczas, kiedy tam byłem, a nawet wtedy, gdy mnie przesłuchiwałeś, nie pamiętałem o nich wcale. Chciałbym teraz naprawić swój błąd. Chcę wytłumaczyć wszystko jeszcze raz. Pozwolicie, panowie?

– Na nic innego nie czekamy. Nikt pana nie pozbawił woli. Może pan mówić, co pan chce, byle do rzeczy.

– Więc to było tak. Poszedłem po ten młotek w półtenisówkach, no, w takich szmaciakach, na pewno wiecie, panowie, jak wyglądają.

– Czy mamy ich w pańskim domu poszukać?

– Nie, tu ich nie ma. Ja je gdzieś po drodze porzuciłem. Nie wiem, gdzie, nie wiem, w jakim miejscu...

– Proszę mówić to, co pan wie. Zgadywać będziemy potem.

– Tak jest. Pamiętam, pod, drzwiami kantarka, kiedy jeszcze niczego nawet nie przeczuwałem, poczułem, że mam kompletnie mokre stopy, że pod palcami chlupocze mi woda. Pomyślałem wtedy, musiałem tak pomyśleć, że trzeba obuwie zdjąć, bo Fela przestrzegła w kantorku czystości i że mnie ofuknie, jeśli naniósł jej błota. I tak zrobiłem. Wszedłem do kantorka i dalej, do magazynu niosąc półtrampki w ręce. Jak się tam zachowałem, to już panowie wiedzą, opowiadałem o tym szczegółowo.

– Szkoda tylko, że nieprawdziwie – wtrącił się kapitan Salski. – Już wiem, co chce pan powiedzieć dalej. To mianowicie, że wychodząc, był pan tak zdenerwowany, tak podniecony, że...

– Chwileczkę – przerwał Rajski. – Pozwólmy mówić panu Pszczole.

– Ma pan rację – kontynuował Pszczola patrząc na Salskiego. – Byłem jak w transie.

Jeszcze teraz nie mogę o tym mówić spokojnie. Wychodząc zobaczyłem pod drzwiami kantorka te buty z cholewami. Mokre stopy, tenisówki, niezdolność do oceny sytuacji, wszystko to sprawiło, że nie mogłem racjonalnie pokierować swoim postępowaniem. Dość, że na widok tych butów ręce moje same po nie sięgnęły. Wzulem je i poszedłem do domu, a tenisówki... tenisówki musiałem pewnie gdzieś po drodze wyrzucić. Nie myślałem wtedy o takich drobiazgach. Ten straszny widok, jaki ujrzałem w magazynie, przyćmił wszystkie inne myśli. Uwierzcie mi, panowie, że tak właśnie było.

– Uwierzyć mamy w takie bajki? Przecież chodził pan do magazynu podobno dwa razy. W czym, w jakim obuwiu poszedł pan tam za drugim razem?

– Protestują. Nie „podobno”, tylko rzeczywiście chodziłem tam dwukrotnie. Za drugim razem poszedłem w tych butach, w tych gumiakach. Przez cały czas, gdy zastanawialiśmy się z żoną, co powinienem uczynić, miałem te buty na nogach.

– Kręci pan. Obecnie, gdy przyniosłem i pokazałem je panu, od razu zachnął się pan i stwierdził, że to nie są pańskie buty. Rozpoznał je pan w mgnieniu oka. Dlaczego wówczas, po rozmowie z żoną w nocy, po kilku godzinach, mimo wszystko poszedł pan w nich do magazynu?

– Czy mogłem wtedy przypuszczać, że taka rzecz, jak buty, będzie miała jakieś znaczenie? Panowie, zastanówcie się! Ja wtedy nie myślałem wiele o butach, moje własne są do tych bardzo podobne.

– Właśnie się zastanawiamy, ile jeszcze, dowodów trzeba panu podsunąć pod nos, aby wreszcie nakłonić pana do mówienia prawdy.

– Ależ ja mówię prawdę!

– I niczego więcej nie ma pan do dodania?

– A co, rękę mam wam oddać? W porządku – w teatralnym geście wyciągnął rękę. – Proszę bardzo, tnijcie! Jeśli tylko to może was przekonać o mojej niewinności, zabierzcie mi rękę, proszę bardzo. Tylko już zostawcie mnie w spokoju. Dłużej tych tortur nie zniosę.

– Protokół spiszemy później – rzekł Rajski. – Idziemy.

Zabrali ze sobą buty Brali i minawszy w milczeniu żonę Pszczoły, która udawała, że porządkuje przedpokój, skierowali się na posterunek.

Komendant Jan Tatar wiódł przy stole pogawędkę z Romanem Skwarskim, uczniem czwartej klasy, synem prezesa gminnej spółdzielni.

– A ciebie kto tu przysłał, chłopcze? – zapytał Rajski, dowiedziawszy się z kim Tatar

rozmawia.

– Pan kierownik – odparł grzecznie chłopiec. Był młodzieńcem nad wiek wyrosniętym.

– A co ci pan kierownik kazał powiedzieć?

– Nic mi nie kazał. Powiedział tylko, że muszę tu przyjść i przyznać się, że wycinałem krzaki.

– A wycinałeś?

– Wycinałem.

– Kiedy to robiłeś? Dawno?

– Nie pamiętam, ale będzie już miesiąc, może więcej.

– Kto ci polecił to zrobić?

– Przecież powiedziałem już, że pan kierownik.

– Czy możesz sobie przypomnieć dokładnie, co wtedy pan kierownik do ciebie powiedział? Czy mnie rozumiesz? Powiedz nam czy pan kierownik powiedział, na przykład, tak: „Romek, idź koło domu Wróblewskiego i natnij gałęzi”. Czy też może inaczej? Jak powiedział?

Chłopiec przez chwilę zastanawiał się.

– Dokładnie to nie pamiętam – odparł – ale mniej więcej to powiedział tak: „Trzeba naciąć krzaków, będą potrzebne dla szkoły” i potem zapytał mnie, czy mógłbym to zrobić. To ja się zgodziłem.

– Bardzo dobrze. A czy pan kierownik nie mówił ci, do czego konkretnie te gałęzie będą szkole potrzebne?

– Nie, tego mi nie mówił. Tylko, że dla szkoły.

– Czy ktoś oprócz ciebie wiedział o tym, co ci polecił zrobić pan kierownik?

– Nie wiem. W domu chyba wiedzieli, bo się matka pytała, dokąd się tak śpieszę w niedzielę.

– Więc ty to robiłeś w niedzielę?

– Tak jakoś wypadło. W inne dni nie miałem czasu.

– A powiedz nam jeszcze, czym ty te krzaki wycinałeś?

– Siekierą. Wziąłem z podwórza od Brali. On ma najostrzejszą w całej wsi.

– Rozumiem. Taaak... Znaczy się wycinałeś krzaki siekierą drwala Brali i odnosiłeś je do tego pustego domu Wróblewskiego.

– Nie – zaprzeczył Romek Skwarski. – Nigdzie ich nie odnosiłem, tylko złożyłem na jednym stosie i tak zostały. Potem oddałem siekierę panu Brali i wróciłem do domu.

– Oddałeś siekiere panu Brali osobiście?

– Osobiście to nie, ale kiedy stawiałem ją na swoim miejscu pod schodami, tam, skąd ją wziąłem, to pan Brala był na podwórzu, ale czy widział mnie, czy nie, to ja nie wiem.

– W porządku, chłopcze. Idź teraz i uspokój pana kierownika Kowalonka. Powiedz mu, że cię tu o wszystko wypytałiśmy i że jesteśmy z ciebie zadowoleni.

Chłopiec uklonił się i wyszedł zaróżowiony na policzkach.

– Dobrze wychowany, ułożony – zauważył kapitan Salski.

– E – machnął ręką Rajski. – Dużo nam z tego przyjdzie.

Był rozdrażniony. Po wyjściu młodego Skwarskiego stanął w rozkroku przy oknie, opuścił głowę, dłonie oparł o parapet i bębniąc palcami o drewno tkwił w tej pozycji dobrych kilka minut. Salski i Tatar nie odzywali się.

– Do diabła z tym wszystkim! – krzyknął i odwrócił się gwałtownie twarzą w ich stronę. – Co za piekielna sprawa! Zdawało mi się, że już, już... a tu znów Pszczoła na horyzoncie. Co o tym myślisz? – spojrzał na Salskiego.

– Ty wiesz więcej, ja tam przyszedłem spóźniony. Ty wyprowadzaj wnioski.

– Czy mogę wiedzieć... – Tatar chciał o coś zapytać, ale Rajski przerwał mu brutalnie:

– Nie teraz! Niech pan siedzi cicho i słucha. Wariacka karuzela, niech to piorun trzaśnie! Wyrznął ktoś w łeb tego Pszczołę, czy sam się tak urządził, co?

– Sam? Oszalałeś?

– Dlaczegoż by nie? Jeśli ma ten mord na sumieniu, to może chwytać się rozmaitych sposobów, żeby wszystko pogmatwać i rozmazać ślady. Temu, że jest właścicielem młotka, zaprzeczyć nie mógł żadnym sposobem. Ułożył w związku z tym logiczną historyjką i uwierzyliśmy mu.

– To ty mu uwierzyłeś.

– Nie denerwuj mnie. Dobrze, to ja mu uwierzyłem. Ale te buty? Człowieku, przecież te buty widziała Mariola, te same, bez ucha. O ich zaginięciu doniósł Brala... Chwileczkę.

– Ano właśnie. Chwileczkę. A jeśli to Brala napadł na Pszczołę? Jeśli on wiedział, że jego buty ma właśnie Pszczoła? Zaczaił się na niego, uderzył, ale niezbyt mocno, licząc na to, że to zdarzenie sprowadzi nas do Pszczoły, a my zdobędziemy jeszcze jeden niezbity dowód.

– Niemożliwe. To niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– Zapominasz, że Brala nie ma zielonego pojęcia o tym, że jego buty znajdowały się pod drzwiami kantorka.

– Bzdury! Nawet on tego nie twierdzi, bo go o to nie pytaliśmy.

– A czy mogliśmy zadać mu takie pytanie nie wiedząc o czyich właściwie butach mówi Mariola Więckówna?

– Nie mogliśmy. Ale to jeszcze nie dowód, że nie wiedział o tym Brala.

– Słowo daję, wariacka karuzela! My nie wiedzieliśmy, Brala nie wiedział, teraz my wiemy, Brala nie wie albo udaje, że nie wie, Pszczoła wali się w łeb, buty na posterunku, a my w lesie...

– Uspokój się. Zastanówmy się wspólnie, czy jest do przyjęcia wersja Pszczoły z tą zamianą trampek na gumki.

– Jest. Ludzie w szoku robią nie takie rzeczy, a potem niczego nie pamiętają. I jeśli Pszczoła podczas naszej pierwszej z nim rozmowy powiedział prawdę, to rzeczywiście można przyjąć, że znajdował się w szoku.

– Skoro staniemy na tym gruncie, to nie może być mowy o sfingowaniu napadu na siebie samego. Tego nie można by w żaden ścisły sposób wytłumaczyć i uzasadnić. Pozostaje więc tylko przyjęcie założenia, że Pszczoła został przez kogoś napadnięty z rozmysłem.

– Chcesz powiedzieć: z zamiarem pozbawienia go życia?

– Może.

– Interesująca hipoteza. Bardzo interesująca. Taak... I to by się nam bardzo ładnie ze sobą skleiło...

– Co masz na myśli?

– Wysł się trochę, a zrozumiesz.

IX

Tego, co nastąpiło nazajutrz, to znaczy we wtorek rano, nie spodziewali się zupełnie. Wstali wcześniej i po byle jakim śniadaniu, popijając kawę, fatalnie przyrządzoną przez sierżanta Jana Tatara, raz jeszcze przy stole zasypanym papierami i zdjęciami rozważali kierunki dalszych przedsięwzięć śledczych. Wszyscy trzej zgodni byli tylko w jednym punkcie: że muszą zacząć działać bardziej skutecznie. Ale gdy dochodziło do próby sprecyzowania, co właściwie miało tę skuteczność określać, następowało kłopotliwe milczenie, po czym każdy z nich prezentował odmienną koncepcję. Stanęło na tym, że postanowili rozpocząć zakrojone na szerszą skalę przesłuchania mieszkańców Sielawy, licząc na to, że ktoś podsunie im nowy trop, świeższy i wyraźniejszy.

Właśnie wtedy na posterunek przyszedł wyraźnie podekscytowany prezes gminnej spółdzielni Kazimierz Skwarski. Pociągnął zaczerwienionym nosem, miał w dłoni chusteczkę i po krótkim „dzień dobry” umilkł, jakby zapomniał, w jakim celu się zjawił.

– Jakieś nowe kłopoty, panie prezesie? – spytał Rajski.

– Można to i tak określić. Zaznaczam jednak, że ja tu przychodzę z poczucia obowiązku. Dziś rano, konkretnie jakieś pół godziny temu, jedna z pracownic zawiadomiła mnie o tym, że do sklepu dokonano włamania.

– O, to ciekawe... – mruknął Salski.

– Tak, to jest zaskakujące – powiedział prezes. – Tym bardziej, że włamano się nie bezpośrednio do sklepu od strony ulicy, lecz od podwórza, przez kantorek.

– Nie jest to takie zaskakujące – rzekł Rajski. – Wszak na ciemnym podwórzu złodziej zawsze czuje się bezpieczniejszy niż na oświetlonej ulicy.

– Tak, ma pan rację... – prezes Skwarski głośno oczyścił nos.

– Przeziębził się pan?

– Głupstwo. Mały katar. Czy panowie zechcą tam pójść?

– Zaraz pójdziemy. Czy w sklepie pozostawił pan kogoś na straży?

– Naturalnie. Została tam główna księgowa. Czy ja muszę panom towarzyszyć?

– Niekoniecznie. Pewnie ma pan swoje sprawy na głowie.

– W samej rzeczy. Wybierałem się właśnie do hurtowni.

– Nie zatrzymujemy pana. Czy zorientował się pan w rozmiarach braków w sklepie?

– Hm... Muszę panom powiedzieć, że tam jest taki bałagan, iż należałoby rozpocząć od zaprowadzenia porządku. Obawiam się, że nikt w krótkim czasie nie zdołałby ocenić, co

zostało ze sklepu skradzione.

– O której wraca pan z hurtowni? Chcielibyśmy się później z panem zobaczyć.

– Sądzę, że za trzy, cztery godziny będę z powrotem. – Znowu głośno oczyścił nos. – Cholera – powiedział – dwa dni odleżałem w łóżku, ale widzę, że będę musiał pójść do lekarza. Katar katarem, ale tak jakoś na piersiach mi ciężko... Może to zapalenie oskrzeli? Albo angina? Bo i w gardle mnie drażni...

– Tak czy owak do pracy pan już dziś raczej nie wróci?

– Jeśli zdecyduję się iść do lekarza, to prawdopodobnie każe mi leżeć. Może mam nawet temperaturę? Znajdą mnie panowie w domu.

– Doskonale. Niechże się pan kuruje. Zdrowie trzeba szanować... A do tej hurtowni niech pan może w tym stanie lepiej nie jedzie. Pogoda się psuje, ochłodziło się, jeszcze może pan sobie zaszkodzić.

– Nie, muszę tam być osobiście. Jestem umówiony.

– A, to co innego. Idziemy, panowie – kapitan Rajski pierwszy opuścił progi posterunku.

Lakowe pieczęcie, jakimi opatrzone były papierowe paski na drzwiach kantorka, zostały zerwane. Żelazna sztaba zwisała swobodnie wzdłuż ramy drzwi, a na podłodze, tuż przy progu, leżała kłódka rozłupana jakimś specjalistycznym narzędziem. Zaraz za progiem oparte o ścianę kantorka stały wysokie nożyce do cięcia grubych blach.

– Dziwne – powiedział sierżant Tatar. – Już gdzieś takie nożyce widziałem.

Wszystkie trzy pomieszczenia przedstawiały widok oplakany. Wyglądało na to, że jakiś furiat wtargnął tu, aby z premedytacją niszczyć wszystko, co mu stało na drodze. Opakowania mąki, kaszy, makaronu i podobnych artykułów zostały wszystkie bez reszty uszkodzone. Sprzęty poprzestawiane. Nawet szklane klosze były zdjęte spod sufitów; dwa leżały na ladzie sklepowej nie uszkodzone, jeden leżał na podłodze w kawałkach.

– Panie Tatar – kapitan Rajski przywołał komendanta do siebie, gdyż ten stał nadal w kantorku i przyglądał się nożycom. – Co panu to wszystko przypomina?

– Mnie? Mnie to przypomina huragan. Ale huragany to ja znam tylko z opisów.

– A ty? – Rajski zwrócił się do Salskiego.

– To nie jest włamanie rabunkowe. Idę o zakład, że niczego nie ukradziono. Wygląda mi to wyraźnie na opętanczą rewizję, poszukiwanie czegoś...

– Czego?

– Diabli wiedzą. Można jednak wnioskować, że sprawca nie znalazł tego, czego szukał. W przeciwnym wypadku nie mściłby się na martwych przedmiotach.

– Panie kapitanie... – nieśmiało odezwał się sierżant Tatar. – Ja nie mam odwagi tak myśleć, ale... ale czy to nie mógł być Pszczoła?

– Pan mnie chce wpędzić w jakąś obsesję?

– Nie, ja nie chcę w nic pana wpędzać. Ale myślę, że te nożyce, którymi rozcięto kłódkę, są własnością Stanisława Pszczoły. Mnie się przypomina, że ja widziałem je właśnie u niego w warsztacie. Czy on nie mógł dzisiejszej nocy przyjść tutaj po te, no, jak im tam, po te trampki?

Rajski i Salski, zdumieli się nie tyle prawdopodobieństwem takiej możliwości, ile dociekliwością sierżanta Tatar. Wczoraj, kiedy analizowali kwestię napadu na Pszczołę, sierżant nie odzywał się ani słowem. Dziś natomiast potrafił w mig skonstruować sugestię, świadczącą o przejęciu się sprawą i czynnym zaangażowaniu.

– Sierzancie, co pan wygaduje! Zabrał trampki, a pozostawił swoje nożyce?!

– No, faktycznie. Wycofuję się. To nie miałyby sensu.

– Nic innego nie świta panu w głowie?

– A panu świta? – Tatar nie zamierzał wyjść na głupka.

– Owszem. Zgadzam się z kapitanem Salskim. Tej nocy ktoś tu czegoś szukał.

– To ja panu dziękuję za takie świtanie. Z tego nic nie wynika i nadal jesteśmy ślepi jak krety. Zostawmy to jak jest, zamknijmy tę budę i róbmy, co postanowiliśmy. Inaczej z miejsca nie ruszymy.

Kapitan Tomasz Rajski podniósł przewrócony stół, postawił go w przejściu z magazynu do sklepu i usiadł zwrócony twarzą do regałów. Salski i Tatar myszkowali po wnętrzach, a on siedział skupiony i długo zastanawiał się nad tym, co go w wyglądzie tych regałów uderzyło już wówczas, kiedy znalazł się w magazynie po raz pierwszy.

– Wyglądasz jak natchniony mędrzec – powiedział Salski trącając go w ramię. – Obudź się.

– Spójrz, Wiktorze. Czy widzisz jakąś różnicę pomiędzy tymi regałami?

– Żadnej. Obydwa są przecież identyczne. Może z tym tylko, że w prawym tkwi więcej nowych gwoździ wbitych przez Stanisława Pszczołę.

– Nie zastanawia cię to?

– Nie, nie widzę w tym nic godnego zastanowienia.

– Popatrz uważnie. Na lewym regale leżą stosunkowo ciężkie przedmioty. Co tu mamy? – zbliżył się do regału. – Łańcuchy, skrzynki z gwoździami, motyki, grabie bez trzonek, kosy... samo żelastwo. A na prawym regale? Popatrz: papierosy, zapalki, herbata i podobne artykuły. Pytanie: dlaczego regał prawy, znacznie mniej obciążony, zepsuł się i

rozchwiały bardziej niż lewy? Dlaczego naprawa właśnie tego regału wymagała większej staranności?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Może ten prawy – był starszy, wykonany wcześniej?

– Nic podobnego. Sam przecież stwierdziłeś, że obydwa regały są identyczne. Tak, są identyczne nie tylko pod względem kształtu i rozmiarów, ale i materiału, z jakiego zostały wykonane. Zastanawiam się, więc...

W tym momencie wszedł do kantorka dyżurny z posterunku milicji.

– Melduję, że odebrałem pilny telefonogram z Okruszyny. Polecono mi go natychmiast doręczyć kapitanowi Rajskiemu – powiedział służbiście wyprężony. Wręczył kapitanowi kopertę i odmeldował się.

„Komenda milicji obywatelskiej w Okruszynie informuje, że: przesłuchany lekarz ginekolog Eugeniusz Ciszewski na okoliczność czy badał Felicję Ciernik, córkę Rozalii i Huberta, oświadczył, że wymieniona była u niego i że on stwierdził u wymienionej ciążę. Lekarz Ciszewski oświadczył też, że Felicja Ciernik była u niego nie pierwszy raz i że już dość dawno, daty nie mógł sobie przypomnieć, wymieniona również znajdowała się w ciąży. Na wizytę zawsze przychodziła sama. Następnie ustaliliśmy, że Felicja Ciernik podczas ostatniego pobytu w Okruszynie dokonała w miejscowym sklepie jubilerskim zakupu dwóch pierścionków złotych o znacznej wartości. Zakupu tego również dokonała sama. Tego samego dnia jadła obiad w restauracji «Złota Wiecha» w towarzystwie osobnika, którego tożsamości ustalić nie zdołano. Przy obiedzie pity był alkohol.”

Odczytali wspólnie te słowa i prawie jednocześnie powiedzieli:

– Złoto! Złoto!

– Złota szukał bandyta! – dosadnie orzekł sierżant Tatar.

– Komendancie – zwrócił się do Tatara kapitan Rajski. – Czy słyszał pan coś o poprzedniej ciąży Felicji Ciernik?

– Nigdy! Ale doktor się chyba nie myli. Jeśli tak twierdzi, to widocznie była w ciąży, tylko się jej pozbyła, a ten konował boi się teraz przyznać do skrobanki.

– Możliwe, możliwe... Załóżmy zatem, że wiemy już, czego szukał tu ktoś dzisiejszej nocy. Bizuterię ukryć jest łatwo, znaleźć trudniej. Dopiero przy porządkowaniu tego bałaganu okaże się, czy włamywacz osiągnął zamiar. Ale ten regał... Ten regał... – Rajski potarł czoło. Wyglądał na człowieka zupełnie wyczerpanego.

– Uczepiłeś się tego regału jak kulawy płotu – rzekł Salski.

– Pomóście mi, odsuniemy ten mebel.

Przesunęli regał pod przeciwległą ścianę.

– Człowieku, ale ty masz wycucie! – Salski, omal nie zachłysnął się własnymi słowami. – Wydedukować takie coś! No, no... Patrzcie, sierzancie, i uczcie się – dodał jakby ta potrzeba dotyczyła tylko sierżanta Tatara.

W miejscu, w którym stał regał, znajdowała się prostokątna kłapa z uchwytem. Gdy ją unieśli i odstawili na stronę, zobaczyli drewniane stare schody wiodące do głębokiej i mrocznej piwnicy. Na drugim stopniu schodów leżała nadpalona świeca, a obok pudełko z zapalkami.

Nie odzywali się do siebie, czując, że rozwiązanie zagadki jest tuż-tuż, a tajemnica czai się w lochu pod podłogą magazynu.

Zapalili świecę i ostrożnie schodzili w dół. Schody skrzypiały i uginały się pod nimi. Skupieni zatrzymali się na dnie piwnicy. Kapitan Rajski podniósł w górę świecę, zatoczył nią półkole i powiedział:

– Nie byle jakie pomieszczenie. Śmierdzi wilgocią i myszami, czujecie?

Przejęci Salski i Tatar nie potwierdzili tego głośno.

– Rozejrzyjmy się. Na pierwszy rzut oka niczego tu nie widać, ale panna Felicja z pewnością na wycieczki przyjemnościowe tutaj nie przychodziła.

– Myślisz, że ona tu bywała?

– A ty myślisz, że ten regał rozklekotał się od samego stania?

Piwnica była bardzo obszerna i rozciągała się pod wszystkimi pomieszczeniami sklepowymi. Jej łukowate sklepienie z czerwonej cegły wspierały potężne filary. Od filaru do filaru biegły grube żelazne szyny. We wnętrzu nie było żadnych sprzętów.

– Ciekawe, gdzie urządziła sobie kryjówkę? – powiedział do siebie Rajski.

– Kryjówkę?

– Chciałem powiedzieć: skrytkę. Na jedno wychodzi. Gdzieś tu musi być skrytka. Gdzie? Jak myślicie?

Wzruszyli ramionami.

– Ale mam pomocników, słowo honoru... Ruszcieże głowami.

– W ścianach albo może w suficie – zaryzykował Tatar.

– Może, może... Bierzmy się do roboty. Niech pan skoczy, komendancie, po latarki albo przyniesie więcej świec. Przy tym ogarku nawet pająka trudno zobaczyć.

Komendant Tatar ochoczo zawołał „tak jest!” i – o dziwo – biegiem popędził po schodach aż zadudniły złowieszczo.

Kapitan Tomasz Rajski w blasku świecy dokładnie oglądał sufit piwnicy posuwając się powolutku krok za krokiem. Salski stał jak wmurowany.

– Niepotrzebnie go wysyłałem – głos Rajskiego zabrzmiał głęboko, ale radośnie. – Jest, mamy ją. Bardzo prymitywna skrytka. Podejdź tutaj, Wiktorze, zobacz.

U zbiegu jednego filara z szyną widniał otwór szeroki na dwie cegły. Nie musieli nawet upewniać się co do jego głębokości ani zawartości, gdyż wystawał zeń kawałek kolorowego materiału. Kapitan Rajski sięgnął i po chwili trzymał w ręce zawiniątko nie większe od męskiej pięści. Podeszli do stopni schodów. Salski trzymał świecę, a Rajski ostrożnie rozwijał chustkę-apaszkę. Posłyszeli, że wraca Tatar.

– Ostrożnie schodźcie, komendancie – zawołał Rajski. – Jesteśmy przy schodach, nie zwalcie się nam na głowy.

Komendant Jan Tatar stanął obok nich z trzema latarkami elektrycznymi w dłoniach. Kapitan Rajski położył zawiniątko na stopniu schodów.

– Niech skonam! – wyrwało się Tatarowi. – To jest prawdziwy skarb! Ale się nachapała, niewiniątko!

Rajski i Salski przykucnęli. Patrzyli na mieniące się przedmioty przez pewien czas w milczeniu.

– Policzymy komisyjnie, zobaczymy, ile tego jest – powiedział przerywając ciszę Rajski. Salski zaczął przekładać biżuterię z chusty na dłoń.

– Pierścionków złotych siedem... Bransoleta jedna... Brosze dwie... Obrączki dwie... Łańcuszek z wisiorkiem jeden... To wszystko. – Wyprostował się.

– Wystarczy – powiedział Rajski. – Wystarczy – powtórzył – żeby dla tej garści mieniącego się kruszywa zabić człowieka. Ale to przecież nie mogło być motywem zbrodni! To się mimo wszystko ze sobą nie zgadza!

– Człowieku – rzekł Salski – co ci się nie zgadza? Przyjrzyj się dobrze i policz. Przecież to majątek! Świętego mogłoby to skusić, co dopiero mówić o słabym człowieku.

– Panie kapitanie – dodał Tatar. – Ja się z tym zgadzam. To na pewno jest motyw.

– Pan się zbyt często zgadza, komendancie – powiedział Rajski. – A tu potrzebna jest nie zgoda, lecz myślenie.

– Zostaw komendanta w spokoju – rzekł Salski. – I nie rób z siebie takiego filozofa, takiego wyłącznego specjalisty od myślenia. Przecież rozumiemy wszyscy, że teraz, mając ten motyw dosłownie w garści, wszyscy musimy uruchomić szare komórki i zmierzać konsekwentnie do ustalenia sprawcy.

– Sprawcy czego?

– Głupie pytanie. Sprawcy zabójstwa, oczywiście.

– Wybacz, ale to ta odpowiedź jest głupia. Po pierwsze, mamy do czynienia nie z

jednym zabójstwem, lecz z dwoma. Po drugie, włamanie do kantorka i sklepu może nie mieć absolutnie żadnego związku z tymi zabójstwami. Ktoś, kto wiedział o skarbie Felicji, może, ale wcale nie musi okazać się sprawcą zabójstwa. Te błyskotki w związku z tym niczego nam jeszcze nie wyjaśniają. Owszem, rzucają pewne światło na osobę Felicji Ciernik, ale w tym świetle tylko ona wygląda źle. Reszta jest poza światłem, jest ciągle w mroku.

Komendant Tatar dosłownie przyjął ostatnie słowa kapitana Rajskiego, gdyż, postąpiwszy nieco w głąb piwnicy, omiół ją silnym strumieniem światła latarki.

– Panie kapitanie – powiedział. – Niech pan spojrzy, tam coś jest, tam się coś świeci! – Zatrzymał snop światła w najodleglejszym kącie piwnicy.

Zbliżyli się do tego miejsca. To, co zobaczyli, wprawiło ich w kompletne osłupienie.

W rogu piwnicy usypany był niewysoki kopczyk z ziemi. Leżał na nim cienki złoty łańcuszek z krzyżykiem. W ziemi tkwiły trzy nadpalone świece.

– Mogiłka? – Głos sierżanta Tataru zabrzmiał jak w cmentarnej kaplicy.

Kapitan Tomasz Rajski ukląkł. Podniósł z ziemi łańcuszek, podał go Salskiemu, usunął świece i w milczeniu zaczął rękami rozgrzebywać ziemię. Nie trwało to długo. Ziemia była tu miękka i spod trzydziestocentymetrowej warstwy wkrótce wyłoniła się męska skórzana kurtka, a kiedy Rajski ją rozłożył, oczom ich ukazały się szczątki dziecka.

W tym samym momencie zgasło światło elektrycznej latarki, którą trzymał komendant Tatar.

– Co jest, do cholery! – zaklął Rajski. – Zapal pan tę swoją latarnię.

– Już-już... – Tatar uruchomił przycisk i głośno dysząc oparł się o ścianę piwnicy.

– Co się z panem dzieje? Komendancie!

Tatar najwyraźniej był bliski omdlenia. Dłoń, w której trzymał latarkę, opuścił wzdłuż ciała, lewą ręką rozluźnił krawat i rozpinał nerwowo koszulę.

– Dać panu papierosa? – zaproponował kapitan Salski.

– Nie, nie... Chwileczkę, zaraz mi przejdzie.

– Pan jest bardzo wrażliwy, komendancie – powiedział Rajski. – Wówczas w domu Wróblewskiego, kiedy odkryliśmy zwłoki Mariana Korala, też stał pan na glinianych nogach. Może się pan przenieść do przedszkola?

Sierżant Tatar nie odpowiedział. Szeroko otwartymi i pełnymi zdumienia oczyma patrzył na znalezisko. „Nie! – myślał szybko i chaotycznie. – To jest wprost nie do uwierzenia! Czyżby to była jego kurtka? Zaraz, zaraz... Spokojnie, Tatar, spokojnie... Uważaj, bo panowie oficerowie mogą cię jeszcze wyśmiać. Chwileczkę... Trudno uwierzyć własnym oczom: taka sama jasna skóra, dobra skóra, diabli wiedzą, jak długo przeleżała w ziemi, a

jednak nie rozsypywała się, nie przegniła... Taki sam plastikowy zamek błyskawiczny, zatrask przy mankietach... No i... ależ tak! Ten znaczek w kołnierzu! Tylko on nosił w Sielawie taki znaczek-symbol instruktora klubu motoryzacyjnego. Nie, nie mogę się mylić, ta kurtka niewątpliwie należy do niego. O, bandyta! Jak mi Bóg miły osobiście wpakuję mu tę kurtkę do gęby... Nie daruję, nie przebaczę mordercy i kłamcy. Zaraz po niego pójde, muszę iść, zaraz, natychmiast!...”

Ostatnie zdanie wypowiedział głośno i stanowczo, po czym odwrócił się nagle i jak rozjuszony słoń pogalopował ku wyjściu z piwnicy. Zaskoczeni tym obrotem rzeczy Rajski i Salski tkwili pewien czas w ciemnościach. Zanim rozjaśnili wnętrze piwnicy, po starszym sierżancie sztabowym Janie Tatarze nie pozostał nawet zapach potu.

Dyżurny funkcjonariusz zameldował, że komendant Jan Tatar przybiegł na posterunek w stanie wzburzenia, wyprowadził z korytarza rower i nie mówiąc dokąd się udaje, popedałował przez wieś.

– Powinniśmy chyba coś zrobić? – rzekł kapitan Salski. – Gotów jeszcze popełnić jakieś głupstwo.

– Zostawmy go w spokoju. Zapewne wie, co robi – odparł Rajski. – Kapralu – zwrócił się do dyżurnego – popilnujemy tej budy do czasu powrotu komendanta, a wy idźcie pod drzwi sklepowego kantorka. Wiecie, gdzie to jest?

– Ma się rozumieć, że wiem.

– Maszerujcie więc i nie ruszajcie się stamtąd ani na krok. Pilnujcie pieczęci na drzwiach i w ogóle całości obiektu. Nikt poza nami nie ma prawa tam wejść. Jasne?

– A ja mimo wszystko mam chęć pójść za Tatarem – powiedział Salski, gdy kaprala już nie było.

– Dokąd? Nie dogonisz go.

– Gdzieś we wsi powinienem go znaleźć. Do Warszawy rowerem nie pojechał. A ty domyślasz się, co go tak rozsierdziło? To znaczy, ja rozumiem, że to ta kurtka... Czyżby znał jej właściciela?

– Myślę, że tak.

Obydwaj zdziwili się, gdy zobaczyli w drzwiach posterunku komendanta Jana Tatara i prezesa Kazimierza Skwarskiego. Zdziwili się nie ich widokiem, ale wyrazami serdeczności, z jakimi Tatar zapraszał prezesa do wejścia.

– Proszę, Kaziu – mówił. – Proszę, wejdź pierwszy. O, usiądź sobie wygodnie przy

tym stole – wskazał Skwarskiemu miejsce – rozluźnij się, zaraz sobie porozmawiamy.

Prezes usiadł, wykonał głową ukłon w stronę oficerów. Komendant Tatar podszedł do swego biurka, wyciągnął szufladę, wyjął z niej kajdanki i zbliżywszy się do Skwarskiego powiedział:

– No, a teraz dawaj łapy!

– Janek, co ci odbiło? – prezes wzdrygnął się.

– Dawaj łapy, mówię!

– Komendancie! – odezwał się Salski.

– Nie będzie mnie pan pouczał, jak należy postępować z bandytami, co?

Skwarski podniósł się i spojrzał na drzwi.

– Proszę się podporządkować komendantowi – powiedział kapitan Rajski.

Skwarski usiadł i posłusznie wyciągnął ręce. Tatar wprawnie skuł je kajdankami.

– No – powiedział – a teraz przystąpimy do rzeczy. Przedstawiam panom dwukrotnego mordercę...

– Ja protestuję... – usiłował coś powiedzieć Skwarski.

– Zamilcz – uciął Tatar.

– Nie pojechał pan do hurtowni? – spytał Rajski.

– Do hurtowni? – Tatar roześmiał się. – Ta świnią miała zamiar nam prysnąć! Ale podszedłem go tak, jak on mnie przez całe lata podchodził. Przymiliłem się do tego łotra. Koszulki sobie szykował do drogi, walizeczkę pakował... Nie chciałem go przestraszyć i zmusić do próby ucieczki, bo bym go chyba musiał zastrzelić na miejscu. Podstępem go wziąłem, ot, co!

– Panowie, to jest jakieś nieporozumienie. Co on wygaduje? On mógłby mnie zastrzelić?

– Tfu! – splunął Tatar. – Milcz, glisto! Odpowiadaj tylko na pytania. Komedia skończona. Myślałeś, że Tatara można wykiwać? Że mnie, komendanta posterunku w Sielawie, można okpić bezkarnie? Niedoczekanie! Odpowiadaj: zabiłeś Felę i weterynarza?

– Zgłupiałeś? – Skwarski zaczerwienił się, ale nie zaprotestował. – Panowie, odciągnijcie ode mnie tego wariata.

Salski spojrzał na Rajskiego. Ten jednak siedział spokojnie za stołem i kartkował stronicę swojego notesu. Nie odezwał się. Tatar zrozumiał to jako przyzwolenie do ciągnięcia sprawy.

– Ogluchłeś?! Odpowiadaj!

– Janek – rzekł prezes hamując wybuch złości. – Ja ci powiem wprost, po chłopsku:

pocałuj mnie w dupę.

Tatar zamierzył się, ale nie uderzył. Ręka zaciśnięta w pięść zatrzymała się w połowie drogi do szczęki prezesa.

– Pęta! – zasyczał. – Wciąż uważasz, że nie mamy na ciebie sposobu. Ano, zobaczymy... Panie kapitanie, sprowadzimy go do piwnicy, co?

– Jeszcze czego! – wrzasnął Skwarski. – Do piwnicy? Tortury? Odpowiedcie mi za to. A więc to takie są te wasze metody... Piwnica, łamanie kości... Neeee, tego już za wiele.

– Niech pan się zamknie – nie wytrzymał Rajski. – Prowadźcie go, komendancie.

Ku zdumieniu Skwarskiego nie poprowadzono go do żadnej piwnicy pod posterunkiem, lecz wyprowadzono z budynku. Na powietrzu odzyskał równowagę i nadzieję.

– No – chrząknął – oprzytomnieliście. Dokąd idziemy?

– Zobacz pan – odpowiedział Rajski.

Znalazłszy się pod drzwiami kantorka Skwarski poblądł nieco, ale zachowywał się spokojnie. Kapral usunął pieczęcie, otworzył drzwi. Weszli do środka. Kapral pozostał na zewnątrz.

– Ojej, ale tu bałagan – powiedział Skwarski rozglądając się obojętnie po wnętrzu.

– Milcz! – syknął Tatar.

Zatrzymali się przed zejściem do piwnicy.

– A to co? – Skwarski tym razem wyglądał na prawdziwie zaskoczonego. – Tam jest piwnica?

– A ty o niej nic nie wiesz, prawda?

– Słowo honoru, nie wiem...

– Twoje słowo honoru... Złaź!

Na dole, gdy już cała czwórka zeszła po schodach, kapitan Rajski powiedział:

– Marny z pana gospodarz, panie Skwarski, jeśli nie wie pan nawet, co znajduje się w zarządzanym przez pana obiekcie.

– Panie kapitanie, słowo daję, widzę tę piwnicę po raz pierwszy.

– Nie szkodzi. To nie ma w tej chwili znaczenia. Proszę dalej, włączcie drugą latarkę, Salski, podprowadź pana prezesa...

Doszli do kąta piwnicy. Komendant Tatar kierował do tej chwili światło w ten sposób, że rozgrzebana mogiłka pozostawała w mroku. Dopiero kiedy się zatrzymali w zamierzonym miejscu, rzucił nagle snop światła w dół i zapytał:

– Poznajesz, łachudro?!

– Co? Co to jest... Co to ma znaczyć... Co... – Skwarski zadygotał na całym ciele.

Podtrzymał go Salski, który wyraźnie to wyczuł.

– Poznajesz swoją kurtkę? Nachyl się, no! Nachyl się, zobacz, ta sama? Ta, którą zostawiłeś rzekomo w jakiejś knajpie w Okruszynie. Spójrz, ten sam błyskawiczny zamek, prawda? A w kołnierzu? Popatrz, ten sam klubowy znaczek motoryzacyjny. Zgadza się?

Kazimierz Skwarski milczał.

Kapitan Rajski pochylił się i rozchylił poły kurtki.

– Nie! Nie! – Skwarski zasłonił dłońmi oczy. Uczynił to tak gwałtownie, że kajdankami rozciął sobie skórę na nosie.

– Tak, panie Skwarski – rzekł z powagą kapitan Rajski. – Komedia skończona, jak powiedział komendant Tatar. Teraz trzeba będzie zapłacić koszty widowiska. Było ono tragiczne, więc i rachunek będzie słony... Wyprowadzić na posterunek! Salski, zawiadom prokuratora i naszych z wydziału. Kantorek opieczętować, kaprała pozostawić na warcie.

Kazimierz Skwarski nie mógł o własnych siłach pokonać stromizny schodów w piwnicy. Tatar ciągnął go z przodu za skute ręce, Salski popychał z tyłu. Kiedy znaleźli się na ulicy, przed bramą znajdowała się już liczna gromada mieszkańców Sielawy. W tłumie wrzało. Posypały się epitety. Kazimierz Skwarski szedł ze spuszczoną głową jak na ścięcie.

X

– Czy przyznaje się pan do popełnienia zbrodni z premedytacją na osobach Felicji Ciernik i Mariana Korala oraz do usiłowania zabójstwa Stanisława Pszczoły? – Kapitan Rajski zadał to sakramentalne pytanie stojąc za biurkiem komendanta Tatar. Skwarski siedział obok na krześle. Salski i Tatar zajmowali miejsca przy stole za balustradą.

– Tak – odpowiedział Kazimierz Skwarski i odetchnął z wyraźną ulgą.

– No – szepnął Tatar do Salskiego – zdjął z siebie ciężar, będzie mówił.

– Niech pan siedzi cicho – ofuknął go Salski.

Przesłuchanie rozpoczęło się w późnych godzinach popołudniowych. Skwarski, od czasu wyprowadzenia go z piwnicy, pozostawał osamotniony w areszcie. Upłynęło kilka godzin, podczas których miał czas na przemyślenie linii postępowania. Już z pierwszej odpowiedzi wynikało, że nie znalazł dla siebie innej drogi, niż droga szczerego mówienia prawdy. Wyglądał teraz nie tyle na przybitego i zrezygnowanego, ile na człowieka, który rozumie, że wykręty nie zdadzą się na nic i mogą być zapisane tylko na jego niekorzyść.

Kapitan Tomasz Rajski usiadł za biurkiem.

– Czy woli pan odpowiadać na pytania, czy też przedstawi nam pan całość wydarzeń chronologicznie, tak, jak pan je widzi?

– To nie ma znaczenia. Jednak wolałbym odpowiadać na konkretne pytania.

– Żeby samemu nie powiedzieć za dużo... – Tatar znów nie mógł powstrzymać się od złośliwego szeptu.

– W porządku – powiedział Rajski. – Rozpocznijmy zatem od ustalenia tego, jak doszło do tej tragedii w piwnicy pod sklepem.

– Ja w tym udziału nie brałem. Ja naprawdę nie wiedziałem, że jest tam jakaś piwnica.

– Ale kurtka jest pańska?

– Moja. Temu zaprzeczyć nie mogę w żaden sposób. Znali ją wszyscy we wsi, nie mówiąc o Janku, o komendancie – poprawił się.

– Proszę zatem szczerze odpowiedzieć, w jaki sposób i kiedy się tam znalazła.

– To było już dość dawno temu, w jakiś czas po przyjęciu Feli do pracy, a więc około dwóch lat wstecz. Powiem od razu, że ona mi się podobała.

– Miłość?

– Niech pan nie drwi, panie komendancie. To nie była miłość. To było opętanie. Tak, to jest właściwe słowo: opętanie. Jakby rzuciła na mnie urok albo coś takiego... Nie, ja nie

żartuję, niech panowie tak na mnie nie patrzą, ja naprawdę nie zwariowałem, chociaż muszę przyznać, że czasami czułem się bliski obłądu. Teraz już wiem, proszę panów, że takie sytuacje zdarzają się nie tylko w filmach i powieściach. Że też akurat mnie musiało to dotknąć... – Przerwał na chwilę, spojrzął na sufit, oczy zaszyły mu marzycielską mgiełką. – Trzeba było ją znać, panowie – kontynuował. – Trzeba było ją widzieć. Gdybyście mogli zobaczyć ją chociaż raz tak, jak ja ją widziałem... Och! – westchnął. – Duża, piękna, wspaniała... Twierdza, którą zawsze się chciało, którą zawsze musiałem zdobywać wśród tylu przeciwności... Ten, ten... – zająknął się. – A, czort z nim! Ważne było tylko to, że nie miałem ani chwili spokoju. Ani w dzień, ani w nocy. Ciągle stała mi przed oczami, potężna, kpiąca i piękna... Tak, dla mnie była najpiękniejszą kobietą świata. A ja, niczym nędzny robak, korzyłem się u jej nóg, obejmowałem ją, tuliłem i... cierpiałem. Odtrącała mnie. Nazbyt często mnie odtrącała. Nie zawsze, to też prawda, miałem i ja u niej dobre dni, bywała dla mnie łaskawa, przyzwalała na wiele, na bardzo wiele... Miewałem wówczas ochotę wywieźć ją gdzieś daleko, zamknąć w odosobnieniu i mieć ją tylko dla siebie... Dziś pytacie, panowie, czy to była miłość? No więc odpowiadam: tak, to była miłość. Okrutna, nieszczęśliwa i... wspaniała.

Umilkł.

– Pytaliśmy także o pańską kurtkę – odezwał się Rajski.

– Kurtka? Ach tak, oczywiście... Otóż spotykaliśmy się zazwyczaj w kantorku Felicji. Któregoś wieczora, daty, niestety, nie pamiętam, Fela nagle poczuła się źle. Chwyciły ją bóle i ku memu zaskoczeniu, powiedziała, że będzie zaraz rodzić.

– Pan nie wiedział, że ona jest w ciąży?

– Nikt o tym nie wiedział. Nikt we wsi. Nawet jej rodzice. To była ogromna kobieta. Jak to zrobiła, nie wiem, ale faktem jest, że potrafiła ciążą ukryć. Owego wieczoru, jak powiedziałem, chwyciły ją bóle. Powiedziałem, że pobiegnę po lekarza. Stanowczo zaoponowała. Kazała mi wyjść. Byłem wtedy w tej skórzanej kurtce. Powiedziała: „Zostaw mi tę kurtkę, muszę w coś tę drobinę owinąć”. Tak powiedziała. A ja ściągnąłem kurtkę i wyszedłem. Na odchodnym zaznaczyła jeszcze, żebym się więcej tego wieczoru w sklepie nie pokazywał. Usłuchałem. Myślałem, że urodzi dziecko i pójdzie do domu. Tak myślałem...

– Kto był ojcem dziecka?

– To pan nie wie?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Słusznie. Ojcem był ten... – Skwarski powstrzymał się przed epitetem. – Ojcem był Koral. We wsi głośno mówiono o tym, że ze sobą kręcili. Ja też o tym wiedziałem.

– Nienawidził go pan?

– Chcecie znać prawdę?

– Tylko prawdę.

– No więc tak, owszem, nienawidziłem go z całej duszy. Z każdym dniem silniej.

– Cóż on panu zawinił?

– Stał pomiędzy mną a Felą. Nie mogłem tego ścierpieć. Toteż następnego dnia, po tym, jak Fela rodziła, gdy zapytałem ją z rana w sklepie, co z dzieckiem, a ona odparła, że urodziło się martwe, ucieszyłem się. Tak, ucieszyłem się, że jego pomiot nie wciśnie się między nas i nie rozdzieli.

– Czy pytał pan również o to, co Felicja Ciernik zrobiła z dzieckiem?

– Tak, pytałem. Odpowiedziała, że zakopała je w dobrym miejscu w mojej kurtce i zapewniła, że mogę być spokojny, że nikt tego dziecka nie znajdzie.

– A potem?

– To znaczy? Co potem?

– Jak to się stało, że powążył się pan na tak okrutny czyn wobec osoby panu bliskiej? Myślę o Felicji.

– To długa historia. Skomplikowana. Wie pan, jak się pracuje w handlu, to na ogół nie ma sposobu, żeby sobie ręk nie pobrudzić. Fela z czasem wiedziała coraz więcej o niektórych moich sprawach finansowych. Nie były one czyste, to prawda, chociaż ich skala daleka jest od rozmiarów nadużyć innych defraudantów w kraju. Ale to fakt. Dziś nie ma potrzeby ukrywać niczego. Więc mówię i o tym otwarcie.

– Szantażowała pana.

– Jeśli pan chce, można to i tak określić.

– Czego żądała?

– Pieniądzy.

– Tylko pieniędzy?

– Tylko. Dawałem jej. Lecz nie tylko dlatego, że ona mnie do tego zmuszała. Lubiała błyskotki, a ja lubiłem patrzeć, jak ona odczuwa przyjemność ich posiadania. Zawsze jednak gdzieś na dnie serca dręczyła mnie myśl o mojej kurtce. Bałem się tylko tego, że ktoś kiedyś, może nawet zupełnie przypadkowo, odkryje to nie znane mi miejsce i zostaną posądzony o zbrodnię dzieciobójstwa. Wielekroć nalegałem, żeby zdradziła mi to miejsce. Zbywała mnie byle czym. Nie ustępowałem, tłumaczyłem, że przeniosę zwłoki dziecka w inne bezpieczne miejsce, że chcę odzyskać moją kurtkę, o którą dopytywała się i żona, i znajomi. Lecz ona pozostawała przy swoim. Trzymała mnie w szachu. Ciągle w szachu.

– I dlatego zabił ją pan?

– Nie miałem zamiaru jej zabijać. Owego fatalnego wieczora chciałem, mówię otwarcie, rozprawić się tylko z Koralem. On mi już tak stargał nerwy, że dłużej jego widoku znieść nie mogłem. Kiedy dowiedziałem się, że Felicja jest znowu w ciąży, a byłem raczej pewny, że nie z mojej przyczyny, coś się we mnie zakotłowało i myśl, którą nosiłem w sobie od dawna, przybrała kształt nakazu. Nigdy o niczym nie myślałem tak intensywnie, jak o pożądanej śmierci Korala. Nie wiem... Może ja jestem chory? Może ta cała sytuacja pomieszała mi w głowie? Nie wiem.

– Po kolei. Mówi pan, że tego piątkowego wieczoru nie zamierzał pan zabijać Felicji Ciernik. Natomiast na ten czas wyznaczył pan sobie i Koralowi termin spotkania w domu Wróblewskiego. Nawiasem mówiąc: kto napisał ten list do Korala?

– Ta mięczakowata świnia, Kowalonek. Za pieniądze sprzedałby własnego ojca. Pomogłem mu przez znajomości uzyskać pracę w naszej szkole, w Okruszynie był spalony. Wywalono go za niemoralne prowadzenie się. Pomogłem mu i zażądałem wywdzięki. Spełnił moją prośbę bez wahania.

– Zajmiemy się tym panem oddzielnie. Proszę powiedzieć szczegółowo, jak pan zaplanował to nieszczęsne spotkanie z Koralem? Chwileczkę, kiedy był pisany ten list?

– O, już dawno...

– To nam przynajmniej wyjaśnia, dlaczego kierownik odstąpił od zamiaru świętowania.

– Od czego odstąpił?

– Nic, nic. Proszę mówić swoje. Jaki był początek planu?

– Kiedy powiem, że zupełnie przypadkowy, to uwierzy mi pan?

– To zależy. Jeśli ten przypadek wpłynął na szczegóły, to tak, a jeśli chciałby pan teraz powiedzieć, że przypadek zdecydował o zamiarze, to nie uwierzę.

– Ja myślę o szczegółach. Do zamiaru przecież przyznałem się. – Oczekał chwilę, sądząc, że Rajski wda się w dyskusję, ale to nie nastąpiło. – Początek był taki – powiedział – że przypadkowo dowiedziałem się o wycinaniu krzaków na polecenie kierownika szkoły. Mój syn o tym mówił do żony. Była wtedy niedziela, wypoczywałem w swoim pokoju, drzwi były uchylone, słyszałem rozmowę. Kiedy wychodził, wybiegłem za synem przed dom i poradziłem mu, żeby siekierę wziął niepostrzeżenie od Brali.

– Już wówczas miał pan zamiar zrobić w to tego drwala?

– To się ułożyło w mojej głowie nagle. Sam nie wiem jak, nie wiem pod wpływem czego... Dziś nie widzę tego już tak wyraźnie, jak wtedy.

- Może siekiera Brali miała odegrać nieco większą rolę?
- Tak, ma pan chyba rację być może... Tak, na pewno. Kiedy brałem jego buty, pamiętam, szukałem również siekiery, ale nie znalazłem...
- Po kolei, wrócimy do tego. Skończmy z tymi krzakami.
- Dobrze. Więc poradziłem synowi, żeby użył siekiery Brali.
- To już pan powiedział. Mogę tylko dodać, że pański syn nie zdradził pana. Czy on wiedział coś więcej, czy tylko instynktownie wyczuwał, że jest pan zamieszany w te brzydkie sprawy?
- Nie wiem. Ale chyba nie wiedział o niczym, bo i skąd? Po pewnym czasie, to znaczy po kilku dniach, poszedłem do domu Wróblewskiego, wykopałem dół w jego piwnicy i zamaskowałem go gałęziami.
- Czy nie obawiał się pan, że Kowalonek dojdzie do tego, że przez pańskiego syna dowie się, że gałęzie zostały wycięte, a jednak ich nie ma? Nie zastanawiał się pan nad tym, w jakim celu w ogóle je wycinano?
- Widocznie nie zastanawiałem się. A Kowalonek? Zrobiłby wszystko, co bym mu kazał. Napisał ten list. Bez daty. Pisał go lewą ręką. Tak, tak... ja wiem, że można dojść do ustalenia autora takiego listu. To mnie nie interesowało. Dość, że sprzęgłem ze sobą Bralę i Kowalonka. To było dla mnie wtedy ważne. List w piątek rano, bardzo rano, wsunąłem w szparę pod drzwiami lecznicy weterynaryjnej. Wiedziałem o tym, że Koral każdego dnia najpierw tam kieruje swe kroki. Nie mogłem tylko przewidzieć tego, że przed nim tego dnia list ten przeczyta Koralowa.
- Żona weterynarza? Skąd pan o tym wie?
- Od niej samej. Przyszła do mnie przed południem do biura – świadkiem jest moja sekretarka, można sprawdzić – i powiedziała mi, że jej mąż zalewa się od samego rana piwem, bo otrzymał jakiś tajemniczy list. Prosiła mnie o radę.
- Udał pan wariata i oczywiście nie przyznał się do tej gry.
- Oczywiście. Czy mógłbym postąpić inaczej? Uspokoilem ją, powiedziałem, że to z pewnością jakiś głupi żart, żeby sobie nie zawracała tym głowy i w razie czego liczyła na moją pomoc.
- Nie sądzi pan, że to jest okrucieństwo?
- Możliwe. Sądzić mnie będą inni. Ja się panu spowiadam. Chcę powiedzieć wszystko, do końca, dokładnie i szczerze. Ale tylko ten jeden raz. Nigdy już tych zeznań nie powtórzę. Przepisze pan wszystko z taśmy, ja podpiszę, w sądzie to odczytają, ja potwierdzę i będę czekał na wyrok. Czy widzi pan teraz, że mam cały furgon dobrej woli? – coś jakby cień

uśmiechu prześliznął się po jego twarzy.

– Czy Koralową uspokoili pańskie słowa zapewnień?

– O, tak. Ona mi ufała. Nawet lubiliśmy się trochę. A tego swojego weterynarza miała po same dziurki w nosie. On zdradzał ją na prawo i lewo. Ich nazwisko szargane było jak miotła. Cierpiała kobieta na pewno, ale trwała przy nim. Może go kochała?

– Wróćmy do minionego piątku. Co pan robił po południu i wieczorem?

– Wszystko mi się dobrze układało. Żona wyjechała na trzy dni do krewnych, przed synem nie musiałem się z niczego tłumaczyć. Popołudnie spędziłem w domu na rozmyślaniach. Przed wieczorem los zaczął mi sprzyjać jeszcze bardziej. Rozpętała się burza. Lubię burzę. Wyszedłem z domu, obszedłem wieś opłotkami i od tyłu doszedłem do gospodarstwa Cierników. Tam spod schodów zabrałem buty Brali, takie stare gumki, swoje pantofle przywiązałem sznurowadłem do kamienia i wrzuciłem do studni. Sikiery Brali nie było. Albo jej nie widziałem. Trochę mi to pokrzyżowało plan, ale tylko na chwilę. Ostatecznie w tym nie wykończonym domu połówek cegieł nie brakuje... – Przerwał. Poprosił o papierosa. – Licho mnie jednak podkusiło, żeby przed pójściem na spotkanie z Koralem wstąpić jeszcze do Feli. Wiedziałem, że ona do późna przesiaduje w kantorku, zwłaszcza w dni targowe. Zresztą, nie tylko w takie dni. Nieraz zastawałem ją zapłakaną, rozstrojoną nerwowo, jakby czymś odurzona. Nie miała w takie dni humoru i szybko się mnie pozbywała. Zachodziłem w głowę, jaka może być przyczyna takiego jej zachowania, ale do dnia dzisiejszego nie odgadłem. Dopiero dziś, ta piwnica... Ten widok... Ona tam musiała często schodzić. Może to dziecko było żywe? Może ona je uśmierciła?

– Tego się już nie dowiemy. Postanowił pan wstąpić do kantorka. I co?

– No i wstąpiłem. Byłem przemoczony i zabłocony. Buty zostawiłem przed drzwiami. Znałem narowy Feli. Z powodu byle pacynki błota urządziła szewską awanturę.

– Zaznaczam że znamy przebieg pańskiej rozmowy z Felą Ciernik. Niech pan teraz nie stara się przypadkiem i niczego przeinaczać.

– Znacie? Przecież tam nikogo poza nami nie było?

– To nasza sprawa. Proszę mówić.

– Wszedłem i zastałem jeden kłębek nerwów. Wiedziałem o zajściu z Pszczeliną, ale nie przypuszczałem, że to Felicję aż do tego stopnia rozstroi. Początkowo wcale nie chciała ze mną rozmawiać. Ale mnie chodziło o dwie sprawy. Chciałem nakłonić ją do usunięcia ciąży, a po drugie dowiedzieć się, w jakim miejscu leży moja kurtka. Lecz ona nie chciała nawet słuchać. Może... Może gdyby mi wtedy przyrzekła, że ciążę usunie, kto wie, czy nie zdecydowałbym się odstąpić od zamiaru spotkania z Koralem. Ale ona nie i nie! Doszło w

pewnym momencie do ostrej sprzeczki, potem do kłótni, nie wiem, co mi przyćmiło umysł ostatecznie, ale jej słowa bolały mnie i rozdrażniły w najwyższym stopniu. Nie panowałem już nad sobą. Zobaczyłem leżący na regale młotek. Chwyciłem go... Uderzyłem! – Przerwał. Pochylił głowę. Nie zapłakał. Oddychał tylko szybciej.

– Czy po upadku żyła jeszcze?

– Nie wiem – odpowiedział. – Młotek wypadł mi z ręki. Stałem jak zaczarowany. Sparaliżował mnie strach. Na chwilę. Bo zaraz usłyszałem czyjeś kroki, a potem pukanie do drzwi. Struchlałem. Rozejrzałem się i wskoczyłem do ciemnego pomieszczenia sklepu, gdzie przykucnąłem za ladą.

– Coś podobnego! – powiedział głośno sierżant Tatar. – Toć o tym kapitan Rajski opowiadał nam już wcześniej. Coś podobnego!

– Kogo zobaczył pan wtedy w magazynie nad ciałem Felicji Ciernik? – podjął Rajski.

– Stanisława Pszczołę.

– Czy Pszczoła trzymał coś w rękach?

– Nieee... Nie wiem. Nie przyglądałem się. W takiej chwili? On tylko rozglądał się trwożliwie i po krótkim czasie wyszedł.

– Czy pan wtedy pomyślał, że Pszczoła mógł pana widzieć?

– Wtedy o tym nie pomyślałem. Refleksja na ten temat przyszła dopiero później.

– Rozumiem. Wtedy, kiedy postanowił pan „na wszelki wypadek” usunąć z drogi również i Stanisława Pszczołę.

– Niezupełnie. Jeśli idzie o Pszczołę, to kierowałem się motywami rozbieżnymi. Chociaż, muszę przyznać...

– Zostawmy na razie ten wątek na boku. Co działo się dalej w kantorku?

– Nic. Machinalnie podniosłem z podłogi młotek i wyszedłem.

– A pieniądze?

– Pieniądze wziąłem. Leżały na wierzchu, same pchały się do rąk. Dwadzieścia dwa tysiące osiemset.

– I dlatego tak dokładnie potrafił pan określić utarg wtedy, pamięta pan, gdy spotkaliśmy się na ulicy?

– Pamiętam. Teraz widzę, jak byle głupstwo może człowieka zdradzić. Czytałem gdzieś, że nie ma zbrodni doskonałych. Faktycznie nie ma, nie może być...

– Teoria także należy do nas. Od pana oczekujemy wyłącznie faktów.

– Już, już... Wyszedłem i zobaczyłem, że pozostawionych przeze mnie butów Brali nie ma. Ale nie miałem już czasu na medytację, co się z nimi stało. Przemknęła mi tylko myśl, że

wziął je Pszczoła, bo któż by inny; Że je wziął, sądząc, że w ten sposób, za pomocą tych butów będzie mógł świadczyć o winie tego, kto przed nim do kantorka wszedł, czyli o mojej, a o swojej niewinności. Ale długo o tym nie myślałem. Droga do domu Wróblewskiego była daleka, a ja musiałem iść w skarpetach.

– Biedaczek! – zasyczał Tatar.

– Czy mam opowiadać dokładnie, jak to się odbyło?

– Z grubsza to sobie wyobrażamy. Ale chcemy, żeby pan to potwierdził.

– Dobrze. Więc Korol przyszedł punktualnie. Ja się schowałem pod dachem, w tym pokoju z piwnicą. Syknąłem na niego i cicho wezwałem do siebie. Nie wiem, czy się zorientował, kto go woła. Wszedł. Bez słowa uderzyłem go młotkiem. Co było dalej, mówić nie warto. Zresztą, wiecie. Powiem tylko tyle: gdybym wiedział, że go tak szybko odnajdziecie, inaczej bym się urządził. Jak do tego doszliście? Pomagały wam psy?

– Przypadek, panie Skwarski. Czysty przypadek.

– Ale przecież tej nocy ktoś koło tego domu był! Ktoś wołał Korala z nazwiska! Ja tego absolutnie nie rozumiem.

– Ja tam byłem, bałwanie! – powiedział Tatar. – Już ci mówiłem: gminnego komendanta na plewy się nie nabierze.

– Dobrze, dobrze sierżancie... – Uspokoił go Rajski. – Słuchamy, panie Skwarski.

– Zakopałem go i wracałem do wsi. Miałem zamiar następujący: chciałem pójść do Koralowej, po drodze podrzucić młotek albo Brali, albo jej właśnie. A z nią chciałem porozmawiać o mężu. Że niby co się dzieje, dlaczego nie wrócił i tak dalej. To mogło być niezłe alibi.

– Traci pan głowę teraz albo już wówczas ją pan stracił. W skarpetach po alibi? Czy Koralowa jest taka naiwna, że nie zwróciłaby na to uwagi? Poza tym czy na ubraniu nie miał pan śladów krwi?

– Nawet jeśli te ślady były, to deszcz zmył je kompletnie. Lało jak diabli. Zaryzykowałem. Nawet w skarpetach. Wie pan, do czego gotów byłbym się wtedy posunąć?

– No?

– Do powiedzenia prawdy. Nie wierzy mi pan? Trudno. Ja przeczuwałem, że ona by mnie nie wydała. Ale te rozważania tracą sens wobec nagłego zwrotu w sytuacji. Przy skarpie, przed domem Koralów zobaczyłem bowiem milicyjny gazik. Myśli, jaka nieodparcie mi się narzuciła, nie mogłem odrzucić. Stałem pod pobliskim drzewem i na chłodno przeanalizowałem sytuację...

– Na chłodno! Skurwysyn! – Tatar aż podskoczył na krześle.

– Fela nie żyje, myślałem, więc dlaczegoż by nie mógł zabić jej Koral? Przecież to on machnął jej dziecko. Motyw jest. Zabił ją i zwiął, gdzie pieprz rośnie. Możliwe? Możliwe.

– Zapomniał pan o Pszczole?

– Nie zapomniałem. Założyłem wówczas, że Pszczoła nie widział w sklepie nikogo poza Felą. A poza tym wszystkim, to już ta siekiera i buty Brali wystarczająco gmatwały obraz sytuacji. Zanim doszlibyście do czegoś, ja bym się jakoś urządził... Włamałem się do samochodu, udało mi się uruchomić silnik, pojechałem w stronę Okruszyny. Zatrzymałem się, gdy silnik zaczął przerywać. Młotek zostawiłem na siedzeniu, a że nie wiedziałem, czyj on jest, więc pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi jeszcze jeden fałszywy trop... Bystry byłem, co, moi panowie?! – Potoczył dzikim wzrokiem obłąkańca.

– On nie jest normalny – szepnął kapitan Salski do Tatara.

Zabrzączał telefon na biurku komendanta. Rajski podniósł słuchawkę.

– Rajski?! – Był to głos majora Pawła Raksy. – Czyście w tej Sielawie powariowali? Dzwonią mi tu z pracowni, że zarzuciliście ich jakimiś szkolnymi zeszytami, Co się tam u was dzieje? Przecież to jest robota na tydzień!

– Wszystko w porządku, panie majorze. Może im pan powiedzieć, żeby tej pracy w ogóle nie zaczynali. Autor listu zidentyfikowany. Sprawa skończona. Właśnie prowadzę ostatnie przesłuchanie sprawcy...

– Rajski, czy pan tam czegoś nie wypił? Mówi pan: „sprawa skończona”? W takim tempie?

– Udało się, panie majorze.

– No to cześć. Czekam na pana.

– Czołem, panie majorze. No, proszę dalej, panie Skwarski. Porzucił pan samochód w polu i co?

– I wróciłem do domu.

– W skarpetach?

– W skarpetach. Pewnie dlatego przeziębłem się.

– Jasne, że dlatego. Chodzenie w skarpetach nawet w maju bywa niebezpieczne... Do rzeczy. Wyraził się pan, o ile pamiętam, że w sprawie Stanisława Pszczoły kierowały panem rozbieżne motywy. Jak to mamy rozumieć?

– Widzi pan, nie byłem pewny czy on mnie widział, czy nie. To raz. Dwa, nie wiedziałem, czy on buty Brali ma, czy nie. To były te rozbieżne motywy.

– Naprawdę nie wiem, na czym ta rozbieżność polega. Mniejsza o to. Zaczął się pan na niego przy warsztacie z zamiarem pozbawienia go życia. To jest ważne.

– I tak, i nie. Stuknąć go chciałem, to fakt. Ale czy zaraz zabijać? Chciałem zabrać te buty i odnieść na swoje miejsce. Przypuszczałem, że nie trzyma tych butów w domu... Wiedział przecież, skąd je wziął i czym to pachnie. Mógł je ukryć tylko w warsztacie.

– A czy wie pan, czym młotkiem dokonał pan zbrodni?

– Był to chyba młotek Feli.

– Nic podobnego. To był młotek Stanisława Pszczoły.

– Niewiarygodne! To ona z nim także kręciła? Och, gdybym wiedział!...

– Na szczęście nie wiedział pan. Jak to było ze Stanisławem Pszczołą?

– Nieszczęśliwie. Stuknąłem go, gdy zamykał drzwi warsztatu. Upadł. Przeszukałem warsztat, ale butów Brali nie znalazłem. Zabrałem natomiast jego własne gumki. Porzuciłem je nożem i wrzuciłem do bajora.

– Ale zabrał pan stamtąd coś jeszcze, prawda?

– Prawda. I to pan wie? Zabrałem nożyce, o – rozciągnął ręce – takie duże.

– Pan mnie zdumiewa, panie Skwarski.

– Mam głowę, co? Handlową... – puknął się, w czaszkę zadowolony z siebie. Teraz także wyglądał na człowieka niespełna rozumu. – Wziąłem te nożyce, zeszłej nocy rozpieprzyłem kłódkę do kantorka i zrobiłem tam taki misz-masz, jaki widzieliście. Nieźle poprzestawiałem graty, co?

– Czego pan właściwie szukał? O piwnicy nie wiedział pan.

– Może tego? – kapitan Salski wyszedł zza stołu i pokazał na wyciągniętej dłoni stertkę biżuterii. Skwarskiemu zabłyśły oczy.

– Gdzie to znaleźliście? To moje! Moje!

– W piwnicy.

– O, kurwa! A mnie mówiła, że trzyma to w sklepie, wśród towarów.

– Oszukała pana.

– Tak, oszukała. Zasłużyła na swój los.

– Pan nas również oszukał – wtrącił Salski – i to wiele razy. Gdyby widok tej kurtki i prochów dziecka w piwnicy nie załamał pana tak szybko i doszczętnie, sprawa mogłaby się ograniczyć do ewentualnego zarzutu współudziału w dzieciobójstwie. Rozumie pan? Nie mieliśmy przeciwko panu żadnych konkretnych dowodów winy w sprawie mordów dokonanych na Felicji Ciernik i Marianie Koralu...

– Nie przesadzaj – przerwał kapitan Rajski. – Poszlak mieliśmy aż nadto. Sprawa z pewnością nieco by się odwlekła w czasie, ale po nitce zawsze dochodzi się do kłębka.

– Po nitce? Po jakiej nitce?

– Po nitce z pańskich skarpet, panie Skwarski! Ta nitka, a nawet dwie, o czym szepnęłam mi jeden z funkcjonariuszy z Okruszyny, przyczepiła się do pedału sprzęgła w samochodzie komendanta Tatara.

– Bzdurzy pan – zachnął się Skwarski. – Te nitki do niczego by wam nie posłużyły. Nie mieliście skarpet. Spaliłem je.

– Skarpety można spalić, ale wymazać ich z ludzkiej pamięci nie sposób. Były ostro czerwone, prawda? Takie skarpety rzucają się w oczy, przyzna pan. Na to mamy świadka, Józefa Gruzę, że Marian Koral wychodził z własnego domu we własnych gumiakach. Miał je na nogach w chwili śmierci i po odnalezieniu zwłok. *Ergo*: Koral nie mógł zabić Felicji Ciernik, to nie jego buty stały przed drzwiami kantorka, nie one były widziane przez Mariolę Więckównę i zabrane przez Stanisława Pszczołą. Dalej... Pan nie tylko umie prowadzić samochód. Pan od lat był członkiem klubu motoryzacyjnego, a nawet wykładowcą na kursach samochodowych. Czy to się panu nie kojarzy z umiejętnością uruchamiania silnika samochodu bez kluczyka? Pańskie kroki słyszał Hubert Ciernik owego piątkowego wieczora na podwórzu. To też jest trop, nikły, ale jest. To pański syn przyznał się nam do wycinania krzaków siekierą Brali, a gdybyśmy go trochę przycisnęli, chłopak by nam wyśpiewał resztę, co wie. Do autora listu wcześniej czy później doszlibyśmy z całą pewnością. Ta kreatura Kowalonek nie jest tak twardy jak pan. Zresztą nie sama treść listu zdradzała, że to nie Felicja była jego autorką. Zawarte w liście słowa: „Nie próbuj się wcześniej ze mną zobaczyć” świadczą o przezorności autora. Gdyby Koral zechciał pójść z tym listem do Feli, ona natychmiast zaprzeczyłaby wszystkiemu. Czy widzi pan teraz, że błąd tkwił już u narodzin planu? Wreszcie: w sobotę rano jeden z mieszkańców widział pański powrót do domu. Udał pan mocno pijanego, ale i ta zagrywka zostałaby rozszyfrowana. Kobiетки spod masarni mają długie języki, panie prezesie... Dalej... Założyłem nawet w pewnej chwili, że Pszczoła sam na siebie sfingował napad, ale zaraz tę myśl odrzuciłem. To proste: gdyby ta napaść była udana, wówczas Pszczoła poleciłby żonie natychmiast nas o tym zawiadomić. Lecz on jej tego zabronił. Czy to jest jasne? Wreszcie ten, kto uderza Pszczołą, nie czyni tego, ot, tak sobie, dla rozrywki. Ten ktoś musiał Pszczołą widzieć wówczas, w magazynie. To chyba jest również oczywiste. To musi być oczywiste tym bardziej dla pana, dwukrotnego mordercy!

Zapanowała cisza.

– Zwyrondniatec. Odrażający typ. I pomyśleć, że ja z takim draniem piłem wódkę! – Sierżant Tatar splunął na podłogę i roztań plwocinę obcasem. – Gabinecik urządził! Całą zgraję przestępców sprowadzał! Niech go piekło pochłonie...

– Właśnie. Dlaczego w tym pańskim gabineciku obsługiwała gości Felicja Ciernik?

Proszę nam to wyjaśnić – zażądał kapitan Rajski.

– Była kobietą reprezentacyjną. Poza tym była tam zawsze, kiedy wypadło zaprosić weterynarza. Chciałem mu grać na nerwach i mieć go na oku.

– Doszło kiedyś do sprzeczki między wami.

– Nie ma o czym mówić. Sprzeczki zdarzają się codziennie.

– Czy to pan kazał Brali obić Korala?

– Niech pana diabli porwą! Nie, z panem wygrać nie można.

– To zależy wyłącznie od tego, czy się gra uczciwie. Widzi pan, w tej grze nie tylko Felicja Ciernik trzymała pana w szachu. Pan ją też trzymał. Pan wiedział o poczęciu jej dziecka w tajemnicy. Pan ją także zmuszał do różnych posług, na jakie prawdopodobnie nie zawsze miała ochotę. To był podwójny szach, proszę pana. Trzeba o tym również pamiętać. Ale końcówka w tej grze, wreszcie mat, należały na szczęście do nas.

– To był klasyczny mat, kapitanie! – zawołał komendant Tatar.

Olsztyn, marzec 1981.